

PATRICIA PEARSON

DRZWI DO

NIEBA



CO BLISCY PRÓBUJĄ PRZEKAZAĆ
NAM Z ZAŚWIATÓW

Patricia Pearson

Drzwi Do Nieba

Tytuł oryginału: Opening Heaven's Door

Przekład: Jolanta Sawicka

ROZDZIAŁ 1

Niespodziewane widzenie

Mój ojciec zmarł w niebieskiej pasiastej piżamie, na swoim miękkim łóżku, w pogrążonym w ciszy domu. Nic mu nie dolegało. O trzeciej, a może czwartej nad ranem westchnął na tyle głośno, że zbudziło to moją matkę; zaspana uznała, że musiało mu się przyśnić coś złego. Westchnął, stęknął, to było ostatecznie tchnienie, jakie dobyło się z jego piersi. Mama pochyliła się, żeby mu rozmasować kark i wróciła do błogiego stanu nieświadomości. Ranek objawił się kilka godzin później cienką smużką marcowego światła. Zbudziła się na dobre, wstała, okrążyła leżącego na brzuchu męża, z którym przeżyła pięćdziesiąt cztery lata, i zniknęła w łazience.

A potem zeszła na dół, do monottonnych rytuałów kuchennych. Parzenie kawy, opiekanie okrągłej, rozpołowionej bułeczki, słuchanie radia. Właśnie emitowano wywiad ze mną o mojej najnowszej książce. Oto ja, najmłodsze z jej pięciorga dzieci, paplam wielce autorytatywnie o procesie sądowym wytoczonym przez mężczyznę, który doznał niewyobrażalnego urazu psychicznego, znalazłszy zdechłą muchę w butelce z wodą.

– Czy miał podstawy do wszczęcia postępowania? – zapytał mnie gospodarz programu. Czy to możliwe, żeby życie rozpadło się komuś na strzępy na widok jednej zdechłej muchy?

Mama posmarowała ciepłą bułeczkę marmoladą, rozmyślając o czekającym ją dniu. Kilka spotkań, lunch, przejażdżka z wnuczką Rachelą, która odwiedziła ich z okazji ferii marcowych. Nie zastanawiała się, dlaczego Geoffrey, mój ojciec, wciąż leży w łóżku. Zdrowy mężczyzna, który właśnie skończył osiemdziesiąt lat, nie wymagał wzmożonej czujności.

Ludzka uwaga kieruje się ku kryzysom w rodzinie, a wczesną wiosną 2008 roku całą naszą pełną napięcia, paraliżującą uwagę siłą rzeczy przykuwała moja siostra Katharine. To ona, a nie mój ojciec, stała w obliczu śmierci. Pełna życia, niezwykle piękna kobieta – matka, siostra, kochanka – cierpiała katusze z powodu rozprzestrzeniającego się w zastraszającym tempie przerzutowego raka piersi. Los Katharine stał się rodzinną „skrajną rzeczywistością”[1], jak ujęła to niegdyś Virginia Woolf.

Rola, jaką w tym dramacie odegrał ojciec, była zupełnie nieoczekiwana.

– Rachelo – wykrztusiła moja mama, potrząsając wiotkim ramieniem wnuczki drzemiącej w pokoju gościnnym na ostatnim piętrze domu. – Rachelo. – Dziewczyna otworzyła oczy i natychmiast dostrzegła zmieniony wyraz pochylonej nad nią twarzy, szaleńczą bezbronność na obliczu matki rodu, co błyskawicznie ją otrzeźwiło.

– Dziadek nie daje się obudzić.

Tego ranka wszyscy odebraliśmy telefon z nieprawdopodobną, niewiarygodną wiadomością, którą matka przekazywała rodzinie z pomocą zaskoczonej Racheli. Ale do Katharine przebywającej prawie dwieście kilometrów na wschód od moich rodziców, w Montrealu, ta wiadomość dotarła w inny sposób.

– Tej nocy, kiedy umarł ojciec – opowiadała uczestnikom nabożeństwa żałobnego kilka tygodni później – miałam niezwykle przeżycie duchowe.

Moja siostra, uwierzcie mi, proszę, nie była osobą skłoną do tego rodzaju

przeżyć. Dobrze wiedziała co to stres, będąc samotną matką wychowującą dwóch nastoletnich chłopców. Uwielbiała śmiech. Była sprawna fizycznie pod każdym względem, wprost promieniała cielesnością. Miała niesamowity intelekt, znała biegle trzy języki obce. Bogu jednak nie poświęcała zbyt wiele uwagi.

– Było około wpół do piątej rano – opowiadała o tamtej nocy – i nie mogłam spać, jak zwykle, kiedy ni stąd, ni zowąd zaczęło się to zadziwiające duchowe doznanie. Przez kolejne dwie godziny przepełniała mnie jedynie radość i czułam, jak zdrowieję. – Z mojej siostry Katharine biło jakieś szczególne światło, promieniała, a melodia jej głosu uciszyła wszystkich zgromadzonych w kościele: ateistów, agnostyków, wierzących. Kurczowo trzymała się mównicy, chcąc za wszelką cenę zachować się z gracją, chociaż z powodu śmiertelnej choroby jej zmysł równowagi nie był sprawny. – Poczułam ręce na swojej głowie i doświadczyłam całej serii wizji szczęśliwej przyszłości.

Katharine opisała to dziwne, cudowne, poranne przeżycie swojemu starszemu synowi, kiedy wiozła go do szkoły, zanim jeszcze odebrała telefon dotyczący ojca. Napisała też o tym w swoim dzienniku: „Pomyślałam: czy to ma coś wspólnego z ludźmi, którzy się za mnie modlą? A potem pomyślałam o tacie, o tym, jak unosi brew i droczy się ze mną, wypominając mi moją nieposkromioną pychę”. Nie wiedziała, jak interpretować ten potężny przypływ energii i radości.

– Wiem teraz, że to był mój ojciec – zwróciła się do żałobników. Powiedziała to prosto z mostu, bez nieodzownego w takich sytuacjach ukłonu w stronę nauki i rozumu, nie czyniąc zwyczajowych zastrzeżeń: *nazwijcie mnie szaloną, ale...* Nic z tych rzeczy. – Czuję się dogłębnie pobłogosławiona i kochana, i przyjmuję to z pokorą – zakończyła po prostu i usiadła.

Astralny ojciec. Był tam, a jednocześnie go nie było. Miłość krążąca niewidzialnie.

Coś jakby dobroduszny towarzysz, którego uścisk jest lekki, ale na wskroś poruszający.

*

Nie jesteśmy rodziną, która ma w zwyczaju widywać duchy. Kiedy przyjechałam do domu rodziców dziewiętnastego marca, dzień po śmierci ojca, i po raz pierwszy usłyszałam o doznaniu Katharine, osunęłam się na wyłożoną dywanem podłogę w holu i przeczłogałam się obok szafy na ubrania bliska histerycznego śmiechu. Moja reakcja była nie tyle wyrazem drwiny, co kapitulacji. Rzeczywistość wibrowała, pikselizowała; zdawało się, że za moment wszystko może się rozsypać.

– Tata nie żyje, tata nie żyje – mamrotałam już od dwudziestu czterech godzin, jak dziecko żarliwie uczące się na pamięć nowych życiowych instrukcji, przemierzając wzdłuż i wszerz lodowaty park koło domu, chodząc tam i z powrotem. *Tata nie żyje.*

A teraz jeszcze ta wizja Katharine.

Uznaliśmy to za efekt szoku. Albo za szaleńczą modlitwę rozstrojonego umysłu. Niemal natychmiast wokół śmierci ojca wytworzyła się atmosfera egzaltacji. Nie rozmawiając o tym, byliśmy przekonani jako rodzina, że zrobił coś, co świadczyło o wielkim bogactwie emocjonalnym. Umarł dla swojej córki. Albo może umarł nieświadomie, ale potem wykorzystał tajemniczą okazję, aby dotrzeć do niej, do jej pokoju w Montrealu, pogłaskać ją i uspokoić.

Dowiedziałam się później, że tego rodzaju doznania – mające miejsce, kiedy osoba, której dotyczą, jeszcze nie wie, że ktoś bliski zmarł – nie są rzadkie, a wręcz zdarzają się zdumiewająco często, ale rodziny chronią swą wiedzę, zamykając ją w bezpiecznym kręgu i otaczając miłością niczym najintymniejszą pamiątkę rodzinną, trzymając ją z dala od sceptycznych spojrzeń obcych.

W następnym roku dowiedziałam się dużo więcej o istniejącym wokół mnie świecie chowanym w ukryciu, jednakże w tamtym czasie uzmysławiałam

sobie tylko jedno: cóż to był za wspaniały podarunek dla Katharine. W ciągu ostatnich dwunastu miesięcy każde przebudzenie było dla niej bolesnym uświadamianiem sobie na nowo własnej rozpaczliwej sytuacji, za każdym razem czuła, że pochłania ją, a wręcz zasysa przerażająca ciemność. Jakże staliśmy się ograniczeni, mówiąc w naszym eufemistycznym języku o pacjentach „walczących” z rakiem, nie zważając, jak to czynił Szekspir, na ogrom ich bezbronności, widząc w nich pragmatyków z zaciśniętymi ustami, a nie Ofelię czy Leara.

Znałam siostrę lepiej niż kogokolwiek innego na świecie, może z wyjątkiem swoich dzieci. Nie była ani bardziej, ani mniej „odważna” niż biblijny Jezus, gdy wołał: „Boże mój, Boże mój, czemuś mnie opuścił?”. Tej nocy, kiedy lekarz pogotowia beznamiętnie poinformował ją, że ma zmiany w mózgu, długo stała pod prysznicem, lamentując; błagała abstrakcyjny wszechświat, żeby dano jej jeszcze dziesięć lat, pragnęła doczekać chociaż momentu, kiedy jej synowie ukończą szkoły i się poženią.

A potem to nagłe zaskakujące doznanie, kiedy odszedł nasz ojciec – które przeżyła, *nie wiedząc*, że umarł – poczucie niezmałconego spokoju i radości, przekonanie, że ktoś objął ją ochroną.

Tamtej nocy przez bliżej nieokreślony czas – nie była pewna, czy minęło kilka minut, czy kilka godzin – Katharine widziała siebie bawiącą się na podłodze sypialni ze swą jeszcze nienarodzoną wnuczką. Przyszłość ujrzana w lustrze? W tafli wody? W jakiś sposób zdawała sobie sprawę, że jest to dziecko jej obecnie nastoletniego syna Graeme’a. Pięciomiesięczne niemowlę o imieniu Katie, czego była pewna. Chwiejąca się mała istotka, próbująca utrzymać się w pozycji siedzącej. W swojej wizji Katharine podtrzymywała plecki maleństwa. Pomagała dziecinie siedzieć, zauroczona jej słodyczą i zachwycona zwariowaną kokardką we włoskach.

– Była *piękna* – opowiadała Greame’owi, opisując mu jego bajeczne dziecko z odległej przyszłości, kiedy wiozła go tamtego ranka do montrealskiego liceum. Wszystko będzie dobrze, wszystko dobrze się ułoży.

Kiedy wróciła do domu, zadzwonił telefon. To była moja mama z informacją, że umarł nasz ojciec.

*

Na początku kwietnia poleciałam do Arizony zobaczyć Wielki Kanion. Tomografia Katharine wykazała przerzuty raka do kości i wątroby. „Piękno jest tylko przerażenia początkiem, który jeszcze znosimy”[2] – napisał poeta Rainer Maria Rilke. Pamiętam, że przeczytałam to jakiś czas potem i westchnęłam w myślach: „Och!”.

Posuwaliśmy się wzdłuż południowej krawędzi kanionu. Szlakiem Bright Angel, kilkaset metrów przede mną i moim mężem, schodziły juczne muły, dziarsko stukając kopytami po stromym trawersie; nad ich drgającymi uszami bzycały muchy. Podążając za grupą jeźdźców na mułach, wciskaliśmy się odruchowo w skalne urwisko, cofając się przed opadającą w głąb pustką, która niemal zdawała się wciągać, zachęcać, żebyśmy pozwolili sobie na chwilę omdlenia i stoczyli się trzysta metrów głową w dół na spotkanie ze śmiercią.

Czy tylko turyści ośmielali się schodzić tą kruchą ścieżką, zastanawiałam się, czy może również pielgrzymi – zdecydowani na upokorzenie, czepiający się skał po omacku w poszukiwaniu drogi, przyznający się do braku jakiegokolwiek wiedzy na temat ogarniającego ich bezkresu, ulegający pokusie tego właśnie doznania? Kiedy zwiadowcy konkwistadorów po raz pierwszy ujrzeli kanion w XVI wieku, pozwolili uwierzyć własnym oczom i zdecydowali, że rzeka Kolorado na dnie kanionu to zwykły strumyk. Niebieska nitka, którą ich konie z łatwością przekroczą mniej więcej w ciągu kwadransa, brodząc po kolana w wodzie. Nawet nie przyszło im do głowy, że kanion ma szesnaście kilometrów szerokości, od krawędzi do krawędzi, i że rzeka płynąca w dole jest rozległa jak Nil.

Obecnie zdajemy sobie sprawę z tych rozmiarów, ale tylko dlatego, że jasno mówią nam o tym przewodniki. Odpowiednio skupiamy wzrok, a kiedy dojrzymy rzekę, dokonujemy kalkulacji zgodnie z tym, co nam powiedziano:

jeżeli tamta wstążka na dole ma rzeczywiście półtora kilometra szerokości, to wysokość z jakiej ją widzimy, musi przyprawiać nas o zawrót głowy. Kulimy się, wciskając w piaskowiec Supai. Skąd mamy wiedzieć, co jest nieskończone, bezgraniczne, a co nie jest? Czemu powinniśmy zaufać: naszym oczom czy naszym instynktom, przewodnikom czy własnemu ciału? Obliczenia są niepewne.

Śmierć mojej siostry była bliska, czułam to, może miała jeszcze miesiąc, chociaż nie powiedziano jej, jakie są prognozy – nie chciała ich znać – i wciąż ćwiczyła na siłowni. Współćwiczący zaczęli nazywać ją „Lancem Armstrongiem z Montrealu” i rzeczywiście tak wyglądała, pełna wdzięku, zwinna i silna. Doskonale zdawałam sobie sprawę, że ona umiera; do tego stopnia, iż wydawało mi się, że wręcz niebezpiecznie jest oddychać, bo każde tchnienie oznacza upływ czasu. Nieustannie czułam tykający zegar, czułam, jak z każdym wydechem zdradza mnie, opuszcza, rujnuje i łamie mi serce.

– To jeszcze nie tak zaraz, prawda? – zapytał niepewnie mój mąż, maszerując obok mnie, świadom mojego strachu przed komórką, którą miałam w kieszeni, przed jej dzwonkiem. No cóż, tak, to stanie się już zaraz. Zbadałam sprawę. Po przetrzucie zapalnego raka piersi do mózgu średnio do śmierci pozostają trzy miesiące. Ale zachowałam tę wiedzę dla siebie, ponieważ onkolog prowadzący Katharine głośno posługiwał się już tylko metaforami wojennymi. Obecnie zajmował się wytaczaniem „ciężkiej artylerii”, jak to ujął. Pociski eksplodowały w ciemnych od deszczu okopach.

Miałam poczucie, że mój zegar staje się coraz bardziej wewnętrzny i intuicyjny. Co możemy zrobić, kiedy trzeba odczytywać świat inaczej, kiedy normalne kanały informacyjne są zablokowane? Po przejściu około połowy kilometra szlakiem Bright Angel zatrzymaliśmy się na odpoczynek. Mąż poszedł nagrywać dźwięki, to jego pasja, a ja przykucnęłam w niewielkim cieniu pod przewieszoną skałą, przysiadłam niepewnie na zboczu. Widok stąd był zupełnie inny, ponieważ teraz kanion górował nade mną. Mój odchylony podbródek niemal dotykał olbrzymiej kamiennej ściany, wysokiej jak drapacz chmur. Daleko w górze w połyskującym powietrzu krążył rdzawosterny myszołów. To, co widziałam, natychmiast opatrywałam etykietą, nieświadomie: ptak drapieżny, ściana skalna, szybki, trwożliwy ruch susła. Jacyś turyści, Francuzi i Niemcy, człapiący bez tchu, ich nylonowe

plecaki w irytującym odcieniu niebieskiego. Czyjś pies, truchtający. Muchy, mule łajno. A w oddali warkot helikoptera.

A gdybym była kobietą z plemienia Hualapai odpoczywającą dokładnie w tym miejscu kilkaset lat temu? Czy rozłożyłabym ten widok na części składowe, na elementy materialne? Czy może widziałabym krajobraz pełen znaków i duchów, w którym ten ptak nie byłby zwyczajnym ptakiem, lecz pieśnią?

„Nie widziałeś świata właściwie[3] – napisał metafizyk Gaston Bachelard – jeżeli nie śniłeś na jawie o tym, co widzisz”.

Ojciec nie żyje, siostra umiera, czas powitać znaki i duchy, nawet jeżeli doktor wciąż papla, wciąż terkocze o skuteczności ostatniej serii chemii.

Wydostaliśmy się z kanionu, przystając często po drodze, żeby pociągnąć łyk wody z przezroczystych, plastikowych rurek wystających z naszych nowomodnych plecaków. Kiedy zbliżyliśmy się do krawędzi, zobaczyłam tęczę. Doskonałe, kolorowe niewielkie półkole zawieszona na pustynnym niebie, jakby dziecko przykleiło na oknie kalkomanię. Było to tak dziwne, absurdalne, biorąc pod uwagę suchy klimat, że zwróciłam na to uwagę i spojrzałam na zegarek. Prawie południe. Wieczorem z kolei chłoniłam zapierający dech w piersiach obraz zachodu słońca zalewającego kanion kolorowym światłem. Siedząc na drewnianym fotelu na ganku pensjonatu El Tovar Lodge, zadzwoniłam do Montrealu, do Katharine. Brak odpowiedzi.

– Kitty-Kat – nagrałam się na sekretarkę – jestem na krawędzi Wielkiego Kanionu. – Na końcu świata, gdzie zlewa się piękno z przerażeniem; jestem tu dla ciebie, bez ciebie, Katharine. – Myślę o tobie przez cały czas.

Nie odpowiedziała. Dokładnie wtedy, kiedy ujrzałam tęczę na pustynnym niebie, tuż przed południem, moja siostra została przyjęta do szpitala w Montrealu z ostrym atakiem posocznicy; lekarze nalegali, żeby naprędce napisała tak zwany testament życia, deklarację w sprawie podjęcia lub niepodjęcia leczenia podtrzymującego życie.

*

Tydzień później leżałyśmy splecione w uścisku na wąskim szpitalnym łóżku w Royal Victoria Hospital w Montrealu, w boksie oddzielonym parawanami od reszty sali, oglądając CNN w wiszącym na ścianie telewizorze. Sączyła pepsi przez słomkę, łysa jak kolano, w cieniutkiej szpitalnej koszuli; jej ręce były posiniaczone od wielokrotnych nakłuć koniecznych do podłączenia kroplówki, a nogi zbyt blade i zbyt cienkie. Ja miałam twarz spaloną słońcem Arizony, podczas gdy twarz mojej pięknej siostry była napuchnięta od sterydów i rozpalona z powodu zakażenia krwi, które lekarze powoli opanowywali.

Podano jej wreszcie morfinę, a w kącikach ust wreszcie pojawił się delikatny uśmiech, po raz pierwszy po tygodniowym okresie bóleści i cierpienia z powodu nawracających fal intensywnego bólu głowy, na co szpital nie dawał jej nic poza Tylenolem [*odpowiednik paracetamolu – przyp. tłum.*]. Z właściwymi sobie gracją i opanowaniem Katharine starała się nie okazywać przed dyżurującymi pielęgniarkami i lekarzami napadów natężającego się bólu, aż wreszcie wpadłam we wściekłość i o trzeciej w nocy zrobiłam karczemną awanturę, grożąc – nie jestem z tego dumna – że odpiłuję pielęgniarce nogi i wtedy to *jej* podam Tylenol, jeżeli nie przestanie twierdzić, że to jedyna opcja „dozwolona” w przypadku „pani Pearson”.

Tak więc tam właśnie byłyśmy, moja siostra i ja, trzymałyśmy się za ręce i oglądałyśmy relację z amerykańskich prawyborów 2008 roku, kiedy wszedł onkolog i poinformował, że przenosi ją na oddział opieki paliatywnej. Koniec z chemią. Koniec z naświetlaniem. Działa ucichną. Nadszedł czas, powiedział, na „leczenie objawowe”.

Katharine przeniesiono do hospicjum 14 maja 2008 roku. Lekarz z oddziału opieki paliatywnej dawał jej kilka tygodni, co najwyżej. Ale nikt jej tego nie powiedział. Pozwolono jej wyobrazać sobie horyzont bez końca, odległy lub bliski, jasny lub ciemny. Nie pytała. Stała się natomiast cichą królową czyniącą honory na swoim dworze, kiedy przybyło pięćdziesięcioro, a może

i więcej przyjaciół, krewnych i kolegów na ostatnią rozmowę, po ostatni pocałunek. Krótki korytarz hospicjum pełen był snujących się tam i z powrotem szlochających dyrektorów w modnych, drogich garniturach i bogatych kobiet z zaczerwienionymi oczami, niosących butelki Veuve Cliquot. Jeszcze jeden toast, jeszcze trochę śmiechu.

Pielęgniarki z hospicjum były zafascynowane, jak powiedziały mi później, bo przywykły do małych rodzinnych grup odwiedających pacjentów w starszym wieku, i to od czasu do czasu. Patrzą, jak otwieraliśmy z hukiem szampany i puszczaliśmy ulubione piosenki Katharine, podczas gdy ona kołysała się tanecznie w swoim łóżku, jak kupowaliśmy jej potrawy, na które miała choćby przelotną ochotę i przynosiliśmy jej konwalie, żeby mogła zanurzyć w nich nos i wdychać ich zapach. Nigdy nie widziałam ludzi tak doskonale do siebie dopasowanych emocjonalnie jak my, kiedy spędzaliśmy te ostatnie majowe dni z moją umierającą siostrą. Kiedy potrzebowała więcej energii, odkręcaliśmy kurek. Kiedy potrzebowała jej mniej, przykręcaliśmy go. Kalibrowanie było tak precyzyjne, że kiedy wpadał kolejny odwiedzający, całkowicie niewinny, ale ze złym poziomem energii, rzucaliśmy się na niego, blokowaliśmy mu wejście niczym zawodnicy z drużyny rugby. Wyjdź, WYJDŹ!! Jesteś zbyt radosny/zbyt smutny/zbyt dominujący/zbyt optymistyczny.

Kiedy całowałam siostrę w policzek, ona oddawała mi pocałunek i patrzyła na mnie w sposób tak czuły, że aż mnie to zaskakiwało. Prawdziwa, wielkoduszna miłość, wolna od potrzeb. Często kiedy spała, siedzieliśmy wkoło, nie odzywając się ani słowem, moje dwie siostry, brat i ja. Czasami wmasowywaliśmy w jej rękę krem i śpiewaliśmy cicho. Jej przyjaciel, Joel, grał na gitarze. Moja matka, pogrążona aż w dwóch potokach żalu, czytała na głos wiersze miłosne, które nasz ojciec napisał dla niej na początku lat pięćdziesiątych.

Pewnego popołudnia przyszedł były mąż Katharine z olbrzymim bukietem wiosennych kwiatów, które, jak wyjaśnił, ktoś zostawił anonimowo na progu ich niegdyś wspólnego domu.

– Wszyscy w okolicy cię kochają, Katharine – powiedział z żarliwą szczerością.

– Jest niewątpliwie *ktoś*, kto mnie nie kocha – odparła z ironią, ale i z rozbawieniem.

Mówiła bardzo niewiele w tych ostatnich dziesięciu dniach swojego życia. Kilka zdań od czasu do czasu, częściej po prostu jakieś słowo lub dwa. Tak, ze wszystkiego, co mówiła, wynikało w sposób oczywisty, że jest obecna, że obserwuje. I właśnie dlatego stawało się dla nas coraz bardziej niezwykle to, że wydawała się taka zadowolona. Cieszyła się z naszego towarzystwa i z muzyki, którą dla niej graliśmy, patrzyła z zachwytem na ogród za oknem i na światło tańczące na zasłonach.

– No! no! to było dziwne – zauważyła kiedyś tuż po przebudzeniu, z radosnym uśmiechem na twarzy. – Śniły mi się pieszczoty w kwiatkach.

Wszystko to zdawało się ją interesować – frapować i sprawiać radość, jakby wciągnęła ją jakaś opowieść albo miła przygoda. Wyglądała wspaniale, wydawała się rozświetlona od wewnątrz. Czasem odbywała szeptem radosne rozmowy z osobą, której ja nie widziałam. Innym razem wpatrywała się w sufit pokoju, a na jej twarzy odbijał się cały wachlarz emocji: była zaintrygowana, rozbawiona, sceptyczna, zdziwiona, wyciszona, jak widz w planetarium oglądający z odchyloną głową niebiański pokaz światel.

Obserwowałam ją z przejęciem. Ale nie potrafiła przetłumaczyć tego na zrozumiały dla mnie język. Siostra, z którą dzieliłyśmy się wszystkimi sekretami, przeniosła się tam, gdzie nie było już słów.

– To takie ciekawe – zaczęła któregoś ranka, a potem nie mogła znaleźć właściwych wyrażeń.

– To musi być bardzo frustrujące – powiedziałam cicho – nie móc się wysłować. – A ona skinęła głową. Dotknęłyśmy się czołami. Pozostało mi zgadywać, co czuje albo dostrzec to w relacjach tych, którzy odzyskali głos. Przeczytałam później na przykład o szwajcarskim genealogu Albercie Heimie[4], który odpadł od skały w górach i napisał w 1892 roku: „Nie odczuwałem żadnego żalu ani paralizującego strachu. Nie było niepokoju, nie było ani śladu rozpaczki czy bólu. Raczej spokojna powaga, całkowite pogodzenie się z losem i dominująca nad wszystkim bystrość umysłu”.

Można by powiedzieć: „No cóż, zapomniała, że umiera”. Ale ona nie zapomniała. „Czy mama dobrze się czuje?”, mogłaby mnie zapytać Katharine z troską w głosie. Albo powiedzieć: „Wy wszyscy pewno rozpadacie się szybciej niż ja”.

I rzeczywiście rozpadaliśmy się. Mój mózg był jak niesprawny komputer, jak samochód wrzucony na luz, jak stary czarno-biały telewizor, którego jasność spadła do poziomu jednej migoczącej gwiazdy. Naprawdę trudno mi to opisać, ponieważ nie byłam zdolna intelektualnie do obserwowania własnego rozpadu. Czulałam się zagubiona, podczas gdy Katharine taka nie była. Doskonale wiedziała, że umiera, a nawet więcej. Czterdzieści osiem godzin przed śmiercią poinformowała nas, że wyruszyła już w drogę. Dosłownie, tak jakby powiedziała: „Odchodzę”. Skąd wiedziała? Pobyt w hospicjum mógł przecież trwać dwa albo sześć miesięcy, albo i dwa lata. Jeżeli nie co innego, to nadzieja mogła przechylić szalę, bo właśnie dzięki nadziei przetrwała pierwsze jedenaście miesięcy choroby. Badania przeprowadzone przez naukowców z Harvardu wykazały, że 63 procent lekarzy opiekujących się nieuleczalnie chorymi[5] mocno zawyża ilość czasu, jaka pozostała ich pacjentom. Sami pacjenci natomiast stają się rzeczowi i precyzyjni, czasami przepowiadają swoje odejście, trafiając co do godziny.

Pewnego ranka Katharine obudziła się wyraźnie zakłopotana i powiedziała do Joela, który leżał rozczochrany obok niej na łóżku polowym:

– Nie wiem, jak odejść.

Tak jakby trudność z wykonaniem czekającego ją wkrótce zadania miała coś wspólnego z nauką jazdy na nartach wodnych albo z poznaniem sztuczki niezbędnej do tego, żeby ciasto na chleb dobrze wyrosło. Ewidentnie nie odczuwała już świata w taki sposób jak my, ekstatycznie spragnieni radości, jaką każdego dnia, kiedy przybiegaliśmy w pędzie do jej łóżka, dawało nam stwierdzenie, że wciąż żyje. Naśmiewała się z Joela, mówiąc, że w tym swoim nieładzie, z zapadniętymi oczami, wygląda jak narkoman. Wciąż była obecna, a jednocześnie znajdowała się gdzieś indziej. Katharine przeniosła się na jakiś nowy poziom świadomości, dokąd my nie potrafiliśmy za nią podążać.

Tego popołudnia długo patrzyła przez drzwi balkonowe swojego pokoju.

Siedząc obok niej i głaszcząc ją po rękę, miałam wrażenie, że w tym spojrzeniu jest coś, jakby frustracja. Rozdrażnienie.

– Na co patrzysz? – spytałam.

Wolno podniosła rękę i pokazała na ogród, stwierdzając:

– *Nieszczęsne* stewardesy.

Wszyscy roześmieliśmy się zaskoczeni. W tym momencie wolontariuszka pracująca w hospicjum wtoczyła wózek z przekąskami.

Katharine, czujna, odwróciła się do nowego gościa i spytała:

– Jak się przedstawia sytuacja?

Wolontariuszka odpowiedziała z werwą, radośnie:

– No cóż, sytuacja jest taka, że mamy tartaletki cytrynowe, batony Nanaimo i ciasteczka owsiane. Wszystko domowej roboty. – Wydawała się zadowolona.

Moja siostra spojrzała na nią jak na obłąkaną.

– To znaczy, chodzi mi o to – wyjaśniła Katharine, odchrząkując, jako że jej płuca były coraz bardziej przekrwione – kiedy odjeżdżam?

Joel, po mistrzowsku tłumiąc rozdzierający go żal z powodu utraty miłości swojego życia po zaledwie trzech latach, przybrał komiczny hinduski akcent (poznali się w New Delhi) i kiwając głową, zasugerował:

– Zdecydujecie o tym ty i Bóg.

Katharine odeszła następnej nocy, w ciszy, przy świetle świec, podczas gdy ja leżałam z policzkiem na jej piersi i ręką na sercu, czując, jak jej oddech spowalnia się i cichnie niczym cofające się fale odpływu. Joel siedział po jednej stronie łóżka, moja siostra Anne po drugiej. Weszła pielęgniarka, bosą, z latarką i potwierdziła zgon, pełnym szacunku skinieniem głowy, bez słów, a potem namaściliśmy olejami ciało Katharine i owinęliśmy je

w jedwab. Pracownicy zapalili świeczkę w oknie hospicjum. Moja matka, starsza siostra Hilary i matka chrzestna Katharine, Robyn, znajdujące się półtora tysiąca kilometrów na zachód od nas, w Vancouver, przebudziły się w swoich łóżkach, wyczuwając, że coś się stało.

„Cały świat powinien zapłakać z powodu straty tak cudownej dziewczyny”, pomyślała półprzytomna, zaspana Robyn, a w ciemnościach świtu poruszyły się i zaszeleściły zasłony.

*

Żal po stracie bliskich otwiera kanał komunikacyjny między obcymi ludźmi, to sprawa niezwykła. „Witaj w naszym plemienu”, powiedział ktoś do mnie cierpko latem 2008 roku i dokładnie o to właśnie chodzi: o niesamowicie intymne wzajemne zrozumienie, bez względu na to, co jeszcze ma się ze sobą wspólnego. Teraz tym wspólnym mianownikiem jest śmierć. Trudno sobie wyobrazić, żeby była ona podstawą przynależności do plemienia dwieście czy pięćset lat temu, kiedy śmierć była wszechobecna i widoczna, a obrzędy upamiętniające zmarłego wspólne. Jednak dzisiaj śmierć to tabu, na dodatek złamane. Nie ma wspólnego języka do rozmowy o tym, co się stało. Nie ma uniwersalnego pocieszenia takiego jak: „Twoja siostra jest teraz z Bogiem”. Są natomiast osoby, które czują się skrępowane w naszej obecności. Ale są też ludzie, którzy wiedzą wszystko o naszym szaleńczym gniewie, wytrącającym nas z równowagi, prowadzącym do tupania nogami z wściekłości, niemożliwym do ukojenia, i potrafią powiedzieć: „Tak, rozumiem cię, przyjacielu”.

Pewien podzbiór tego plemienia, może połowę jego członków, łączy coś jeszcze, w milczeniu, prawie niewidzialnie. A jest to poczucie, że od umierających dowiedzieliśmy się o dodatkowych kanałach komunikacyjnych, których istnienia wcześniej sobie nie uświadamialiśmy. O kanałach umożliwiających poznanie spraw w sposób tajemniczy, *łącznie się*

w sposób tajemniczy – ze sobą nawzajem, z umierającymi i ze zmarłymi – na nieoznaczonych na mapie lub dawno zapomnianych ścieżkach.

Ci ludzie ujawnili się, otworzyli przede mną. Część z nich to przyjaciele i koledzy, których znałam od lat, inni to osoby siedzące obok w samolocie lub towarzyszące mi w autobusie. Niemal niezmiennie poprzedzali swoje wypowiedzi uwagą: „Nigdy nikomu o tym nie mówiłem, ale...”. Albo: „Rozmawiamy o tym tylko w rodzinie, ale skoro zbiera pani takie materiały...”. Opowiadano mi o wizjach na łożu śmierci, o wyczuwaniu czyjeś obecności, o doświadczeniu śmierci (*Near Death Experience, NDE*), o postrzeganiu świata spoza własnego ciała, o nagłej świadomości cierpienia ukochanej osoby. Kiedyś po przyjęciu odwoził mnie do domu znajomy, dyrektor dużej firmy fonograficznej, i gdy wyjaśniłam, nad czym pracuję, zaparkował samochód i wyraźnie nie był gotowy się ze mną pożegnać. Chciał mi opowiedzieć o tym, jak będąc chłopcem, zszedł któregoś ranka na śniadanie i jak zwykle zobaczył swego tatę przy kuchennym stole. Tyle że zaraz potem jego matka przekazała mu wiadomość, że ojciec tej nocy zmarł. Mój kolega zastanawiał się przez chwilę, czy mama aby nie postradała zmysłów. „Przecież siedzi tutaj”. To była najbardziej zadziwiająca i najbardziej niesamowita chwila w jego życiu.

Pewnego majowego popołudnia, zbyt ciepłego jak na tę porę roku, stałam na chodniku w Pittsburgu, rozmawiając z pewną kobietą; czekałyśmy na resztę turystów, z którymi przyjechałyśmy tu na weekendową wycieczkę, żeby zwiedzić muzea Carnegie i Andy’ego Warhola. Opowiedziałam jej, do jakiego rodzaju książki zbieram materiały, a ona pokiwała głową, a następnie odważyła się opisać historię swojej siostry. Obudziła się ona pewnej nocy, mając wrażenie, że na jej łóżko sypie się szkło, jakby burza wepchnęła okno sypialni do środka. W przypływie adrenaliny kobieta natychmiast wyskoczyła z łóżka i zaczęła ostrożnie szukać po omacku kawałków szkła, spodziewając się znaleźć je w dużych ilościach. Na kocu nie było niczego. Okno było nietknięte; panował całkowity spokój. Następnego dnia dowiedziała się, że jej córka miała wypadek samochodowy, w którym roztrzaskała się przednia szyba. Jeszcze przez chwilę rozmawiałyśmy o innej śmierci w jej rodzinie i kiedy dołączyła do nas reszta towarzyszy podróży, w niebieskich oczach kobiety zobaczyłam łzy. Ponownie uderzyło mnie to, jak potężne i bolesne są przeżycia związane ze śmiercią, jak skrupulatnie je

ukrywamy, a jednocześnie jak wciąż drzemią one tuż pod powierzchnią.

Ze stratą wiąże się ból, a w naszej kulturze spotęgowany strachem przed podejrzeniem o szaleństwo albo przed napiętnowaniem, na które narażamy się, opowiadając o paranormalnych przeżyciach, jakich mieć nam nie wolno. Wystarczy powiedzieć komuś, że siostra czuła w swojej sypialni czyjąś obecność, a natychmiast pojawiają się wyjaśnienia:

Halucynacje.

Pobożne życzenie.

Zbieg okoliczności.

A także ukryte potępienie: „No wiesz? Chyba jesteś zbyt łatwowierna”.

Skąd wiemy to, co wiemy? Halucynacje są wciąż słabo wyjaśnione przez neurobiologów, jednakże wykonywane skanerem fMRI badania zahipnotyzowanych ochotników, którym kazano słyszeć pewne dźwięki lub widzieć pewne obrazy, potwierdziły, że różnią się one od wytworów wyobraźni. Nie jest to myślenie życzeniowe, a wobec tego co to jest? Dla niemal połowy ludzi pogrążonych w żałobie takie pytanie na pewno nie jest bezsensowne. Lekarz opieki paliatywnej Michael Barbato ze szpitala Świętego Jana w Hobart w Australii przygotował ankietę[6] dla członków rodzin pacjentów, bo uświadomił sobie, że ani na jego oddziale, ani w ogóle w hospicjach, nigdy formalnie nie badano, jak powszechne są tego rodzaju doświadczenia w obliczu śmierci. Ku swemu zaskoczeniu odkrył, że miało je 49 procent respondentów. „Nawet jeżeli nie rozumiemy podstaw tych parapsychologicznych zjawisk – argumentował Barbato w napisanym następnie artykule – ciężar dowodów sugeruje, że nie możemy ich lekceważyć”. To oczywiste, że nie można ich ignorować, kiedy przytrafiają się *nam samym*.

Pewnego wieczoru byłam na przyjęciu z okazji Bożego Narodzenia u starych znajomych z uniwersytetu i wypłynął tenże właśnie temat. Nadrabiałam zaległości towarzyskie z mężczyzną, którego nie widziałam od wielu lat, pracującym w dziale informatycznym banku i opowiedziałam mu o stracie Katharine i ojca, a także o tym, że zaczęłam zbierać materiały na temat

odczuć zmysłowych Katharine w obliczu śmierci, jej świadomości zbliżającego się końca (*Nearing Death Awareness, NDA*), a wtedy on powiedział łagodnie:

– Nie chciałem być nieuprzejmy, ale wielce prawdopodobne, że ona wszystko to sobie wyobraziła.

Wracając do domu tamtego wieczoru, rozmyślałam nad tym, jak niewiarygodnie prostackie było to, co powiedział znajomy. Oto ktoś, kto nie uczestniczył w swoim życiu w żadnym kursie psychologii, a już na pewno nie orientował się w temacie hospicjum, uważał, że jest absolutnym autorytetem w tych sprawach. Nazywając rzecz po imieniu, rzucił swoją uwagę od niechcienia i odebrał wszelkie znaczenie jednemu z najświętszych momentów w życiu Katharine. Jesteśmy istotami poszukującymi sensu. Żyjemy wśród legend i mitów; nie czujemy się dobrze na cmentarzysku maszyn, zakuci w materialistyczne okowy, a na dodatek nazywani matołami, kiedy opłakujemy swoich bliskich. Co pcha ludzi z naszego kręgu kulturowego do takich zachowań?

– Kocham cię – szepce mężczyzna do swojej nowo poślubionej żony podczas przyjęcia weselnego.

Wyobraźmy sobie, że do budynku wdziera się naukowiec.

– Udowodnij to! – rozkazuje. – Udowodnij, że kochasz swoją żonę. Zrobiłeś rezonans?

Udowodnij swój gniew, udowodnij empatię, udowodnij poczucie humoru. Nikt oczywiście nie każe nam tego robić, ponieważ miłość, gniew, empatia czy dowcip są uważane za pospolite składniki natury ludzkiej. Duchowość kiedyś również uważano za coś zwyczajnego, ale obecnie zalicza się ją do stanów nadzwyczajnych – to jak twierdzenie wymagające nadzwyczajnych dowodów. Dlaczego tak ma być? Nie ma to nic wspólnego z tym, czego dowiedziono albo czego nie dowiedziono, chodzi wyłącznie o rozwój uprzedzeń naukowych. Niezręcznie jest mówić o czymś głośno, kiedy dane, z jakimi się stykamy, nie pasują do faworyzowanego paradygmatu. Panuje więc prawie absolutna cisza. Badanie przeprowadzone w 1980 roku na ponad tysiącu nauczycieli akademickich[7] w Stanach Zjednoczonych wykazało, że

55 procent specjalistów w zakresie nauk przyrodniczych, 66 procent specjalistów nauk społecznych i 77 procent humanistów uważało, iż jakiegoś rodzaju postrzeganie paranormalne jest albo faktem, albo zjawiskiem wielce prawdopodobnym. Tylko 2 procent uznało, że to absolutnie niemożliwe. Badanie miało miejsce jeszcze przed rozkwitem neurobiologii w latach pięćdziesiątych XX wieku i w pierwszym dziesięcioleciu XXI wieku, w którego wyniku pogłębiło się domniemanie, że wyjaśnienie wszystkich ludzkich doświadczeń będzie można znaleźć w jego mózgu.

W 1999 roku psycholog Charles Tart stworzył stronę internetową zatytułowaną „Archiwum Transcendentnych Doświadczeń Ludzkich”[8], która miała być miejscem, gdzie naukowcy mogli bezpiecznie przyznawać się do osobliwych czy duchowych przeżyć, nie ryzykując kariery zawodowej. Mieli tam zamieszczać posty anonimowo. Tart określił swoją stronę jako „miejsce bezpieczne”, zupełnie jakby chodziło o przyznanie się do długoletniego opilstwa czy noszenia damskiej bielizny. Posty zamieszczali inżynierowie, chemicy, matematycy, biologowie. Naukowcy ci – i wielu innych takich samych jak oni – zadali kłam mocno utartemu przekonaniu, że tylko ludzie łatwowierni i sentymentalni padają ofiarą tego rodzaju doświadczeń. Niedawne badanie, którego wyniki zamieszczono w „British Journal of Psychology”, pokazało, że nie ma różnicy, jeśli chodzi o umiejętność krytycznego myślenia[9], między osobami, które miały takie osobliwe doświadczenia a ludźmi nazywającymi siebie sceptykami[10]. Ten brak różnicy potwierdzają też inne badania. Zgodnie z ankietą Harris Poll z 2003 roku ludzie lepiej wykształceni są znacznie mniej skłonni wierzyć w zjawiska paranormalne natury religijnej, na przykład w dziwaczne pomysły filmowe, takie jak opętanie przez diabła w *Egzorcycie*, ale za to są bardziej skorzy akceptować „psi”, czyli proste zjawiska paranormalne, jak telepatia i jasnowidztwo. Innymi słowy, dość powszechnie akceptuje się fakt, że we wszechświecie dzieje się coś, co wykorzystuje inny zmysł niż te, które dotychczas zostały zidentyfikowane.

Najlepiej chyba poglądy tych osób oddaje fizyk z Princeton Freeman Dyson[11], który napisał w „The New York Review of Books”: „Jeżeli wierzy się, a ja wierzę, że postrzeganie pozazmysłowe (*Extrasensory Perception, ESP*[12]) istnieje, tyle że jest nie do zbadania w sposób naukowy, musi się uznać, że możliwości nauki są ograniczone. Stawiam

hipotezę roboczą, że ESP jest czymś realnym, ale należy do wszechświata psychicznego, który jest zbyt płynny i zbyt ulotny, żeby zmieścić się w sztywnych ramach protokołów badań naukowych”.

Narzędzia przeznaczone do mierzenia temperatury, mapowania genomu i określania, co sprawia, że pszenica rośnie, nie znajdują tu zastosowania. Omawiane przeżycia przychodzą bez zaproszenia, mimo woli. Nie możemy umieścić mojej siostry w laboratorium w Palo Alto ani czekać, żeby mój ojciec umarł raz jeszcze. Dyson za swe stwierdzenia został mocno skrytykowany, ale jak wielu z nas był świadkiem tychże osobliwości w obrębie własnej wielopokoleniowej rodziny. Jego babka, jak napisał, była „znaną i odnoszącą sukcesy uzdrowicielką”; kuzyn – wieloletnim wydawcą „Journal for the Society of Psychical Research”. Sceptycy, oczywiście, określają czasami takie osoby jako oszustów i łatwowierne ofiary, ale kiedy się tych ludzi pozna – ich inteligencję, jak mocno stąpają po ziemi, w jakie zakłopotanie wprawia ich to, czego dowiadują się w nieznanym sposobie – takie określenie jest po prostu nieprzekonujące. Jak powiedział Dyson o kuzynie i swojej babce: „Żadne z nich nie było głupcem”.

W indywidualnych wypadkach nawrócenie – przejście od założenia, że wszechświat działa w oparciu o określony zbiór zasad do niespodziewanego podejrzenia, że w grę mogą wchodzić inne siły – może mieć „charakter wstrząsowy”, jak określiła to Elizabeth Lloyd Mayer, psychiatra z Uniwersytetu Kalifornijskiego, po zetknięciu się osobiście z aktem postrzegania ewidentnie wykorzystującym nieznaną zmysł. W przypadku Mayer szok miał związek z jasnowidztwem. W 1991 roku jej córce skradziono niedaleko San Francisco rzadką i cenną harfę, której nie zdołała odnaleźć ani policja, ani rodzina zamieszczająca ogłoszenia w telewizji i newsletterze. Po kilku miesiącach pewien znajomy poddał Mayer myśl, żeby poradziła się różdżkarza, jako że i tak nie miała nic do stracenia.

– Szukanie zagubionych przedmiotów za pomocą *rozwidlonego patyka*? – zadrwiła Mayer.

Jednak znajomy zostawił jej numer telefonu prezesa Amerykańskiego Towarzystwa Różdżkarzy, człowieka o nazwisku Harold McCoy z Arkansas.

– Zadzwoiłam do niego tamtego dnia. Harold podniósł słuchawkę.

Przyjazny, wesoły głos z mocnym akcentem z Arkansas.

Wyjaśniła mu, że szuka harfy skradzionej w Oakland i zastanawia się, oznajmiła to z powątpiewaniem, czy mógłby jej pomóc zlokalizować instrument.

– Proszę chwilę poczekać – odparł. – Powiem pani, czy ciągle jest w Oakland. – Przerwał, a potem oświadczył: – Tak, ciągle tam jest. Proszę mi przesłać plan Oakland, a zlokalizuję tę harfę.

Mayer wysłała mapę ekspresem, a dwa dni później McCoy oddzwonił i powiedział, w którym dokładnie domu w Oakland znajduje się harfa jej córki. Mając poczucie, że chyba postradała zmysły, rozwiesiła ulotki w promieniu dwóch przecznic od tego domu, w nieznannej sobie okolicy i niebawem odebrała telefon od kogoś, kto widział harfę w domu sąsiada. Osobie tej udało się dostarczyć Mayer zaginiony instrument.

– Kiedy skręcałam na podjazd swojego domu (z harfą), pomyślałam: „To zmienia wszystko”[13].

Musiła ponownie i gruntownie przeanalizować swoje pojmowanie mechanizmów kierujących światem. Podobnie czułam się i ja. Dlaczego moja siostra miała potężne doznanie duchowe w godzinie niespodziewanej śmierci mojego ojca? Jak to się stało, że poczuła czyjaś obecność w sypialni i czyjeś ręce na swojej głowie? Dlaczego ukazała się jej przyszła wnuczka? Dlaczego, nieco później, wkroczyła we własne doświadczanie śmierci zalękniona – a jednak potem stawała się coraz bardziej radosna? Co widziała, czego doświadczyła, co próbowała powiedzieć? To, czego ja się dowiedziałam, jest dużo głębsze i dużo bardziej tajemnicze niż cokolwiek, co sobie kiedykolwiek wyobrażałam. Dziękując tym z czytelnikami, próbuję otworzyć zamknięte drzwi.

ROZDZIAŁ 2

Co widzą umierający:

świadomość zbliżającej się śmierci

Jadalnia ośrodka opieki paliatywnej na West Island jest, co wręcz niewiarygodne, miejscem dość wesołym. Kiedy moja siostra leżała umierająca, rządziła tam papużka falista o imieniu Blueberry, która skakała z żerdki na podłogę, z huśtawki na ścianę i trajkotała do wszystkich bez wyjątku. Tego dnia dyżurowało kilku wolontariuszy śpiewających razem w rytm lekkiego rocka płynącego z radia, piekących babeczki i miksujących koktajle ze świeżych owoców, zwane smoothies, które umierający mogli sączyć przez słomki. Minęły trzy lata, od kiedy jadłam tu pyszne zupy i ciasto z mięsnym farszem przygotowywane dla pozostających w szoku rodzin. Wróciłam teraz w spokojniejszym nastroju, żeby porozmawiać z Monique Seguin, jedną z pielęgniarek Katharine, o zjawisku, które personel hospicjów w całej Ameryce Północnej nazywa świadomością zbliżającej się śmierci (*Nearing Death Awareness, NDA*).

Pamiętam Monique, kobietę w średnim wieku z ciemnymi kręconymi włosami i ostrym nosem, która nam, ludziom w stanie wyczerpania nerwowego, wydała się apodyktyczna, kiedy pewnego popołudnia przegoniła całe towarzystwo z pokoju Katharine, żeby moja siostra mogła odpocząć. Nawet napisałam do niej wówczas list, krzycząc za pomocą wielkiego, niechlujnego, pochylego pisma, że to nie jej sprawa, że ktoś, kto ma wkrótce zasnąć na zawsze, nie musi spać w tak zwanym międzyczasie, jako że czas staje się cenny i wyjątkowy. Nigdy jej tego listu nie dałam i dopiero po upływie wielu miesięcy zrozumiałam, że pielęgniarki i lekarze patrzą na swoich pacjentów inaczej niż większość rodzin patrzy na swoich ukochanych – dla nich śmierć jest czymś zupełnie nowym.

Nie byłoby takiego problemu dwieście lat temu, kiedy wszyscy byli zgodni co do duchowego znaczenia procesu umierania. Teraz jednak okazuje się, że pielęgniarki stają się orędowniczkami potrzeby tworzenia przestrzeni wokół tych, których tracimy, miejsca, gdzie panuje cisza, gdzie możliwe jest

nasłuchiwanie, a to dlatego że wiedzą z doświadczenia, iż osoby z łóżek hospicjów w pewnym momencie zaczynają podlegać subtelnej transformacji świadomości i nastroju. Oparłszy łokcie na drewnianym stole jadalnym, Monique mówi, że większość ludzi, którymi opiekuje się od lat, w pewnym momencie dokładnie wie, kiedy umrze. Dla pielęgniarek ta pewność jest czymś niesamowitym.

– Wszyscy wiemy, że umrzemy... kiedyś – podkreśla Teresa Dellar, dyrektor ośrodka. – Ale to jest co innego[1].

Na mniej więcej siedemdziesiąt dwie godziny przed końcem życia wielu umierających w hospicjum zaczyna opowiadać o jakiejś metaforycznej podróży i nie posługują się oni eufemizmami. Daleko za sobą pozostawili już wyrafinowane uprzejmości i dążenie do uszczęśliwiania wszystkich naokoło. Często, nie wypowiedziawszy ani słowa przez wiele dni, nagle wielce skupieni mówią coś o podróżowaniu. Chcą się naprawdę dowiedzieć, gdzie są ich bilety na pociąg albo buty turystyczne, albo tablica pływów.

Monique podaje przykład.

– Mieliśmy pacjentkę, która była wyraźnie pobudzona. Był piątkowy wieczór. Wciąż mówiła: „Chcę jechać na zakupy”. Była w swoim życiu klientką z prawdziwego zdarzenia. Spytałam: „Kiedy chcesz jechać na zakupy?”. Odpowiedziała: „W poniedziałek”. Zgodziłam się: „Dobrze pojedziemy na zakupy w poniedziałek”. Moim zdaniem mówiła: „Odchodzę”. I rzeczywiście zmarła w poniedziałek wieczorem.

Dla rodziny planowanie zakupów byłoby urojeniem, mamrotaniem w gorączce bez najmniejszego znaczenia. Nieporównanie bardziej znacząca i oczekiwana byłaby dla nich spowiedź na łożu śmierci, coś zrozumiałego, kinowego – wyszeptane „Kocham cię” albo „Opiekuj się dziećmi”, zanim głowa opadnie na poduszkę. Ale personel hospicjum wie, że kiedy pacjenci zaczynają mówić o podróży, zapowiadają swoje odejście. Nie zachowują się jak aktorzy umierający w hollywoodzkich filmach. Zamiast dzielić się jakimiś ostatecznymi przemyśleniami nad swoim życiem, dopytują o bilety albo o statek. Niektórzy proszą o płaszcz, inni pytają o rozkład jazdy autobusów. Znajdują się w samym centrum pracowitych przygotowań do wyjazdu i nie zwracają uwagi na to, co zostawiają za sobą. W wypadku mojej

siostry szczególnie uderzyło mnie pytanie: „Kiedy odjeżdżam?” – po tym jak straciła zainteresowanie stewardesami, uznawszy je za nieszczęsne. Zadała swoje pytanie w taki sposób, w jaki zadałabym je ja, chcąc się upewnić co do godziny odlotu z Newark.

David Kessler[2], przewodniczący komisji opieki paliatywnej przy Hospital Association of Southern California (Stowarzyszeniu Szpitali Południowej Kalifornii) miał okazję obserwować to zjawisko niezliczoną liczbę razy – zarówno we własnej pracy, jak i poprzez rozmowy z kolegami lekarzami. „Koncepcja umierającego przygotowującego się do podróży nie jest ani nowa, ani niezwykła – napisał – chociaż, co ciekawe, zawsze dotyczy to podróży ziemskiej. Ludzie opowiadają o pakowaniu bagaży albo szukają biletów, nie wspominają o rydwanach niebieskich czy podróży w wieczność w jakiś inny sposób”.

Dziewięćdziesięciosześcioletni mężczyzna obudził się nagle w swoim łóżku w hospicjum i zwrócił się do córki Gail, która zrelacjonowała wydarzenie Kesslerowi:

– Gail, czas wyjeżdżać – oznajmił staruszek.

– Wyjeżdżać dokąd?

– Wychodzimy! Biegiem. Muszę być wolny.

Nie wiedziała, co powiedzieć. Pomogła mu usiąść, jako że wydawało się, iż chce wstać z łóżka.

– Samochód gotowy? – spytał.

Kiedy zapewniła go, że stoi tuż pod hospicjum, powiedział:

– To dobrze. Ja jestem gotów. A ty?

Zapytała, dokąd pojedą, a on odparł, że nie jest pewny.

– Wiem tylko, że mam tę podróż przed sobą i że nadszedł czas.

Postanowił odpocząć trochę przed „wyprawą” i zmarł tego samego ranka.

Nie istnieją żadne znane medyczne przesłanki pozwalające wyjaśnić, jak to możliwe, że umierający mają tak przeraźliwe wyczucie czasu własnego zgonu. Z drugiej strony, jak ustalono w badaniach przeprowadzonych na Harvardzie, lekarze w Stanach Zjednoczonych wyraźnie zawyżają przewidywania co do długości dalszego życia swych nieuleczalnie chorych pacjentów. W ramach konferencji poświęconych opiece paliatywnej często odbywają się sesje na temat, jak poprawić zdolność stawiania przez lekarzy prognoz w sprawie śmierci. Kiedy pacjenci oznajmiają, że ruszają w podróż, rzadko występują u nich objawy fizyczne, takie jak zauważalne obniżenie ciśnienia krwi czy poziomu tlenu. Wprost przeciwnie, pogarszanie się stanu fizycznego ma miejsce później.

– Odejdę dziś w nocy – powiedział do swojego menedżera wokalista bluesowy James Brown[3] w Boże Narodzenie 2006 roku, dzień po przyjęciu go do szpitala z zapaleniem płuc, którego nie uznano za śmiertelne, po czym oddech artysty zaczął się spowalniać.

W międzynarodowych badaniach[4] nad doświadczeniami na łożu śmierci, najobszerniejszymi, jakie kiedykolwiek dotychczas przeprowadzono, psycholodzy Osis Karlis i Erlendur Haraldsson potwierdzili, że przewidywanie odejścia zdarza się nawet ludziom, których lekarze nie uważają za śmiertelnie chorych. Oto przypadek, który jeden z lekarzy zrelacjonował badaczom.

– Pacjent, mężczyzna pięćdziesięciokilkuletni, miał być wypisany ze szpitala siódmego dnia po operacji złamanego biodra. Pacjent nie miał gorączki i nie dostawał żadnych środków uspokajających. Nieoczekiwanie poczuł ból w klatce piersiowej i zostałem do niego wezwany. Gdy przyszedłem, stwierdził, że zaraz umrze. „Dlaczego pan tak mówi? Niewielki ból w piersi nie oznacza, że pan zaraz umrze”. Wtedy pacjent zakomunikował, że kiedy poczuł ból w piersi, doznał halucynacji, wciąż zachowując pełną świadomość. Powiedział, że przez kilka sekund czuł, iż przebywa nie na tym świecie, lecz gdzieś indziej... „Odchodzę”[5], oznajmił i umarł kilka minut później.

Pracownik paramedyczny[6] David Levin styka się z tymi zagadkowymi przejawami wewnętrznej wiedzy w karetce pogotowia, w drodze do szpitala.

– To bardzo wytrącające z równowagi – mówi. – Oni to wiedzą, z jakiegoś powodu, jakimś sposobem. Mają zdolność przewidywania. Mają to wyraźne poczucie, że umrą i powiedziałbym, iż w dziewięćdziesięciu pięciu procentach wypadków kończy się na tym, że umierają na moich oczach. To dla mnie bardzo trudne. – Trudne? Dlaczego? Ponieważ wymyka się logice medycznej, a co za tym idzie, pozostaje w sprzeczności z wykształceniem. – Było wiele wypadków, kiedy naprawdę nie sądziłem, że są aż tak chorzy, a potem z jakiegoś powodu nagle dochodziło do zatrzymania akcji serca, a ja mogłem tylko stwierdzić: „O mój Boże, powiedział mi, że się to stanie”.

Czy świadczy to o nieudolności nowoczesnej medycyny, która nie potrafi opisać psychofizycznych procesów związanych ze śmiercią?

– Mój pacjent oświadczył: „Tak, dzisiaj umrę”[7] – wspomina pewien lekarz opieki paliatywnej w raporcie z 2010 roku o wpływie śmierci na życie osobiste lekarzy, opublikowanym w „Canadian Medical Association Journal”. Tenże lekarz zastanawia się:

– W żadnym razie nie powinien umrzeć... a jednak umarł w ciągu czterdziestu ośmiu godzin. Zdziwiał mnie to. Jest w tym jakaś tajemnica.

„Kilku obserwatorów medycznych wyraziło zdumienie i zaskoczenie[8], kiedy przedstawiono im przypadki pacjentów, którzy zmarli... mimo dobrych rokowań medycznych” – napisali dwaj wyżej wymienieni psycholodzy po przeprowadzeniu szczegółowych studiów nad tymi tajemnicami. „Weźmy na przykład pacjenta po sześćdziesiątce hospitalizowanego z powodu astmy oskrzelowej. Lekarz prognozował całkowite wyleczenie. Sam pacjent spodziewał się, że przeżyje i chciał żyć. Nagle zawołał: »Ktoś mnie wzywa«. Zawahał się zaskoczony i początkowo próbował to zlekceważyć; rodzinie powiedział, że nie ma powodów do zmartwienia. Jednakże zmarł w ciągu najbliższych dziesięciu minut”.

Psycholożka oddziału opieki paliatywnej Kathleen Dowling Singh opisała ten sposób zdobywania wiedzy jako coś zbliżonego do przechodzenia w odmienne stany świadomości. Czasami odbywa się to szybko i tak niespodziewanie, że nie ma czasu, aby zrozumieć, co się wydarzyło. Innym razem, przy rozwijającej się wolno, nieuleczalnej chorobie kojarzy się to z budzącą się powoli, ale pewnie świadomością, że czeka na nas inna kraina.

Singh opowiada, jak siedziała przy umierającej koleżance będącej w śpiączce. Nieco retorycznie, głaszcząc ją lekko, zapytała, jak się czuje, i ku swemu zaskoczeniu usłyszała odpowiedź koleżanki: „Jestem w połowie drogi”. Singh pisze dalej: „Nigdy się nie dowiem, czy jej słowa dotyczyły czasu, to jest rozwoju wydarzeń od soboty, kiedy ją hospitalizowano, do środy, kiedy umarła, czy też odnosiły się one do jej psychiczno-duchowej wędrówki od tragedii do stanu łaski. Wiem natomiast, że nawiązywała do procesu, który znosiła świadomie i że ten proces miał dla niej referencyjny punkt początkowy i punkt końcowy[9], które umożliwiły jej wyznaczenie półmetka drogi”.

Zakładając, że ze śmiercią wiąże się coś, co jest jakościowo inne niż jakiegokolwiek wcześniejsze doświadczenie w życiu człowieka, należałoby pomyśleć, że wobec tego to coś powinno być nieznanne, a nie wymierne i pewne. A gdyby tak zapytać kobietę mającą urodzić swoje pierwsze dziecko, czy wie, czego się spodziewa, minuta po minucie, czy może powiedzieć z pełnym przeświadczeniem, że dziecko urodzi się „w poniedziałek”. Oczywiście, że nie może. Skąd więc niektórzy umierający wiedzą więcej?

*

„Czy moja żona wie o paszporcie i bilecie?”[10]. Pytanie to zostało skierowane – szorstko, szeptem – do Maggie Callanan, pielęgniarki z hospicjum w Wirginii, przez bywałego w świecie mężczyznę, który w latach osiemdziesiątych umierał wskutek spustoszenia poczynionego w organizmie przez raka trzustki. Wiedziała, co miał na myśli – *czy moja żona wie, że wkrótce umrę?* – ale będąc dopiero na początku swojej zawodowej kariery, nie potrafiła wyjaśnić sposobu, w jaki zadał swoje pytanie. Zaczęła pracować z umierającymi zaledwie dziesięć lat po tym, jak dzięki powstaniu hospicjów można było zaoferować rodzinom alternatywę dla mocno zmedykalizowanej śmierci w szpitalu. Callanan była

dplomowaną pielęgniarką i szybko zdała sobie sprawę, że w spokojniejszej atmosferze domów opieki można wyraźnie zaobserwować wzorzec zachowań u powierzanych jej pacjentów, który nie zgadzał się z idiosynkratyczną naturą halucynacji wywołanych lekami narkotycznymi, z czym powszechnie stykała się w szpitalu. Ale najwyraźniej nikt nie podjął się omówienia tego problemu w literaturze pielęgniarskiej. Pionierskie badania Osisa i Haraldssona, których rezultaty opublikowali oni w 1977 roku w książce pt. *At the Hour of Death* (W godzinie śmierci), zostały zaszeregowane do parapsychologii i nie trafiły do rąk personelu medycznego. W tejże dekadzie sławny psychiatra, Elisabeth Kubler-Ross, utorowała drogę opiece hospicyjnej i wprowadziła psychologiczne pojęcie „pięciu stadiów umierania”[11], co w istocie bardziej dotyczyło nakładających się na siebie stanów umysłu – negacji, gniewu, depresji, układania się i akceptacji (niekoniecznie w takiej kolejności).

Callanan wiedziała o przełomowych badaniach psychiatry z Atlanty Raymonda Moody’ego[12] na temat doświadczania śmierci (*NDE*), których wyniki opublikował w 1975 roku. W kolejnym roku swój wkład w literaturę wniosła Kubler-Ross, przekazując własne spostrzeżenia dotyczące doświadczeń w obliczu śmierci zaobserwowanych w hospicjach. To pewne, że ludzie przebywający na oddziałach opieki paliatywnej mogą mieć tego rodzaju doświadczenia na wiele dni, a nawet tygodni przed ostatecznym odejściem z tego świata. Ale to, co dostrzegła Kubler-Ross, nie miało w istocie wiele wspólnego z klasyczną utratą świadomości, pozornym wychodzeniem z własnego ciała, zanurzaniem się w silnym białym świetle czy innymi podobnymi zjawiskami opisanymi przez Moody’ego. Chodziło jej bardziej o to, co umierający widzą, co mówią i co najwyraźniej czują, będąc wciąż w pełni świadomi i wciąż zakotwiczeni na tym świecie. Dyskutowała o tym z innymi pielęgniarkami i lekarzami z hospicjów. Czy oni też to zauważali? Tę przedziwną świadomość zbliżającej się śmierci? Używanie języka odnoszącego się do podróży? Koledzy dostrzegali oczywiście te wzorce, ale również nie wiedzieli, co o tym wszystkim sądzić. Wciąż obserwuje się te zagadkowe zjawiska. Badania z 2009 roku przeprowadzone w pięciu hospicjach i domach opieki potwierdziły, że w tymże roku 62 procent lekarzy i pielęgniarek zetknęło się z czymś, co można by nazwać paranormalnymi[13] zjawiskami na łożu śmierci, ale wielu z nich wciąż uważa to za temat tabu i nie zamierza omawiać otwarcie tego,

czego są świadkami.

Callanan i jej koleżanka z hospicjum, pielęgniarka Patricia Kelly, postanowiły zdefiniować to, co uznały za określony stan świadomości[14] i co nazwały świadomością nadchodzącej śmierci (*NDA*). Przede wszystkim zależało im na tym, by rodziny mogły zrozumieć, co mają im do zakomunikowania ich umierający najbliżsi, żeby nie lekcewały potencjalnie ważnych wiadomości, przypisując je skutkom ubocznym leków lub delirium. W 1992 roku obie pielęgniarki opublikowały książkę zatytułowaną *Final Gifts: Understanding the Special Awareness Needs and Communication of the Dying* (Dar ostateczny: zrozumienie szczególnego stanu świadomości umierających, ich potrzeb i tego, co mają do zakomunikowania). Książka była niemal jak nowoczesne *Ars Moriendi*, podręcznik o psychiczno-duchowej transformacji w procesie umierania krążący niegdyś po klasztorach średniowiecznej Europy. Mnisi wiedzieli, czego szukać i czego słuchać. Callanan i współautorka książki miały nadzieję, że teraz będą to wiedzieli również lekarze i pielęgniarki.

Callanan, charyzmatyczna Amerykanka pochodzenia irlandzkiego o ciętym dowcipie, uważa siebie za „najlepszego piarowca śmierci” i wytrwale rozpowszechnia wiedzę o tym, co tak naprawdę pociąga za sobą proces umierania, który, jak uważa, jest dużo mniej przerażający, niż większości z nas się wydaje. „Sądzę, że mamy moralny, etyczny i ludzki obowiązek[15] opowiadać nasze historie bez względu na to, ile razy trafiają one w próżnię”.

Zgadza się z tym pielęgniarka hospicyjna Monique Séguin.

– Musimy stworzyć sposobność do mówienia, żeby móc słuchać. Jeżeli się w to nie wierzy... no cóż, wykonuje się swoją pracę, ale parę spraw umyka.

W czasie obchodu w ośrodku opieki paliatywnej w West Island Séguin stara się pytać pacjentów o ich sny. To dla nich inny sposób wyrażenia tego, co czują, czego nadejście przeczuwają. Śnią o przejażdżce żółtym autobusem, nie mając pewności, gdzie jest ich przystanek; o unoszeniu się w żaglówce na spokojnym, różowym morzu. (Kobieta, która miała taki sen, powiedziała Séguin: „W łodzi był mój ojciec. Mój ojciec przyjdzie mnie zabrać”). Czasami śni im się, że nie są w stanie przekazać wiadomości swojej zrozpaczonej, odrętwiałej rodzinie. Pewnej kobiecie po osiemdziesiątce śniło

się, że próbowała wcisnąć kolbę kukurydzy w zbyt wąski otwór, co wprowadzało ją w stan ogromnej frustracji. Bez względu na to, czy pacjenci opowiadają o podróży, czy posługują się logiką snu, Séguin próbuje je tłumaczyć, jeśli tylko potrafi.

– Pamiętam pacjentkę, która wciąż powtarzała swojemu synowi: „Zabierz mnie do domu”, a on wciąż się z nią spierał: „Mamo, wiesz, że jesteś zbyt chora”. Kobieta stawała się coraz bardziej sfrustrowana. Pewnego wieczoru próbowałam mu powiedzieć, że może powinien zapytać matkę: „Mamo, kiedy chcesz iść do domu?”; że może ona usiłuje coś mu powiedzieć. Nie słuchał, nie był zainteresowany. – Séguin uśmiecha się i szybko wzrusza ramionami; mówi, że personel „musi obchodzić się z nimi jak z jajkiem”. Kobieta umarła kilka dni później.

*

Najbardziej intrygującym aspektem zjawiska świadomości nadchodzącej śmierci jest skłonność niektórych umierających do widzenia w halucynacjach – w dniach i godzinach poprzedzających zgon – nieżyjących członków rodziny, przyjaciół i symbolicznych istot duchowych. Czy to właśnie tego rodzaju obecność wyczuła moja siostra w nocy, kiedy zmarł nasz ojciec, czy zjawił się tam, chcąc być w pobliżu narażonej na niebezpieczeństwo, przerażonej duszy? W badaniach prowadzonych w Wielkiej Brytanii 55 procent personelu hospicjów opisywało pacjentów, których w godzinie śmierci „odwiedził”[16] jakiś zmarły krewny. Pielęgniarki często, choć nieoficjalnie, uznają te widzenia za wskaźnik nieuchronnie zbliżającego się zgonu.

– Kiedy pacjent mówi, że odwiedziła go nieżyjąca już, bliska mu osoba, wiadomo, że jego czas nadszedł – twierdzi Penny Sartori[17], niegdyś pielęgniarka oddziału intensywnej opieki medycznej, obecnie pracownik naukowy. Opowiada o swoim pierwszym zetknięciu się z tym

niekonwencjonalnym zegarem: – Pamiętam, że kiedy byłam w szkole pielęgniarskiej, spotkałam pracowników nocnej zmiany, którzy poinformowali mnie bardzo rzeczowo: „Taki a taki gawędzi ze swoją zmarłą matką przez ostatnie pięć godzin, więc wkrótce odejdzie”. Myślałam, że żartują. Może mówią tak, ponieważ jestem nowa i próbują napędzić mi stracha? Chodziłam do niego w kółko i sprawdzałam, jak się ma, a on rzeczywiście rozmawiał z kimś, kogo nie widziałam. Miał na twarzy szeroki uśmiech. Zmarł nieco później jeszcze tego samego dnia. Przeraziło mnie to, ale wkrótce zdałam sobie sprawę, że to częsty przypadek.

Dianne Arcangel[18], była dyrektorka Elisabeth Kubler-Ross Center w Houston, wspomina sytuację, kiedy regularnie odwiedzała pacjenta po osiemdziesiątce osłabionego wskutek zastoinowej niewydolności serca. Śmierć nie pukała jeszcze do jego drzwi, tak w każdym razie wszyscy sądzili, jednakże pewnego dnia mężczyzna kazał swojej córce zadzwonić do Arcangel i poprosić ją, żeby do niego przyszła. Kiedy pojawiła się w jego domu, wyjaśnił, nieco zażenowany, że odwiedził go od dawna nieżyjący wuj. Krewny chciał zapewnić go, że wszystko będzie dobrze i poprosił, żeby „spytał Diane, jak tu jest. Ona wie”. Arcangel osłupiała i miała pewne opory co do omawiania tego tematu; kilka lat wcześniej przeżyła doświadczenie śmierci, zakładała więc, że wuj-zjawa do tego właśnie nawiązywał. Czy rzeczywiście? Czy może zagadkowa halucynacja przypadkiem zderzyła się z enigmatycznym snem? Opisała pacjentowi swoje doświadczenie śmierci, zapewniając go, że miejsce mu przeznaczone jest przepiękne.

Z badań Osisa i Haraldssona wynika, że z 10 procent umierających przytomnych w godzinie śmierci twierdzi, że ma tego rodzaju wizje[19]. Osiemdziesiąt trzy procent postaci z przywidzeń halucynacyjnych to albo osoby zmarłe, albo religijne archetypy, takie jak aniołowie (w USA) czy personifikacja śmierci (w Indiach). Nie jest jasne, co widziało pozostałe 17 procent – gnomy, słonie, dzbanki z czekoladą? Ewidentnie jednak w tym, co widzą umierający, istnieje ukierunkowanie na świat duchów. Przy czym 61 procent pacjentów biorących udział w badaniu nie otrzymywało żadnych środków uspokajających, a 20 procent przyjmowało ich małe dawki. (W Indiach wciąż rzadko podaje się morfinę w ośrodkach opieki paliatywnej z uwagi na niedobór narkotyku).

„Takie doznania mogą przytrafić się pacjentom, którzy są przekonani, że wyzdrowieją i którzy w ogóle nie są gotowi do »drogi«”, odkryli badacze. „Pacjent chory na serce, pięćdziesięciosześcioletni mężczyzna, jasno myślący, zobaczył zjawę kobiety[20], która przyszła zabrać go ze sobą. Wpatrywał się w bukiet kwiatów; nie wydawało się, żeby czuł odrazę (do niej), był tylko nieco przestraszony. Wskazał na kwiaty i powiedział: »Znów przyszła. Wyciąga do mnie rękę«. Opisał jej dłoń, a także kwiaty, które stały w pokoju. Nie chciał odejść, ale się nie awantuował. Zrobił się spokojniejszy. Dzięki temu doświadczeniu stał się pogodny. Zmarł następnego dnia”.

Szukając innych zależności, Osis i Haraldsson stwierdzili, że mniej niż 10 procent pacjentów miało wysoką gorączkę, która mogłaby wywołać halucynacje[21]. Dwanaście procent przechodziło „halucynogenną chorobę”, taką jak udar, uraz mózgu czy mocznica. Jednakże osłabiona zdolność pojmowania z powodu tych chorób „drastycznie zredukowała liczbę dobrotliwych zjaw”, odkryli badacze. Im pacjenci byli bardziej zdezorientowani, im więcej przyjmowali leków, tym rzadziej dostrzegali pocieszające czy wzywające ich istoty. Ocenia się, że około połowy Amerykanów w trakcie procesu umierania wkracza w pewnym momencie w stan zwany „nerwowością przedśmiertną”[22], który charakteryzuje się wzburzeniem, niepokojem i przejściową psychozą. Czynnikiem sprawczym może być niewydolność organów, a także „toksyczność opioidów”. Przywodzi mi to na myśl moją teściową, wyniszczoną niewydolnością wątroby i nerek, która będąc w szpitalu w Nowej Szkocji, kuliła się ze strachu przed pędzącymi wprost na nią czarnymi niedźwiedziami. Jej zagubienie i wynikające z tego cierpienia prześladowały mojego męża przez wiele miesięcy.

Te dwa stany świadomości – z jednej strony świadomość nadchodzącej śmierci, a z drugiej przedśmiertna nerwowość – różnią się od siebie radykalnie. Ten pierwszy występuje, gdy zachowana jest koncentracja i jasność umysłu, wywołuje poczucie głębokiego spokoju i częstokroć wiąże się z *informacją* o czasie odejścia. Jak opisała to pewna pielęgniarka podczas badań w brytyjskich hospicjach: „kiedy mają [pacjenci] wysoką temperaturę, widzą różne rzeczy i jest to spowodowane lękiem[23]. Wiadomo, że u podstaw tego stanu leży strach, ponieważ nie rozumieją tego wszystkiego...

Tymczasem doświadczenie z pogranicza śmierci to pewien proces i kiedy go przeżyją, przechodzą na inny poziom. To jak podróż”.

Cóż to oznacza? Jaki proces? Wydaje się, że chodzi o obcowanie z czymś nieznanym, z jakimś innym światem, który potrafi przynieść dogłębne – radykalne – ukojenie i rozświetlić drogę. Członek pewnej rodziny wspomina proces umierania pięćdziesięciodziewięcioletniej kobiety chorej na zapalenie płuc, która zobaczyła coś, na widok czego oniemiała i zabrakło jej słów, aby to opisać:

– Wyraz jej twarzy był piękny. Wyglądało na to, że jej *nastawienie* zmieniło się całkowicie. To było więcej niż zmiana nastroju, jaką wcześniej widziałem u niej wielokrotnie... Wydawało się, że ujrzała coś niezrozumiałego, coś, co nie było naturalne.

W prawie 80 procentach wypadków badanych przez Osisa i Haraldssona było oczywiste, że zjawy ukazywały się na łożu śmierci[24] po to, aby towarzyszyć pacjentowi lub zabrać go ze sobą. Badacze nie zanotowali ani jednego przykładu zjawy w postaci osoby żyjącej lub zwierzęcej, która zdradzałaby chęć zrealizowania takiego celu. Niedźwiedzie zagrażające mojej teściowej z jej psychotycznych, wywołanych toksynami omamów nie odwracały się i nie zachęcały jej, aby przeszła na drugą stronę Jordanu.

Analizując sprawę z różnych punktów widzenia, obaj psycholodzy przyjrzeni się uważnie zjawisku, które nazwali „efektem mirażu”. Czy to możliwe, żeby odwiedziny sióstr, wujków i aniołów były tego samego rodzaju projekcją życzeniową, jak połyskująca tafla stawu ukazująca się spragnionemu podróżnemu na pustyni? Czy pacjent, nie potrafiąc stanąć twarzą w twarz z własnym unicestwieniem, stwarza sobie towarzysza podróży w otchłan? Kilka czynników zagmatwało odpowiedź, a w każdym razie sprawiło, że wyjaśnienie nie jest takie proste. Jak pokazały wyniki badań, prawdopodobieństwo ujżenia zjawy przez pacjentów przygnębionych i zaniepokojonych było mniejsze niż przez zachowujących spokój. I znów część pacjentów, którzy mieli wizje, nie spodziewała się śmierci.

Czy członkowie rodzin i personel będący świadkami wizji na łożu śmierci mają jakąś szczególną skłonność do przyswajania opisów sił nadprzyrodzonych i wmawiania innym, pod jakimkolwiek pretekstem, że to

prawda? Nie. De facto rodziny są na ogół przygotowane na coś zupełnie przeciwnego, opierają się na prawdach, które narzuca nam nasza kultura medyczna. Zastanówmy się nad przypadkiem Barbary Cane[25], która przedstawiła neurobiologowi Peterowi Fenwickowi następującą relację.

Cane towarzyszyła swej dziewięćdziesięcioletniej matce, którą hospitalizowano w grudniu 2005 roku w celu leczenia zapalenia płuc. Starsza kobieta była przytomna i jak twierdziły pielęgniarki, poziom tlenu i ciśnienie krwi utrzymywały się na stabilnym poziomie. Cane rozmawiała z matką między innymi o planach bożonarodzeniowych. Równocześnie jednak jej matka zaczęła nagle uświadamiać sobie obecność w pokoju „tych ludzi”. Napomykała o nich co jakiś czas, kiedy najwidoczniej zbliżali się coraz bardziej do jej łóżka. Nie byli groźni w jakikolwiek sposób, nie przyprawiali jej o gęsią skórkę, podchodzili spokojnie, krok po kroku. W końcu, jak powiedziała Cane Fenwickowi: „matka oznajmiła, że nie będzie jej tu jutro, jako że »ci ludzie podniosą ją, kiedy upadnie, i zabiorą w podróż«”. Następnego dnia, w Wigilię, kobieta zmarła. Rodzina Cane czym prędzej zapewniła Fenwicka: „Uważamy, że prawdopodobnie istnieje medyczne wyjaśnienie przyczyny halucynacji u umierających – zatrucie mózgu, leki narkotyczne czy brak pewnych substancji chemicznych we krwi – ale to bardzo dziwne, że zdarzyło się to w trakcie całkowicie normalnej rozmowy i że tak dużo wiedziała o swojej nieuchronnie zbliżającej się śmierci”.

Naprawdę dziwne jest w rzeczy samej to, że żyjemy w takim okresie historii ludzkości, kiedy rodzina nie może doznać ukojenia, polegając na własnych obserwacjach, z których wynika, że matka nie umierała sama.

*

Pewnego letniego popołudnia udałam się na rozmowę z Audrey Scott, kobietą, której nigdy przedtem nie spotkałam. Łączyło nas to, że ja zaczęłam właśnie zbierać materiały do tej książki, a ona umierała na raka. Zaprosiła

mnie do swojego domu za pośrednictwem wspólnej znajomej. Popołudnie było duszne i gorące. Kiedy ją zobaczyłam, leżała zawinięta w lekkie prześcieradło pośrodku salonu na wypożyczonym łóżku szpitalnym, wciśniętym między skrzypiące kanapy a stoły, na których piętrzyły się stosy przeróżnych rzeczy. Twarz ukryła pod chłodzącą ściereczką, była drobna jak ptaszek – jak gdyby dom, w którym mieszkała od dziesiątków lat, po cichu ją wchłaniał.

Był to zagracony bungalow w małym miasteczku, ocieniony klonami i sosnami; domowe koty wylegiwały się na słońcu, a ulicą od czasu do czasu z łoskotem przetaczał się samochód. Ciało Audrey zanikało – z powodu raka z przerzutami do kości – ale nawet w wieku osiemdziesięciu trzech lat kobieta zachowywała pełną bystrość umysłu. Tego dnia, kiedy przyjechałam, była zaabsorbowana ukazywaniem się wydrukowanej w miejscowej drukarni książki, którą napisała, o przygodach ze swojej młodości. Chciała zatwierdzić jej ostateczną wersję, zanim straci przytomność na zawsze.

Przysunęłam do jej łóżka twarde drewniane krzesło i usiadłam. Uniosła lekko ściereczkę, żeby mnie ocenić swoimi bystrymi, niebieskimi oczami. Jej skóra była gładka i przezroczysta. Miała 35° C, ale czoło błyszczało od potu.

– To dla mnie zaszczyt, że pozwoliła mi pani tu przyjechać – powiedziałam. Splotłyśmy dłonie i szczerze się sobie przyjrzałyśmy. Umieranie rozwiewa zazwyczaj wszelkie niechęci.

Przez kilka minut rozmawiałyśmy o jej książce, o kosztach jednostkowych pozycji wydawanych nakładem autora i o innych pragmatycznych sprawach, jakby nasze spotkanie odbywało się w kawiarni, a nie przy łożu śmierci.

– Nie chodzi mi tylko o to, żeby rozdać swoją książkę przyjaciołom i rodzinie – podkreśliła. – Chcę, żeby to był bestseller.

Był to, jak mi się zdaje, zbiór listów, które pisała do domu, kiedy po ukończeniu studiów udała się na tak zwany Wielki Objazd po Europie. Zatytułowała go *Bobbies, Blisters and Beaux*. Dowiedziałam się później, że Europa rozpałała w niej wieloletni zapał do historii architektury. Opracowała nawet książeczkę do kolorowania przedstawiającą budynki z ery wiktoriańskiej w Brantford, położonym kilka kilometrów od jej domu

rodzinnym mieście Wayne'a Gretzky'ego.

Czy ta uwaga o bestsellerze świadczyła o autentycznym szturmie na sławę pod koniec życia? Czy raczej o cierpkim dowcipie? Nie było sposobu, żebym mogła to zgłębić. Poznawałam ją, kiedy zegnała się ze światem.

– Co ludzie powinni według pani wiedzieć o umieraniu, Audrey? – zapytałam.

– Nie trzeba się bać – powiedziała bez wahania. (Po wysiłku, jakim było omawianie jej książki, położyła ściereczkę na oczy i zaczęła kaszleć). Mówiła deklaratywnie, z odcieniem niecierpliwości, dając do zrozumienia, że przez całe życie naodpowiadała się już na pytania swoich czternastu biologicznych i adoptowanych dzieci. – Życie jest rozplanowane od urodzenia do śmierci; wszystko jest po prostu częścią procesu.

– Czy doświadcza pani... czy widzi pani... coś niezwykłego? – zagadnęłam. Zeszłej nocy zadreślałam się, próbując wymyślić, jak do diabła zadać to pytanie.

Ostrożnie przesunęła ściereczkę z powrotem na czoło i przyjrzała mi się uważnie z pewną rezerwą na twarzy.

– Widzę różne rzeczy wirujące po pokoju – powiedziała. – To, szczerze mówiąc, dość przyjemne. – Po chwili dodała: – Odwiedza mnie mój syn Frankie. Siada tutaj – wskazała na fotel po mojej lewej stronie.

Nasza wspólna znajoma Judy sięgnęła ręką do parapetu za głową Audrey i wybrała spośród wielu innych starą lakierowaną ramkę w stylu lat siedemdziesiątych ze zdjęciem uśmiechającego się młodego mężczyzny w grubych kwadratowych okularach, z równo przyciętą grzywką. To był Frankie, chłopiec, którego Audrey i jej mąż adoptowali, kiedy został inwalidą w wyniku wypadku samochodowym. Zmarł na raka w 2002 roku w wieku trzydziestu pięciu lat, co Judy wyjaśniła mi potem.

Przechyliłam ramkę w stronę Audrey, tak żeby też mogła go zobaczyć, ale nie przejawiała żadnego zainteresowania. Ewidentnie nie potrzebowała rzucać nostalgicznych spojrzeń na zdjęcie, skoro młody człowiek jeszcze

niedawno siedział na fotelu w tymże pokoju. Próbowałam znaleźć wolne miejsce na stole, gdzie mogłabym odstawić fotografię, ale na próżno. W dalszym ciągu więc trzymałam Frankie'ego w ręku, niepewnie.

– Czy to się pani śni, czy dzieje się na jawie? – spytałam.

Wzruszyła ramionami zdecydowana zachować pragmatyzm.

– Sądzę, że chyba nie potrafię tego odróżnić, przy całej tej morfinie.

– Czy on z panią rozmawia?

– Rozmawiamy o moich książkach. – Audrey jest osobą (nie mogłabym powiedzieć, że wiele takich spotkałam), której ciekawość jest tak wielka, że wydaje się, iż słucha nawet wtedy, kiedy mówi. Powiedziała, że nie widziała nikogo innego ani nikt inny się jej nie śnił. Ani jej zmarły mąż, ani żadne z jej żyjących dzieci czy przyjaciół. Żadne niedźwiedzie, żadne Maryje Dziewice. Z jakiegoś powodu spotyka się z Frankie'em.

Spytałam ją, czy jest coś, co chciałaby wiedzieć o moich poszukiwaniach, czy na przykład chce, żebym jej opowiedziała, co wiem o doświadczeniu śmierci (*NDE*). Wydawało mi się, że wyteńczyła uwagę. Skinęła głową. Nie za bardzo interesowały ją „historyjki rodem ze szkółki niedzielnej”, jak to określiła, ale miała nadzieję, że podaży ku „miejscu szczęśliwości”. Miejscu bez bólu. Przypatrywała mi się spod swojej ściereczki. Przez pokój przemaszerował kot. Na podwórzu cykady nieustannie wykonywały swój trzeszczący koncert.

Opowiedziałam jej o tym, co przekazali mi inni na temat swych przeżyć, o świetle, które wydawało się ich obejmować, otaczać czułością, o poczuciu bezpieczeństwa. W pewnym momencie tego krótkiego opisu zdałam sobie sprawę, że coś we mnie wibruje. To było ciekawe doznanie. Nie umiejscowiło się w gardle czy głosie, gdzie gromadzi się żal. Raczej w tułowi. Wydawało się, że to dudnienie bezosobowej energii, nie wściekła gonitwa nerwów. Nie wiedziałam – i wciąż nie wiem – co sądzić o tym uczuciu. Zaszeregowujemy swe przeżycia do znanych kategorii, prawie na poczekaniu. *Nudności, gniew, ból*. Kiedy doznanie nie jest natychmiast zrozumiałe dla naszego mózgu, natura takiego doznania, jego wewnętrzna

jakość – tzw. *qualia* – szybko staje się nieuchwytna. Czy były to wibracje, czy może tak właśnie to nazwałam z braku lepszego określenia? Może byłam przytłoczona powagą tego, o czym mówiłam, swoją odpowiedzialnością przed umierającą kobietą, która słuchała, patrząc na mnie z nadzieją.

Rozmawiałam później ze znajomym wolontariuszem z hospicjum. Opisał mi swoje specyficzne odczuwanie otaczającej energii. Kiedyś prawie zemdlął. Uzmysłowiłam sobie, że w pewnym momencie w ośrodku opieki paliatywnej w West Island przytrafiło się to najlepszej przyjaciółce mojej siostry. Masowała skronie Katharine i nagle zdała sobie sprawę, że jeżeli nie usiądzie, i to mocno na podłodze, zaraz zemdleje. To tak jak znaleźć się zbyt blisko wiru wodnego albo jakby prąd znosił nas na pełne morze. Może ma to coś wspólnego z uchodzącą energią życia.

– Dziękuję ci za wszystko, Patricio – powiedziała Audrey. – Muszę się teraz zdrzemnąć.

Wyszłam do ogrodu, zabierając ze sobą pudło z jej papierami i niewydanymi książkami, które postanowiłam przejrzeć, schroniwszy się w cieniu. Napisała i opatrzyła ilustracjami kilka książeczek o swoich adoptowanych dzieciach. Jej rysunki były znakomite i urokliwe, a towarzyszące im wierszyki słodkie. Zrozumiałam, że poświęciła dużą część swojego życia na formowanie na nowo życia załamanych i skrzywdzonych dzieci: niewidomego, upośledzonego umysłowo Hindusa; dziewczyny, obecnie w średnim wieku, o umyśle sześciolatki; Frankie'ego. Czyżby wrócił teraz, aby wspierać ją na drodze ku jakiemuś nowemu ozdrowieniu?

Audrey zmarła we własnym domu dziesięć dni później.

*

Rok po śmierci dwóch najdroższych mi osób poleciałam z matką do Francji.

Wylądowałyśmy w Paryżu, gdzie urodziła się Katharine. Mama chciała odbyć coś w rodzaju pielgrzymki; czuła potrzebę odtworzenia trajektorii życia córki, a ja miałam być świadkiem. Tu, na rue Bellechasse, było mieszkanie, gdzie mama latem 1957 roku dowiedziała się, że jest w ciąży i że będzie miała drugą córkę; tu znajdował się mały park, gdzie spacerowała z wózkiem; tu wąska uliczka, gdzie jej „żywe srebro” dostało swego pierwszego ataku złości; a tu szkoła, gdzie moja siostra, jak zawsze czarująca, zdobyła bardzo francuską nagrodę za „zalotność”.

Pojechaliśmy pociągiem do Bordeaux, a potem samochodem do wapiennych jaskiń w środkowo-południowej Francji, gdzie odkryto wiele sławnych prehistorycznych malowideł. Któregoś ranka, jako że deszcz lał jak z cebra, pognaliśmy do jaskini i schroniliśmy się tam przed ulewą. Strząsając wodę z włosów, rozejrzałyśmy się dookoła. To była istna gardziel, szerokie i płytkie wejście do pieczary wdzierającej się na półtora kilometra w głąb skalistej francuskiej ziemi. Stał tam mały elektryczny wagonik, który miał nas zawieźć po szynach do nieoświetlonego wnętrza; kierujący nim przewodnicy – jak nas poinformowano – od czasu do czasu popadali w obłąd z powodu tych krecich, podziemnych podróży.

Wózek ruszył w ciemność, kolebiąc się po rozklekotanych szynach, od czasu do czasu zatrzymując się ze zgrzytem. Przewodniczka z latarką wysiadła z wagonika i oświetlała pobliskie ściany jaskini. Błady snop światła ukazał nabazgrane na szorstkim wapieniu grafitti z czasów rewolucji francuskiej. „Był tu Pierre”, coś w tym rodzaju. Refleks świetlny zatrzymany w czasie? Dopiero po kolejnych kilkuset metrach w głąb czarnej czeluści w tańczącym świetle latarki zaczęła objawiać się potęga prawdziwej historii. Niedźwiedzie jaskiniowe budowały tu sobie legowiska, wyskrobywały zagłębienia w skale szerokie jak jacuzzi. Siedemnaście tysięcy lat temu ludzie, leżąc w tych zagłębieniach, narysowali olśniewające, doskonałe obrazy na suficie. Światło latarki ślizgało się po tym prastarym stropie, a my staliśmy tam, wpatrując się z otwartymi ustami. Obrazy nad nami były w najwyższym stopniu imponujące. Czyste, śmiałe linie – nie ma takiej możliwości, żeby cokolwiek przemalować, kiedy rysuje się węglem drzewnym na wapieniu w nędznym świetle. Jest tylko jedna jedyna szansa, aby uwiecznić starego, wyraźnie kulejącego mastodonta czy wyjątkowo narowistego konia. Perspektywa, dynamika. To jakby Kaplica Sykstyńska w świetle natury.

Kto wie, jaki był cel tworzenia malowideł tak głęboko w jaskini. Czy ludzie widzieli już przedtem obrazy w Chauvet w departamencie Ardèche we Francji, które powstały siedemnaście tysięcy lat *wcześniej*? Ci artyści nie byli amatorami, to oczywiste. Badacze sugerują nawet, że ich rysunki zawierają wczesną formę animacji: rozliczne nogi zostały wyrzeźbione w taki sposób, że migotliwe światło pochodni ukazuje doskonale płynny ruch. To były inteligentne umysły. Zwiedziłyśmy później francuskie muzeum prehistoryczne i obejrzałyśmy tam wystawę dowodzącą, że „jaskiniowcy” de facto nie włączyli się po okolicy ze skudłonymi, byle jakimi włosami. Mieli wystylizowane fryzury. Oczywiście, że tak. Skoro potrafili tworzyć taką sztukę, rzeźbić flety z kości słoniowej i na nich grać, mogli też być w stanie wyobrazić sobie, co to jest stylowe uczesanie.

Uderzyło mnie wówczas z całą mocą występujące w naszych czasach olbrzymie uprzedzenie, które każe nam zakładać, że człowiek przedoświeceniowy był głupi. Zarażeni teorią ewolucji pojmowanej jako swego rodzaju postęp linearny od przygarbionego półgłówka do wyprostowanego człowieka oświecenia straciliśmy zdolność wyobrażenia sobie, że mężczyźni i kobiety nas poprzedzający mogli w istocie być spostrzegawczy, sceptyczni, dowcipni, mądrzy. Co za tym idzie, stało się dla nas możliwe przyjęcie założenia, że duchowość wymyślił zabobonny motłoch w charakterze zabezpieczenia przed lękiem, jaki wywołuje śmierć. Pogląd, że świat duchowy jest dla ludzi czymś oczywistym – dla umierających, dla ich rodzin, dla szamanów – stracił oparcie w naukowych umysłach. Zwiedzając francuskie wapienne jaskinie, zaczęłam się zastanawiać, czy takie podejście opiera się na dowodach, czy może raczej na uprzedzeniach. Co my *tak naprawdę* wiemy o doznaniach duchowych?

Rozmawiałam na ten temat z dziennikarzem naukowym Jeffem Warrenem.

– Gdy chodzi o procesy myślowe – powiedział w zadumie – po prostu nie wiemy, czy mózg jest producentem, czy przekaźnikiem. Czy mózg generuje myślenie, tak jak lampa wytwarza światło? Czy może jest on bardziej jak pryzmat, czy soczewka, które modyfikują pojmowanie już istniejących zjawisk, kształtując pełne spektrum naszej osobowości? Wielu filozofów przekonywało, że przynajmniej teoretycznie możliwe jest, iż „myślenie”, zdolność doświadczenia, jest pewnego rodzaju fundamentalną własnością

kosmosu, jak przestrzeń czy czas. W aktywności neuronalnej jako takiej nie ma niczego, co mogłoby powiedzieć nam, która z powyższych funkcji mózgu jest prawdziwa.

Jak więc prowadzić badania? Dawni uczeni, przynajmniej ci, na temat których istnieją zapisy, nie próbowali dowodzić istnienia duszy – uważali to za rzecz oczywistą; interesowało ich natomiast, gdzie ona tkwi. Gdzie jest „pryzmat lub soczewka”? W III wieku przed naszą erą grecki lekarz z Aleksandrii, Herofilus[26], przeprowadził z czystej ciekawości pierwszą znaną sekcję ludzkiego ciała. Jednym z jego celów było określenie umiejscowienia duszy. Ustalił, że znajduje się ona w czwartej komorze mózgu. Było to radykalne odejście od klasycznego[27] egipskiego założenia, że dusza mieści się w sercu. Na podstawie tego „sercocentrycznego” poglądu ze zmumifikowanych zwłok wyciągano mózg (element nieistotny), zaś serce, z należytą skrupulatnością, pozostawiano wewnątrz, aby mógł je zważyć bóg Anubis.

W I wieku naszej ery cesarz Hadrian poprosił rabina Joshuę ben Hananiaha, aby pokazał mu „kość duszy”[28], o której istnieniu mówiły niektóre żydowskie autorytety duchowe[29]. Tę kość nazywano luz i była ona umiejscowiona gdzieś w okolicy kręgosłupa. Cechą charakterystyczną luz była jej niezniszczalność.

„Kazał przynieść taką kość – napisał potem Hadrian – i włożyć ją do ognia, ale się nie spaliła. Wsadził ją do młyna, ale się nie zmeła. Umieścił ją na kowadle i uderzył młotem. Kowadło się rozłupało, młot się rozleciał, ale wszystko to nie miało wpływu na luz”.

Relacja ta sprawiła, że ludzie przez wiele wieków poszukiwali luz, w różnych okresach uznając, że jest nią kość krzyżowa, kość guziczna albo trzeszczka dużego palca u nogi.

W II wieku naszej ery Galen, rzymski lekarz gladiatorów, który kiedy tylko mógł, zaglądał do środka ich przebitych torsów, wysunął teorię, że dusza ożywia świadomość w sposób podobny pod względem mechanicznym do metody ogrzewania rzymskich łaźni. Ludzie wdychają do wnętrza siłę duchową świata; tenże „spiritus” przepływa przez przewody i organy, jest ogrzewany i chłodzony, i spełnia różne funkcje, na przykład umożliwia

trawienie.

René Descartes[30] poświęcił setki godzin na grzebanie we wnętrznościach martwych krów, szukając miejsca, w którym dokładnie mogłaby znajdować się dusza. Wreszcie uznał, że mieszka ona w szyszynce (albo jest jakoś przyjmowana i przekazywana za jej pomocą), czyli, co obecnie już wiemy, w gruczole zarządzającym poziomem melatoniny w organizmie. Descartes uważał, że duch wpływa do szyszynki i z niej wypływa przez system nerwowy, który wzorował na organach kościelnych z mikroskopowymi miechami.

Franz Gall[31] z Wiednia, specjalista w zakresie anatomii z początku XIX wieku, jako pierwszy przedstawił teorię, zgodnie z którą świadomość jest bardziej rozproszona. Jego intuicja była słuszną, ale szczegóły teorii raczej nieprawdopodobne. Sugerował na przykład, że w mózgu znajduje się dwadzieścia siedem odrębnych organów, między innymi „organ talentu poetyckiego”, „organ myślenia metafizycznego”, a także „organ zdolności do posiadania nieruchomości i robienia zapasów żywności”. Organ najbardziej rozwinięty wywierał nacisk na czaszkę, wypychał ją, tworząc charakterystyczne guzy. Gall posiadał zbiór dwustu dwudziestu jeden czaszek, które wykorzystywał do demonstrowania swoich wizji.

Na dowód umiejscowienia „organu wiary w istnienie Boga” przytaczał serię obrazów Raphaela, w których Chrystus ma, jak się wydaje, zauważalne uwypuklenie na czubku czaszki. Teorie Galla doprowadziły do eksplozji popularności frenologii.

W połowie XIX wieku przedsiębiorczy amerykański lekarz Duncan MacDougall[32] postanowił spróbować umiejscowić duszę, ważąc ją. Udało mu się namówić do współpracy kilku pacjentów umierających na gruźlicę w ośrodku dla suchotników w Dorchester w stanie Massachusetts. Kiedy do pierwszego z badanych zbliżała się śmierć, przeniósł chorego na łóżko umieszczone na wadze, a następnie czekał cierpliwie na jego ostatnie tchnienie. W takim momencie przerzucał wzrok na wskazówkę swej olbrzymiej wagi. Dusza, jak ustalił, waży trzy czwarte uncji (stąd tytuł hollywoodzkiego filmu: „21 gramów”).

Mniej więcej w tym samym czasie, od połowy do końca XIX wieku, inni

badacze zaczęli stawiać sprawę na głowie. Zamiast zakładać, że dusza istnieje i próbować ją fizycznie zlokalizować, starali się udowodnić, że w ogóle istnieje. Aby tego dokonać, zwrócili się ku inferencji. Najbliższym odpowiednikiem w odniesieniu do pomiarów naukowych są tu prawdopodobnie metody wykorzystywane w astronomii. Mężczyźni i kobiety patrząc przez teleskop, nie widzą w rzeczywistości czarnych dziur. Wnioskują o istnieniu tychże z obserwacji ich wpływu na otoczenie. Coś oddziałuje ogromną siłą grawitacji na planety i gwiazdy w pewnych częściach wszechświata. Podobnie coś wywiera wpływ na umierających i to coś nie jest związane logicznie z podawanymi lekami, składem chemicznym ciała ludzkiego czy jakimś określonym stanem psychicznym. Co to zatem jest?

*

Pierwsza współczesna relacja o wizjach na łożu śmierci została napisana przez lady Florence Barrett[33], pionierkę feminizmu, położną, żonę fizyka z Royal College of Science w Dublinie. Dwunastego stycznia 1924 roku lady Barrett była obecna przy porodzie dziecka, którego matka, Doris, umierała z powodu powikłań i utraty krwi. „Nagle – napisała później lady Barrett – kobieta zaczęła wpatrywać się czujnie w jedną część pokoju, a jej twarz rozjaśnił szeroki, promienny uśmiech. »Ach!, to piękne, piękne«, zachwyciła się. »Co jest piękne?«, spytałam. »To, co widzę«, odpowiedziała cichym, głębokim głosem. »Co widzisz?«. »Cudowną jasność, wspaniałe istoty«. Trudno opisać wrażenie rzeczywistości wywołane intensywnością chłonięcia przez nią teźże wizji. Następnie – koncentrując przez chwilę swą uwagę jeszcze bardziej, jak się zdawało, na jednym tylko miejscu – krzyknęła: »Przecież to ojciec! Ach, jakże się cieszy, że nadchodzi, jakież jest zadowolony. Byłoby wspaniałe, gdyby tylko mógł jeszcze pójść tam ze mną W. (jej mąż)«. Doris zwróciła się na chwilę do osób przebywających w pokoju i powiedziała w zadumie, że może powinna zostać dla dobra dziecka. Ale potem oświadczyła: »Nie mogę, nie mogę zostać; gdybyście

byli w stanie zobaczyć to, co ja widzę, wiedzielibyście, że nie mogę zostać»”.

W tym momencie Doris ujrzała coś, co wytrąciło ją z równowagi: „Ma ze sobą Vidę”, powiedziała do lady Barrett, mówiąc o swojej siostrze, którą śmierć zabrała trzy tygodnie temu, co trzymano przed Doris w tajemnicy z powodu jej ciąży. „Jest z nim Vida”, stwierdziła zdumiona.

Usłyszawszy o tym zdarzenia od swojej żony lady Barrett, sir William Barrett postanowił przeprowadzić oficjalne dochodzenie. Poprosił małżonkę o sporządzenie pisemnej relacji o rzekomych wizjach Doris; z taką samą prośbą zwrócił się także do pielęgniarki dyżurnej, do doktora Philipsa, lekarza odbywającego staż specjalizacyjny w szpitalu, a także do Miriam Castle, przełożonej pielęgniarek oraz Mary Clark z Highbury, matki Doris – wszyscy oni byli obecni na sali porodowej. Opisy były ze sobą zgodne, co skłoniło sir Barretta, który w tym czasie nie pracował już w Royal College of Science, do przeanalizowania innych przypadków; wyniki swych poszukiwań opublikował w formie kompendium w 1926 roku. Właśnie ta książka zainspirowała później psychologów Osisa i Haraldssona do przeprowadzenia badań porównawczych wizji na łożu śmierci w Ameryce i w Indiach. (Jak w wypadku większości ludzi, którzy zaczynają zajmować się tymi sprawami, główną motywacją Osisa, by podjąć badania umierających były de facto jego własne przeżycia rodzinne; jako nastolatek[34], jeszcze na Litwie, był świadkiem wizji na łożu śmierci, jakich doświadczyła jego ciotka). Od tamtych czasów stosunek do tematu podlegał, jak się wydaje, dialektycznym zmianom: fala zainteresowania i badań pod koniec XIX i na początku XX wieku – i fala ostrego sprzeciwu; kolejna fala zainteresowania i badań w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych XX wieku – i kolejna fala sprzeciwu.

Zjawiskiem, które wcześniej zwróciło uwagę, obserwowanym w zakładach dla obłąkanych, które w XIX wieku stały się bardzo powszechne, była „przedśmiertna klarowność umysłu”[35], stan świadomości, w którym pacjenci cierpiący na poważną i chroniczną chorobę umysłową lub demencję, nagle, tuż przed śmiercią, odzyskują jasność myśli[36]. Ich psychotyczne symptomy czy amnezja ustępują. Chorzy po raz pierwszy od lat rozpoznają członków rodziny. Są w stanie rzeczowo myśleć i się pożegnać. Kilku alienistów, jak nazywano wówczas psychologów z zakładów dla obłąkanych,

uważnie przyglądało się temu zjawisku w Niemczech, Francji i Ameryce. Potem dysputy zupełnie ustały. Artykuł na ten temat został opublikowany w latach siedemdziesiątych XX wieku w Rosji. Pielęgniarki i lekarze w Stanach Zjednoczonych zaczęli zwracać na to uwagę, kiedy coraz powszechniejsze stawało się leczenie hospicyjne.

Elisabeth Kubler-Ross nawiązała korespondencję z Karlisem Osisem na temat ich zbieżnych obserwacji dotyczących schizofreników i pacjentów po udarze[37], którzy nagle odzyskiwali orientację, stawali się bezpośredni i rześcy na godzinę albo na dzień przed śmiercią. W latach dziewięćdziesiątych XX wieku swe pierwsze zetknięcie z przedśmiertną klarownością umysłu[38] opisała lekarka z hospicjum w Kolorado, Pam Kircher, chociaż nie wiedziała, jak to zjawisko zaszukadkować.

„Pewnego popołudnia na izbę przyjęć przywieziono starszego mężczyznę w końcowym stadium demencji z poważną infekcją, która nie reagowała na antybiotyki. Kiedy go zbadałam, stało się jasne, że umiera i wezwaliśmy rodzinę. Czekaając na jej przybycie, siedziałam przy pacjencie razem z pielęgniarką. Podałam mu tlen i leki ułatwiające oddychanie. Kiedy patrzyłam na jego twarz, rozpoznawałam znajome aż nadto spojrzenie osoby kompletnie obłąkanej. W tej fazie demencji ludzie mają dziki, przerażony wzrok; z mojego doświadczenia wynika, że nie poznają nikogo, ale wszystko ich przeraża, jako że stali się więźniami własnych umysłów.

Było to dość spokojne popołudnie i postanowiłam zostać z nim do czasu przybycia rodziny albo do chwili jego śmierci, w zależności od tego, co nastąpi wcześniej. Stojąc obok, zaczęłam razem z nim oddychać, przywołując wyłącznie spokojne myśli. Nie działo się nic poza naszym wspólnym cichym oddychaniem. Powoli jego oddech zaczął słabnąć i wiedziałam, że gaśnie. Dotykałam delikatnie jego ramienia, żeby zapewnić mu kontakt z drugim człowiekiem, ale teraz cofnęłam rękę i oddaliłam się od łóżka o jakieś piętnaście centymetrów. Po kilku kolejnych oddechach, które stawały się coraz wolniejsze i coraz płytsze, mężczyzna nagle otworzył oczy i spojrzał wprost w moje. Zdawało mi się, że w jego oczach było prawdziwe zrozumienie i wdzięczność. Jeszcze raz nabrał powietrza i umarł w spokoju. Było to dla mnie bardzo pouczające doświadczenie. Zawsze zakładałam bowiem, że ktoś tak obłąkany nie jest w stanie nawiązać w tym życiu

żadnego kontaktu z ludźmi”.

*

W hospicjach[39] wciąż przebywa jedynie część umierających, choć liczba ta stale wzrasta od czasu, kiedy Maggie Callanan ukuła w 1994 roku termin „świadomość nadchodzącej śmierci (NDA)”. W tymże roku 28 procent umierających Amerykanów rozstało się z życiem właśnie w hospicjach. W roku 2011 było to 44,6 procent. Wielka Brytania pozostaje w tyle. W 2008 roku w warunkach nieszpitalnych zmarło mniej niż 20 procent obywateli. W Kanadzie jest ich około 30 procent. Niemniej jednak dzięki rozwojowi hospicjów rodziny znów mogą zapewnić najbliższym intymne warunki w ostatnich momentach ich życia. Obecnie czuwając przy łożu śmierci, kierujemy się szeroką wiedzą na temat kontroli bólu. Niewykluczone, że wkraczamy w wyjątkowy okres ludzkiej historii, kiedy będziemy potrafili ukoić ból, nie mącąc jasności umysłu. Umierający może będą w stanie przekazać nam, co czują, co widzą, dokąd się udają.

Kto mówi im, dokąd idą? Oto kolejne pytanie, równie niepokojące, jak się łatwo domyślić. Czy są to osoby zmarłe? Co zdarzyło się wczesną wiosną, w tę noc, kiedy umarł mój ojciec?

ROZDZIAŁ 3

Sygnały i fale:

niesamowite doznania w chwili śmierci

Wilgotna letnia noc, głęboką ciszę zakłóca jedynie buczenie żarzącej się lampy ulicznej i tykanie niewidocznego zegara na staroświeckiej toaletce. Ellie Black budzi się ze snu około trzeciej, jest przytomna i spokojna, ale wciąż nie może na niczym skupić wzroku. To jeszcze nie czas, żeby wstawać, nic też nie dzieje się z jej śpiącym dzieckiem. Czuje zapach sierpniowej trawy i papierosów z zeszłego wieczoru. W ciszy jej uwagę przykuwa ruch, każe jej spojrzeć na skraj łóżka. Zdumiona widzi tam swego ojca. Skąd on się tu wziął, zastanawia się, maksymalnie wzmagając czujność, ten trudny mężczyzna, z którym już tak dawno zerwała stosunki? *Dlaczego tu, w jej sypialni?* I w co on do diabła jest ubrany? Ma na sobie galowy cylinder i frak. Zdziwiona przygląda się, jak ojciec patrzy na nią radośnie, uchyla kapelusza i kłania się teatralnym gestem. Przekazuje jej – swojej publiczności? – coś w rodzaju pożegnania. A potem odchodzi. Ellie mruga oczami. Jej sypialnia wraca do normalnego stanu, jest ciemno i cicho.

Następnego ranka przy jadalnianym stole Ellie Black opowiedziała o tym zdarzeniu – cokolwiek by to nie było, sen na jawie? – swojej córce. Moja przyjaciółka z dzieciństwa Michele pamięta dokładnie tę rozmowę przy śniadaniu, ponieważ była niezmiernie zaskoczona, kiedy później, jeszcze tego samego dnia, zadzwoniono z wiadomością o śmierci jej dziadka.

Pozorny szept dochodzący z drugiej strony wszechświata, szmer czy może wskazówka; coś, co przypląnęło z nieznanym prądem; coś, co przywodzi na myśl ptaki zgodnie wyginające skrzydła czy mrówki słyszące i wypełniające rozkazy swej niewidzialnej królowej – ludzie ewidentnie i to niejednokrotnie stykają się z jakąś niepojętą harmonią, wzajemnym dostrajaniem się. Badania przeprowadzone w Walii, Japonii, Australii i Stanach Zjednoczonych pokazują, że 40 do 53 procent osób pogrążonych w żałobie[1] doświadcza „anomalnego poznania”, kiedy umiera ktoś bliski lub z nimi związany. Zazwyczaj przyjmuje to formę odczuwania czyjejś obecności, czasami kogoś się widzi lub słyszy. Psychiatrzy nazywają te doznania „halucynacjami w żałobie”[2], jakkolwiek zjawisko to nie zostało jak dotąd przebadane neurologicznie. Zdarzają się też znaki, wczesne sygnały, informacje, które docierają, zanim usłyszysz pukanie do drzwi. Skłócony z córką ojciec w nogach jej łóżka? Nie wiemy, jak to nazwać.

W 1991 roku brytyjski neurochirurg J.M. Small wysłał list do czasopisma medycznego „The Lancet”, w którym przedstawił zagadkowe przeżycie, jakie niedawno stało się jego udziałem. „Szanowni Państwo – zaczął. – Czym są owe fale komunikacji, czym jest ów szósty zmysł[3] wciąż dla nas niezrozumiały? Przytrafiło mi się coś niezwykłego...”[4]. Opisał następnie niedzielny poranek: „Kiedy przechodziłem korytarzem do kuchni, aby zrobić herbatę, ogarnęło mnie przecucie nieszczęścia i przestraszyłem się, że może ktoś się do nas włamał. Otworzyłem drzwi do kuchni, ale wszystko było najwyraźniej w porządku; jednak po chwili wydało mi się, że widzę w odległej części kuchni dziwne, schodzące w dół, ciemne migotanie, które natychmiast znikło – ale wiedziałem, że była to śmierć w kobiecej postaci. Pomyślałem, że może jednej z naszych synowych przydarzyło się jakiejś nieszczęście. Zaniepokojony tym przypuszczeniem, postanowiłem jednak nic nie mówić żonie, zrobiłem herbatę i zaniósłem tacę do sypialni. Kiedy tam dotarłem, zadzwieczał dzwonek u drzwi i wcale się nie zdziwiłem, zobaczywszy miejscowego policjanta”.

Jedna z dwóch sióstr, kobiet w podeszłym wieku, mieszkających w sąsiedztwie państwa Smallów, umarła w szpitalu; policjant otrzymał wiadomość przez radio i pomyślał, że pan Small lub jego żona znają zapewne siostrę zmarłej i mogliby mu pomóc przekazać jej tę smutną wiadomość. Small był wstrząśnięty. Dlaczego on? Czyżby umierająca kobieta, myślał, liczyła, że on pomoże opuszczonej przez nią siostrze? „Czy było to wołanie o pomoc? Moja żona i ja rzeczywiście musieliśmy wesprzeć tę kobietę, której wcześniej nie znaliśmy, a która była w wysokim stopniu niepełnosprawna”. Pismo do „The Lancet” Small zakończył następująco: „Mój umysł neurochirurga został ukierunkowany pragmatycznie i nie interesowałem się telepatią ani percepcją pozazmysłową. Oto jednakowoż otrzymałem informację ze źródła, którego nie znam i którego objawionej mi natury nie rozumiem, od śmierci w kobiecej postaci... Otrzymanie takiej wiadomości pozostaje dla mnie sprawą zadziwiającą. Wielce pożyteczne mogłoby być przeprowadzenie badań tomograficznych i elektroencefalograficznych u zdeklarowanych telepatów w celu ustalenia, które ośrodki mózgu biorą udział w powstawaniu, odbieraniu i dalszym świadomym rozpoznawaniu sygnałów telepatycznych. Do mojego umysłu dotarła wiadomość. Jak tam dotarła, nie wiadomo; chociaż początkowo przerażająca, była jednak bardzo klarowna”.

W 2012 roku psycholog Erlendur Haraldsson przedstawił wyniki przeprowadzonych przez siebie obszernych badań 340 przypadków niezwykle kontaktów powiązanych z agonią i śmiercią. Zdarzały się one mężczyznom i kobietom, młodym i starym, naukowcom i marynarzom, opuszczonym i szczęśliwym. Zdarzały się w nocy i w dzień, na jawie i we śnie, w czasie podróży i w pracy. Najczęstsze były spotkania z ojcem lub matką, tak jakby instynkt rodzicielski, potrzeba kontaktu i dodawania otuchy trwały również po śmierci. Mniej więcej jedna czwarta badanych widziała lub słyszała osobę zmarłą albo w godzinie jej śmierci, albo w następującym po niej dniu. W 86 procentach wypadków o śmierci tej nic nie wiedziano; 38 procent badanych nie spodziewało się, że taki kontakt jest *w ogóle możliwy*.

Muzyk Rory McGill przysłał mi list, w którym uchwycił poczucie absolutnego zdumienia, a jednocześnie wzruszenia wywołanego przez symbole i znaki natury duchowej.

„Tej nocy, kiedy umarł mój ojciec – napisał– śniło mi się, że odchodzi. Widziałem go ostatnio trzy tygodnie wcześniej. Miał udar. Nie był w stanie mówić ani komunikować się w jakikolwiek sposób, pomijając pewne oznaki zrozumienia w oczach i dotyk w prawej ręce. Był całkowicie nagi, leżał pod prześcieradłem, głowę miał po jednej stronie ogoloną z powodów medycznych. Ten jego nowy wygląd robił wrażenie i do dziś pozostaje żywy w moich myślach.

Kiedy go opuszczałem, żeby wrócić na uniwersytet, miał według rokowań lekarzy dość duże szanse na wyzdrowienie. Trzy tygodnie później ojciec pojawił się w moim śnie. Leżał na łóżku szpitalnym, na pościeli, w pięknej, nowej, żółtej piżamie. Intensywnie żółtej, jak kwiaty cukinii. I miał włosy na całej głowie. Byłem uszczęśliwiony. Wdrapałem się na łóżko i objąłem go. A po chwili stałem w pokoju sam, ojciec zniknął, łóżko zaś, puste i starannie pościelone było ustawione w innym rogu pokoju. Piękna, żółta piżama leżała złożona na poduszce.

Obudziłem się skonsternowany snem, ale, choć teraz wydaje się to osobliwe, nie przejąłem się zbytnio. Nie zaprzętało mi to umysłu, niemniej jednak, dziwna rzecz, pozostało w głowie i ubarwiło dzień. Kiedy późnym popołudniem wróciłem do wynajmowanego pokoju, znalazłem przyklejoną do drzwi wejściowych, napisaną odręcznie notatkę: 'Rory, zadzwoń do

matki'.

Zszedłem natychmiast na dół do najbliższej budki telefonicznej. Serce biło mi coraz szybciej, a gardło coraz bardziej się zaciskało. Wykręciłem numer telefonu mamy i zaczęło mi się kręcić w głowie. Kiedy słyszałem sygnał połączenia, nie myślałem, co się za chwilę stanie, ale w momencie, kiedy matka podniosła słuchawkę, zacząłem łkać. Po prostu wiedziałem. Mój ojciec zmarł, kiedy spałem i śniłem o tych ostatnich odwiedzinach”.

Międzykulturowe badania wykazały, że „około połowy wszystkich spontanicznych (telepatycznych) doświadczeń[5] ma miejsce we śnie i wiele z nich wiąże się z wypadkami lub śmiercią członka rodziny”. Twierdzi tak Dean Radin, naukowiec z Instytutu Nauk Neotycznych w Palo Alto w Kalifornii, zapewne najznakomitszy badacz zjawisk psi w dzisiejszym świecie. Szansa, że takie zjawiska nie są przypadkiem[6], została w tych badaniach wyliczona na „22 miliardy do 1”, mówi Radin, co oznacza, że może zaistnieć taki zbieg okoliczności, że tego rodzaju szczególnie sen przytrafi się właśnie tego dnia, kiedy umiera ktoś, kogo kochamy – ale jest to bardzo, bardzo mało prawdopodobne.

„Nigdy przedtem ani potem nie doświadczyłem tego typu komunikacji tak intensywnie – zakończył swój list Rory– ale stało się dla mnie aż nadto oczywiste, na zawsze, że takie sygnały i fale są przesyłane”.

*

Pod koniec XIX wieku niemiecki psychiatra Hans Berger[7], wynalazca elektroencefalografu (EEG), postanowił podążyć drogą, która z czasem doprowadziła go do tegoż wynalazku, ponieważ chciał zlokalizować „energię psychiczną” – coś, co jakimś sposobem pozwoliło jego siostrze „wiedzieć” o tym, że został niemal przejechany przez działą ciągnięte przez konia i to o dzień drogi od miejsca, gdzie mieszkała. „Wychwyciwszy” paniczne przerażenie brata w momencie tuż przed zdarzeniem, siostra poczuła

ogarniające ją nagle palące przeświadczenie, iż brat znalazł się w niebezpieczeństwie. Błagała ich ojca, aby się z nim skontaktował i nie zgodził się ustąpić, dopóki nie wysłał telegramu z zapytaniem. Berger był zafascynowany reakcją siostry. Czyżbyśmy posiadali jakąś formę świadomości – metodę zdobywania wiedzy – która do tej pory nie została zanalizowana?, zastanawiał się. W 1929 roku Berger przedstawił po raz pierwszy swoją nową technikę „rejestrowania elektrycznej aktywności ludzkiego mózgu wprost z powierzchni skóry głowy”. Początkowo spotkał się ze sceptycznym przyjęciem, ponieważ był mało znany w niemieckich kręgach medycznych, ale jego technika pomiaru została w końcu przetestowana i wkrótce zaczęła być wykorzystywana na całym świecie, stając się fundamentem nowoczesnej neurochirurgii. Trzy dekady później poddano badaniu EEG przebywające w oddaleniu od siebie bliźnięta i stwierdzono z wahaniem, że wyniki są ze sobą skorelowane. Berger byłby zachwycony, ale i tak dopiero po upływie kolejnych kilku dekad badania nad bliźniętami potraktowano jako w pewnym, acz niewielkim stopniu miarodajne.

Jedne z pierwszych badań nad bliźniętami[8] wykazały, że kiedy jednego z bliźniaków monitorowanych za pomocą EEG poproszono, aby zamknął oczy, co powoduje zwiększenie aktywności fal alfa w mózgu, rytmy alfa bliźniaka przebywającego w pewnej odległości również się ożywiały. Badania bliźniąt z wykorzystaniem EEG wykonywano później dziesiątki razy, korygując protokoły i porównując je w poszukiwaniu wad modelu; niezmiennie potwierdzało się istnienie subtelnych korelacji. W 2013 roku w badaniu brytyjskich bliźniąt[9] stwierdzono, że 60 procent doświadczyło telepatycznej wymiany myśli, a w wypadku bliźniąt jednojajowych 11 procent twierdziło, że zdarza im się to często, między innymi mają takie same sny. Co może wniesć nauka do tych twierdzeń? Po zanalizowaniu metodologii wszystkich eksperymentów z wykorzystaniem EEG wykonanych na przestrzeni około dziesięciu lat, czeski neurofizjolog Jiří Wackermann[10] w 2003 roku doszedł do wniosku, że „mamy do czynienia ze zjawiskiem, które trudno zlekceważyć, uznając je za metodologiczny niewypał czy techniczny artefakt, ale które trudno też zrozumieć z racji jego natury”. Na czym w rzeczy samej polega ta natura? Jak inaczej dobrać się do tej kwestii?

Na początku lat sześćdziesiątych XX wieku psychiatra z Uniwersytetu Wirginii Ian Stevenson[11] zaczął badać, jak to określił, „wrażenia telepatyczne”. Podobnie jak Hansa Bergera interesowało go ustalenie, jak to możliwe, że ludzie „wiedzą”, iż ktoś bliski im uczuciowo, ale fizycznie znajdujący się daleko, umiera lub jest w niebezpieczeństwie. W odróżnieniu od Bergera on sam nie miał takiego doświadczenia, ale zdawał sobie sprawę, że w Rhine Research Center, centrum badawczym utworzonym przy Duke University w Karolinie Północnej w latach dwudziestych XX wieku, zebrano i zarchiwizowano tysiące takich „spontanicznych przypadków psi”. Ośrodek Rhine Research Center jest w zasadzie bardziej znany z prób badania telepatii poprzez doświadczenia kontrolowane, takie jak zgadywanie kart. Przypadki spontaniczne pojawiają się natomiast w wyniku gwałtownych i podlegających szybkim zmianom emocji ludzkiego życia. Stevenson chciał się o nich dowiedzieć czegoś więcej. Co oznaczają? Czy można je zweryfikować i zanalizować? Czy wyłoni się jakiś wzorzec?

Stevenson, spokojny i skrupulatny uczony urodzony w Montrealu, który stanął później na czele Zakładu Badań nad Percepcją (Department of Perceptual Studies) na Uniwersytecie Wirginii, postanowił zacząć od analizy pierwszego przebadanego już zbioru przypadków spontanicznej telepatii: 165 raportów opublikowanych pod koniec XIX wieku przez uczonych z Cambridge Frederica Myersa i Edwarda Gurneya[12]. Jednym z kryteriów, na podstawie których Myers i Gurney zamieszczali konkretny przypadek w swojej książce, było podjęcie jakiegoś działania z powodu danego przeżycia, ale *zanim* o owym wydarzeniu dowiedziano się kanałami konwencjonalnymi. Przykładem może być nagłe oświadczenie w obecności innych osób: „Taki a taki zmarł!”, wcześniej niż jakakolwiek o tym wiadomość dotarła telegraficznie czy też przez posłańca albo naleganie na wysłanie telegramu z zapytaniem, tak jak to miało miejsce w wypadku siostry Hansa Bergera. Myers i Gurney uważali, że w ten sposób mogą, przynajmniej częściowo, uwierzytelnić swój raport.

W opracowaniu zamieścili również rzadkie wypadki zbiorowej percepcji. Na przykład pewien mężczyzna i jego syn jednocześnie zobaczyli pod sufitem salonu twarz ojca i dziadka dokładnie w momencie (o czym dowiedzieli się później), kiedy on zmarł. Żona mężczyzny, która siedziała w tym samym pokoju, była świadkiem reakcji i komentarzy męża i syna, choć ona sama nie

zauważyła niczego niezwykłego. Inny przypadek wspólnej percepcji dotyczył nie śmierci, lecz niebezpieczeństwa – burzy na morzu. „Pan Wilmot i jego siostra panna Wilmot – napisali uczeni – znajdowali się na statku w drodze z Liverpoolu do Nowego Jorku i przez większą część podróży na morzu szalał silny sztorm[13]. Ponad tydzień po rozpoczęciu się sztormu pani Wilmot, przebywająca w Connecticut, niespokojna o bezpieczeństwo męża, miała szokujące przeżycie, obudziwszy się w środku nocy – wyglądało na to, że udała się do prywatnej kabiny męża na statku, gdzie zobaczyła go śpiącego na dolnej koi; z górnej natomiast patrzył na nią jakiś inny mężczyzna. Zawahała się, pocałowała męża i wyszła.

Następnego ranka współlokator pana Wilmota zapytał go, ponoć z pewnym oburzeniem, o kobietę, która weszła do ich kajuty w nocy. Panna Wilmot (siostra płynąca tym samym statkiem) dodała swoje zeznanie, mówiąc, że rano, zanim jeszcze spotkała się z bratem, jego współlokator zapytał ją, czy to ona przysłała w nocy zobaczyć się z panem Wilmotem, a kiedy zaprzeczyła, powiedział, że widział, jak w środku nocy wślizgnęła się do ich kajuty kobieta i zbliżyła się do pana Wilmota”. Coś takiego byłoby oczywiście absolutnie niewłaściwe w połowie dziewiętnastego wieku. *Kobieta w naszym pokoju?* Dobry Boże. Pani Wilmot wciąż przebywająca w Connecticut była równie zaniepokojona niestosownością wydarzenia ze snu: „Przez cały dzień miałam bardzo żywe odczucie, że odwiedziłam męża. Byłam bardzo zdenerwowana jego (mężczyzny z górnej koi) obecnością, kiedy pochyłony patrzył na nas z góry”. Żenujący świadek intymności. A jednak to doświadczenie czy może sen, czy cokolwiek to było, najwyraźniej ją poruszyło. „Wrażenie było tak silne, że czułam się niezwykle szczęśliwa i odświeżona” przez cały następny dzień.

Starannie przeanalizowawszy osobliwości zebrane w dziewiętnastowiecznej Anglii, Ian Stevenson stwierdził, że przypadki przedstawione przez Myersa i Gurneya[14] rozłożyły się mniej więcej równo między mężczyzn i kobiety. Osiemdziesiąt dziewięć procent zdarzeń miało miejsce nie wtedy, kiedy badana osoba drzemała czy snuła senne marzenia, lecz po przebudzeniu. (W swej ostatniej książce pt. *Hallucinations* Oliver Sacks[15] prześlizguje się płynnie po tym badaniu, stwierdzając po prostu, że „podejrzewa się”, iż odbiorcy przekazu telepatycznego w większości spali. Ale oni nie spali). Dwie trzecie zebranych przypadków dotyczyło wiadomości o najbliższej

rodzinie. Osiemdziesiąt dwa procent odnosiło się do śmierci, nagłej choroby lub wypadku (albo jak u Wilmotów do sztormu). Ludzie najwyraźniej nie odbierali od siebie nawzajem *dobrych* wieści. „Czy oznacza to, że wiadomości radosne[16] nie są nam przydatne w walce o przetrwanie, podczas gdy informacje o niebezpieczeństwie taką wartość dla nas posiadają?”, zastanawiał się Stevenson. Ale nie sposób było się tego dowiedzieć. Analizując trzydzieści pięć własnych współczesnych przypadków, Stevenson zaobserwował, że jedna trzecia dotyczyła gwałtownej śmierci[17], gdy tymczasem w badanym roku (1966) tylko 7,7 procent wszystkich zmarłych w Ameryce odeszło w sposób gwałtowny. (Te wnioski zostały powtórzone w 2006 roku w badaniu w Islandii[18], w którym ponownie stwierdzono zdecydowanie wyższą liczbę przypadków nagłej lub gwałtownej śmierci w widzeniach telepatycznych niż w rzeczywistości). Być może, pomyślał Stevenson, jest w zabarwieniu emocjonalnym takiego zdarzenia coś – ogłuszający grzmot strachu lub bólu – co niesie się jak fale dźwiękowe po wodzie.

Stevenson ostrożnie dobierał kazusy, które sam decydował się badać. Wykluczał „przypadki powtarzających się ponurych przeczuc[19], które potwierdziły się przy jednej tylko okazji”. Nie brał pod uwagę relacji, jeżeli nie było świadków, którzy mogliby potwierdzić, co widziała lub czuła główna osoba. Z każdym badanym rozmawiał oddzielnie i konfrontował ich opisy tego, co się wydarzyło. W ponad połowie przypadków „odebrane wrażenie skłaniało odbiorcę lub odbiorczynię do podjęcia jakiegoś działania, a nie jedynie opowiedzenia o tym innym osobom”[20]. Telefon, szaleńcza podróż, nagła zmiana planów wakacyjnych. Pewna kobieta przejechała w środku nocy 80 kilometrów, żeby dostać się do domu po odebraniu ni stąd, ni zowąd informacji, że jej nastoletnia córka znalazła się w niebezpieczeństwie. (Okazało się, że do domu włamali się uzbrojeni intruzi, a córka była w środku). Niejaka pani Janey Acker Hurth[21] z Południowej Karoliny przedstawiła Stevensonowi następującą relację: „Kiedy moja pięcioletnia córeczka wróciła do domu z przyjęcia urodzinowego, była rozczarowana, że jej ojciec razem z jej bratem poszli bez niej do kina na film Walta Disneya. Rivoli Theatre mieści się półtorej przecznic od naszego domu. Powiedziałam Joicey, że ojciec na nią czeka, więc tylko machnęła ręką na do widzenia, ruszyła w podskokach i zniknęła za rogiem. Wróciłam do mycia naczyń wciąż jeszcze leżących po obiedzie

w zlewie kuchennym. Zupełnie nagle, kiedy trzymałam talerz w ręku, ogarnęło mnie przerażające uczucie. Upuściłam talerz. Jakimś niewytłumaczalnym sposobem wiedziałam, że Joicey została potrącona przez samochód albo że zaraz to się stanie. Byłam całkowicie świadoma jej udziału w wypadku. Natychmiast podeszłam do telefonu, znalazłam numer kina i wykręciłam go drżącą ręką. Przedstawiłam się i powiedziałam: »Moja mała córeczka szła do kina. Miała wypadek. Czy jest poważnie ranna?«».

Dziewczyna, która odebrała telefon, wyjąkała: „Skąd pani wie?”. Joice Hurth nie została poważnie ranna w wypadku, a później napisała swój własny list do Stevensona: „Byłam taka przerażona... Po cichu przywoływałam matkę”. Czy błagania dziecka zaważyły, zastanawiał się Stevenson, na wychwyceniu przez matkę płaczu córki? Analizując różne przypadki, stwierdził, że z punktu widzenia odbioru sygnału o niebezpieczeństwie nie jest aż tak ważne, żeby „agent”[22] koncentrował się właśnie na „odbiorcy”; jest to natomiast istotnie ważne, gdy chodzi o to, czy *zostanie podjęte jakieś działanie*. Odbiorcy reagowali na wołanie o pomoc.

Jak się to dzieje, że ludzie dają wiarę telepatycznemu wrażeniu, które do nich dociera, to kolejna tajemnica. Stevenson odkrył, że jedną z cech odróżniających wrażenia telepatyczne od zwykłych snów czy pełnych niepokoju wytworów wyobraźni, jest „poczucie przekonania”[23], ale trudno powiedzieć, co to właściwie oznacza. Badałam to „poczucie przekonania”, prowadząc korespondencję e-mailową z biznesmanem z północno-wschodniej Anglii Maxem Bone’em. W wieku dwunastu lat Bone miał sugestywny i wyrazisty koszmar, który pobudził go do zrobienia czegoś, co wciąż pozostaje dla niego wyjątkowym doświadczeniem życiowym. Sen dotyczył domu zakupionego przez jego ojca z zamiarem przekształcenia go w biuro. „Któregoś dnia obudziłem się wcześnie rano przerażony” – napisał Bone. – Miałem sen, który wydawał się koszmarem, ale było w nim coś ewidentnie innego, niezwykłego. Tej nocy wiał silny wiatr i śniło mi się, że znalazłem się na tyłach domu przy Borough Road, stałem na chodniku na wprost bramy prowadzącej na tylne podwórze. Ta pomalowana na zielono, drewniana, panelowa brama wychodząca na ulicę nie była zaryglowana i z hukiem otwierała się i zamykała na wietrze. Podeszedłem do bramy, a ona się otworzyła; widziałem z niewiarygodnymi szczegółami łuszczącą się farbę i słoje szarego, zniszczonego drewna. Kiedy

brama się otworzyła, ukazując małe podwórko na tyłach domu, zauważyłem, że białe drzwi kuchenne są otwarte na oścież, tak że była tam tylko ciemna, prostokątna dziura w ścianie. Górna szybka w małym kuchennym okienku była rozbita, a ono częściowo otwarte. Przeszedłem przez bramę, a potem idąc przez podwórko w stronę pustego otworu drzwiowego, czułem, jak ogarnia mnie lęk. Skoncentrowałem wzrok na małym schodku prowadzącym do kuchni. Doszedłem do progu, patrząc dokładnie w dół na tenże schodek. Strach stał się niewiarygodny. A kiedy zacząłem przechodzić przez próg, obudziłem się przerażony.

Następnego ranka (sądzę, że była to niedziela) wciąż pamiętałem sen ze szczegółami i zrobiłem coś niezwykłego – podjąłem działania wynikające z mojego snu (nigdy przed tym zdarzeniem ani po nim nie działałem pod wpływem snu). Zszedłem natychmiast na dół i opowiedziałem sen tacie, podczas gdy on jadł śniadanie. Podkreśliłem niezwykłość snu, dałem jasno do zrozumienia, że uważam, iż coś stało się w tamtym domu i zacząłem błagać ojca, żeby natychmiast się tam udać.

Tata skończył śniadanie i postanowił spełnić moje zachcianki, ponieważ i tak od jakiegoś czasu nie zaglądał do nowego domu. Moi dwaj starsi bracia, usłyszawszy przypadkiem tę opowieść i, jak sądzę, wyczuwając coś podniecającego, też chcieli nam towarzyszyć. Tak więc ojciec, ja i moi bracia pojechaliśmy tam razem. Zatrzymaliśmy się na tyłach domu naprzeciwko zielonej bramy, którą wiatr rzeczywiście otwierał i zatrząskiwał na przemian. Kiedy wszyscy to zobaczyliśmy, obaj moi bracia, wciąż siedząc w samochodzie, spojrzeli na mnie i nieco zrzędy im miny.

Wysiedliśmy z samochodu i kiedy weszliśmy przez bramę na podwórze, ujrzeliśmy otwarte na oścież drzwi kuchenne; zostały wepchnięte, tak że opierały się o szafki i nie było ich widać, zupełnie jak w moim śnie. Górna szybka w oknie kuchennym była rozbita i lekko otwarta, znów dokładnie tak jak w moim śnie. Weszliśmy do domu i zobaczyliśmy, że przez sufit parteru wdiera się do środka woda; na dywanie w jadalni zdążyła się pojawić pleśń.

Stało się jasne, że kilka dni wcześniej miało miejsce włamanie i że od jakiegoś czasu złodzieje wracają, żeby wynieść armaturę i resztę wyposażenia oraz ołowiane rury. Zabezpieczyliśmy dom i zakręciliśmy dopływ wody. Tata nie chciał mówić o tym wypadku przez wiele lat, chociaż

teraz już o tym rozmawia. Moich dwóch braci cała ta afera przyprawiła o gęsią skórkę, uznali ją za intrygującą i wspominają ten incydent do dziś.

Zastanawiałem się nad tym wydarzeniem głęboko przez całe swoje życie i wyciągnąłem wnioski, najlepsze jakie umiałem, żeby to wytłumaczyć”. Bone śledzi na bieżąco teorie i spekulacje pojawiające się w badaniach zjawisk paranormalnych i neurologicznych, i jest przekonany, że w polu elektromagnetycznym znajduje się coś, co umożliwia myślom i obrazom przemieszczanie się między umysłami. Nie uważa, że w swoim śnie dosłownie opuścił ciało. Podejrzewa, że jakimś cudem widział to, co widzieli złodzieje. Wykorzystał ich percepcję tylnej części posesji. Nie wierzy w to, że jego sen był zbiegiem okoliczności. Naciskałam go, aby wyjaśnił, dlaczego nie chce uwierzyć w zbieg okoliczności i powiedział, że chodzi o specyficzną naturę tego snu.

„Moje sny są na ogół jakby »miększe« i choć pełno w nich szczegółów wizualnych, nie mają ostrości tego snu. Przypomniałem go sobie bez absolutnie żadnego problemu i wiedziałem, że muszę coś w związku z nim zrobić. To jak dla mnie nietypowe doświadczenie. Miałem wrażenie, że to wspomnienie zostało umieszczone gdzieś, gdzie tak naprawdę nie powinno być zostać usytuowane. Jakby ustalił się »surowy«, nieprzetworzony obraz, z pominięciem, niechcący, normalnej wstępnej obróbki wizualnej. Obraz, w którym zarejestrowały się bzdurne moim zdaniem szczegóły, na przykład łuszcząca się farba na bramie”. Jako jedyni mieszkańcy naszych umysłów jesteśmy generalnie najlepszymi sędziami w sprawie własnej, uderzająco innej percepcji, ale jak się wydaje, to właśnie niezmiennie klarowność i specyficzność tego rodzaju wrażeń skłania człowieka do działania[24].

Ian Stevenson stwierdził, że są dwa inne czynniki stawiające ludzi, nazwijmy to, w stan pogotowia i każące im z szeroko otwartymi oczami sięgnąć po telefon. Pierwszy występuje, kiedy „agent”, to znaczy osoba znajdująca się w sytuacji kryzysowej, w chwili niebezpieczeństwa skupia się w sposób szczególny na „odbiorcy”. Wydawało się to prawdziwe zwłaszcza w wypadku rodziców reagujących na dzieci, co zrozumiałe, jako że jest wielce prawdopodobne, iż dziecko przywoływałoby nieobecną matkę czy nieobecnego ojca. Drugi czynnik to coś w rodzaju nadzwyczajnego daru wychwytywania sygnałów w ogóle; w wielu zgromadzonych przez

Stevensona przypadkach występowały ludzie, którzy nieraz odbierali „wrażenia telepatyczne” w momentach kluczowych. Janey Acker Hurth[25] na przykład, która wyczuła nieuchronne zderzenie córki z samochodem, wychwyciła również informację o nagłej, poważnej chorobie ojca.

„Musiało to być jakoś po północy 23 stycznia – powiedziała – kiedy obudziłam się z uczuciem głębokiego smutku. Miałam wrażenie, że coś jest nie tak. Nie chciałam przeszkadzać mężowi, więc przez długą chwilę szeroko otwartymi oczami wpatrywałam się w sufit sypialni, który był ledwie widoczny w nikłym, niewyraźnym świetle. Pamiętam straszny ból w sercu. Rozpłakałam się i łkałam cicho w poduszkę. Mąż natychmiast się obudził i zadał mi wiele pytań, na które nie umiałam odpowiedzieć. Powtarzałam w kółko, że czuję, iż coś jest nie tak. Jego próby pocieszenia mnie na nic się zdały i przez resztę nocy nie spałam. Następnego ranka, kiedy zeszłam na dół na śniadanie, teściowie byli zaszokowani moim wyglądem – zapuchniętymi, czerwonymi oczami i zmizerowaną twarzą. Podejrzewali nas o »kłótnię kochanków«, ale zapewniłam ich, że nie o to chodzi. Powiedziałam, że nie potrafię wyjaśnić swojego depresyjnego nastroju. Zaniepokoił się. Włożyłam chleb do tosterka i czekając, aż się opieczą, nagle odwróciłam się i krzyknęłam: »To mój ojciec! Coś strasznego stało się z moim ojcem!«”.

Telefon, który odebrała po kilku chwilach, potwierdził, że jej odczucie było jak najbardziej uzasadnione. Dzwoniła matka. Ojciec zapadł w śpiączkę, kiedy przestały działać nerki, co było reakcją na sulfonamidy, wyjaśniła. (Zmarł wkrótce potem).

Stevensona uderzyło to, że czasami informacja[26] wybija się na pierwszy plan stopniowo. „Możliwe, że umysł odbiorcy – spekulował – skanuje otoczenie w poszukiwaniu niebezpieczeństwa grożącego najbliższym, a kiedy je wykryje, »wysłuchuje się« i wydobywa na powierzchnię świadomości więcej szczegółów”.

Wnioski Stevensona z lat sześćdziesiątych XX wieku znajdują odzwierciedlenie w przypadkach zebranych trzydzieści lat później przez brytyjskiego neuropsychiatrę dr Petera Fenwicka z King's College London, wieloletniego specjalistę w zakresie epilepsji, który wykazuje nieprzemijające zainteresowanie niezwykłymi wizjami i doświadczeniami z pogranicza śmierci. Ciekawość Fenwicka rozbudził jeden z jego pacjentów,

opisując wrażenia towarzyszące doświadczeniu śmierci (*NDE*), czego doktor nie potrafił sobie wytłumaczyć. Fenwick, obecnie mężczyzna już ponadsiemdziesięcioletni, zgromadził przeszło dwa tysiące relacji dotyczących zjawisk, które nazywa „zbiegami okoliczności na łożu śmierci”[27]. (Chciałoby się, żeby wreszcie przyjęto jedno określenie dla wszystkich tych zjawisk). Fenwick zwrócił się z prośbą o listy do społeczeństwa brytyjskiego, tak więc jego badanie jest mniej rygorystyczne i bardziej eksploracyjne niż Stevenson. Jednakże zebrane przez niego relacje pozwalają ogarnąć i wygładzić to, z czym ludzie najwyraźniej się stykają. (Jak zauważył psychiatra Edward Kelly w książce z 2007 roku *Irreducible Mind* „oprócz samej liczby przypadków, jakość przekazu jest taka, że nie można ich zlekceważyć *en masse*, uznając je za niepotwierdzone »anegdotki«”).

Pewna kobieta na przykład podjęła działanie, które poparte odpowiednim dowodem pozwoliłoby Stevensonowi uznać przypadek za wiarygodny. Napisała do Fenwicka o mężu, z którym niedawno się rozstała i który popełnił samobójstwo w lutym 1989 roku. „Obudziłam się z płaczem o trzeciej w nocy po bardzo »prawdziwym« śnie. Vincent[28] siedział w nogach mojego łóżka i mówił mi, żebym już nigdy nie płakała, że wszystko skończone i że wreszcie zaznał spokoju. Wstałam i »na autopilocie« zrobiłam to, co miałam do zrobienia; około ósmej zatelefonowałam do mnie dwóch klientów i totalnie ich wkurzyłam, mówiąc, że zamierzam wziąć parę dni wolnego, ponieważ właśnie umarł mój mąż”. Nie wiedziała jeszcze obiektywnie, że to prawda, niemniej jednak – *wiedziała, że to prawda*. „Pojechałam do jego mieszkania z Merlinem, naszym psem”. Znalazła ciało i zadzwoniła na policję. „Zgodnie z raportem koronera Vin rzeczywiście zmarł około trzeciej nad ranem”. Nie mamy tu „agenta” w niebezpieczeństwie, szukającego pomocy przez koncentrowanie się na „odbiorcy”, lecz raczej „agenta” wysyłającego wiadomość uspokajającą.

Richard Bufton[29], wykładowca w college’u i zawodowy nurek, znajdował się na pokładzie statku, kiedy w sposób niekonwencjonalny dowiedział się o śmierci dziadka. Napisał do Fenwicka: „Leżałem w koi w kabine dziobowej w półśnie, kiedy przed oczami przesunęło mi się coś, co mogę jedynie opisać jako obrazek przypominający taśmę dalekopisu. Słowa, które

odczytałem w umyśle, mówiły po prostu: »Twój dziadek nie żyje«. Zerwałem się na równe nogi, przeskoczyłem trzy czy cztery stopnie do głównej kabiny i poinformowałem kolegę, że muszę nawiązać łączność przez radiotelefon. Połączyłem się przez Radio Bahrain z matką w Wielkiej Brytanii. Kiedy odebrała telefon, powiedziała, że ma złe wiadomości. Przerwałem jej, mówiąc, że dzwonię do niej, ponieważ wiem, że dziadek nie żyje”.

Ciekawostką dotyczącą doświadczenia, które stało się udziałem Richarda Buftona, jest to, że kiedy w przywidzeniach halucynacyjnych pojawia się tekst, nigdy nie jest to wiadomość konkretna, jak twierdzi neurolog Dominic ffytche z King's College London, jeden z głównych światowych ekspertów w dziedzinie halucynacji wzrokowych[30]. Przywidzenie takie jest wizualnie niespójne – albo tylko z grubsza przypomina tekst, albo wręcz jest to przypadkowy zbiór liter. Jak to więc możliwe, że Bufton widział słowa, z których jasno wynikało, że jego dziadek nie żyje? ffytche zbadał przypadek kobiety, która podczas halucynacji zobaczyła pisemny „rozkaz” każący jej rzucić kubkiem z herbatą w twarz członka rodziny i odkrył poprzez testowanie, że w rzeczywistości nie przeczytała ona takich słów, słowo po słowie. Domyślała się ich, wnioskowała. I wydaje się, że tak też było w wypadku Buftona. Możliwe, że wychwycił wiadomość o dziadku w jakiś inny sposób, a następnie objawiła mu się ona wizualnie jako taśma dalekopisu (skonstruował ją jako taką w wyobraźni). Niektórzy badacze sugerują, że ludzie wyczuwają intuicyjnie[31] wypadki śmierci i niebezpieczeństwa, gromadząc nieprzetworzone informacje, a mózg natychmiast montuje obraz tego, co wyczuwają, podobnie jak my w naszych snach nadajemy znaczenie dźwiękom z zewnątrz, na przykład dzwonekowi budzika. Bardzo możliwe, że zachodzi tu wzajemna zależność między wrażeniem telepatycznym, wyobraźnią, a nawet halucynacjami.

Kiedy ktoś ukazuje się w nogach łóżka, to czy osoba ta nawiązuje z nami kontakt pośmiertnie, czy może łączy się z nami telepatycznie, aby podzielić się spokojem towarzyszącym jej w obliczu śmierci? Nie sposób się tego dowiedzieć. Liczne osoby opowiadały o takiej samej dziwnej radości, jaką odczuła moja siostra Katharine, tak jakby od naszego ojca dostała nie wiadomość o jego śmierci, ale możliwość współuczestniczenia w jego ostatecznej euforii. „Pamiętam uczucie niewiarygodnego zadowolenia

i szczęścia”, wyznała Kath McMahon[32], wspominając noc, kiedy „dowiedziała się”, że umarł jej ojciec. Z tym uczuciem nie łączyła się żadna informacja, Kath nie wiedziała w istocie, że jej ojciec umarł, nie przeczytała żadnego dalekopisu. Doświadczyła jedynie nagłej zmiany emocjonalnej. Podobnie inna kobieta opisała zaskoczenie, jakie odczuła, kiedy uświadomiła sobie, że obie, ona i jej córka, przebywając w oddalonych od siebie domach, obudziły się nagle w godzinie śmierci jej matki i poczuły się nadzwyczajnie pogodne i szczęśliwe[33].

Marynarz Raymond Hunter[34] najwyraźniej dzielił z ojcem zarówno ból związany z chorobą, jak i spokój, który potem nastąpił. O wieczorze, kiedy jego ojciec zmarł na raka płuc powiedział: „Nie jestem w stanie opisać uczucia miłości i wielkiego spokoju, jakiego doświadczyłem”. Te emocje napłynęły jednakże po dużo dziwniejszym i intensywniejszym wstępie, kiedy to czuł się tak, jakby to jego płuca słabły i kiedy ledwie mógł złapać oddech. To nagle i gwałtowne odczuwanie symptomów agonii innej osoby zostało już wcześniej zauważone przez pewnych badaczy, ale pozostaje prawie kompletnie niezbadane. Ian Stevenson natknął się na nie w swoich przypadkach i zasugerował, że może to być coś w rodzaju telepatycznego rozwinięcia częściej opisywanego, lepiej udokumentowanego zjawiska, kiedy to ludzie mieszkający razem przejmują z życzliwością i zrozumieniem symptomy i nastroje innych domowników. „Syndrom kuwady[35], kiedy mężczyzna współprzeżywa bóle porodowe żony i sam poród, został dobrze udokumentowany i poparty wieloma przykładami”. Stevenson zauważył: „Badałem kiedyś kobietę w średnim wieku, która skarżyła się na poważny ból w prawym ramieniu, którego przyczyny nie można było ustalić podczas badań lekarskich. W końcu dowiedziałem się, że zanim zaczęła się choroba kobiety, jej syn zmarł na raka pęcherzyka żółciowego, a podrażnienie nerwu przeponowego skierowało ból do jego prawego ramienia... Skoro może istnieć ból spowodowany identyfikowaniem się z inną osobą przekazywany normalnie za pomocą zmysłów, nasuwa się pytanie, czy podobna identyfikacja może mieć miejsce poprzez percepcję pozazmysłową”.

Szczególnie jaskrawy przykład pochodzi z wywiadu przeprowadzonego przez dziennikarza Paula Hawkera w 2010 roku.

„Okolo drugiej w nocy obudził mnie odgłos mojego pękającego serca[36] –

powiedziała mu pewna prawie czterdziestoletnia kobieta. – Wiem, że to brzmi naprawdę dziwnie, ale tak właśnie było. Słyszałam jak trzeszczy i czułam, że klatka piersiowa mi się rozłupuje. To było potężne, nagle i gwałtowne. Następnego ranka wykonałam wszystkie normalne poranne czynności i wsiałam do samochodu, żeby pojechać do pracy. Stałam na światłach, kiedy uświadomiłam sobie albo nawet poczułam nacisk na bok twarzy. Dokładnie pamiętam, że czułam, jakby czyjś policzek lekko przyciskał się do mojego, jakby się wtulał. W tym momencie całą sobą poczułam miłość i wsparcie. Było mi dobrze. Potem zdałam sobie sprawę, że jakaś ręka ujęła moją rękę i »wyczułam« też, że ta ręka nie ma środkowego palca. Wiedziałam to, ponieważ w tym miejscu nie było żadnego ucisku. I wtedy mnie olśniło. Zdałam sobie sprawę, że to ręka mojego taty; stracił środkowy palec w wypadku budowlanym, kiedy byłam małą dziewczynką.

Udałam się na swoje pierwsze spotkanie – kontynuowała kobieta – które było krótkie i po godzinie wróciłam do domu. Mąż przywitał mnie słowami: »Twój ojciec oszedł«. Zmarł podobno w nocy na skutek rozległego zawału serca. Wcale mnie to nie dziwiło”.

*

Teoria często wysuwana przez specjalistów od zdrowia psychicznego, zgodnie z którą doświadczenia tego rodzaju wynikają z naszych życzeń czy wyobrażeń o pewnych zdarzeniach już po fakcie zaistnienia, jest wyrazem niewłaściwego oszacowania ich intensywności, wyrazistości i często ich zdolności do wywoływania niepokoju. Dzieje się to na zupełnie innej płaszczyźnie niż uświadomienie sobie na chłodno, że właśnie myśleliśmy o kimś, kto akurat zadzwonił. Zastanówmy się nad opisem przedstawionym przez marynarza Raymonda Huntera: „Pamiętam, jak chwytalem się za usta i otwierałem je siłą, żeby móc oddychać. Walczyłem jak szalony[37], ale ból stawał się nie do zniesienia”. *Nie do zniesienia*. To nie jest coś, z czego można się otrząsnąć jak ze złego snu, zwłaszcza kiedy dowiadujemy się, że

ojciec zmarł w momencie naszej paniki i bólu. Nadaje to temu przeżyciu własne znaczenie, nie budzi wątpliwości.

Socjolog Glennys Howarth[38] z Uniwersytetu w Bath badająca rzadkie przypadki wspólnego odczuwania symptomów choroby na odległość, zaobserwowała, że tego rodzaju zdarzenia powodują jakby „zmianę statusu”, przejście z jednego sposobu istnienia na świecie do innego. „Jeżeli osoba dzieląca takie doświadczenie ma je zrozumieć, dla siebie lub dla innych, konieczne jest przekonujące wyjaśnienie”. Innymi słowy, niech mi ktoś powie, co się tu u diabła wydarzyło! Bez wyjaśnienia taka osoba będzie samotna, pozostawiona własnemu losowi „w naznaczonym piętrem niezrozumienia świecie halucynacji i szaleństwa”. Nie jest to przyjemne miejsce do życia.

„Kiedy miałem osiemnaście lat – napisał Derek Whitehead[39] – byłem we flocie handlowej na Pacyfiku w drodze do Australii. Pewnej nocy czytałem w swojej koi magazyn dla mężczyzn – był to zdaje się „Mayfair” albo „Playboy”. Spojrzałem w górę i zobaczyłem swojego dziadka, stojącego obok i patrzącego na mnie. No cóż, wyskoczyłem z łóżka, wrzasnąłem, a on wciąż tam był i patrzył na mnie. Uciekłem w popłochu na mostek, trzęsąc się jak liść osiki”. Whitehead dowiedział się później z listu czekającego na niego w Australii, że dziadek zmarł tamtej nocy. Było to dla niego wielce niepokojące przeżycie. „Nie wiem, co to jest – fantazje, sny, życzenia, urojenia – ale nie podoba mi się to. Przez to wszystko zachwiało się moje poczucie rzeczywistości”.

Z powodu takiego poczucia destabilizacji wzorcowej rzeczywistości ludzie, co dość oczywiste, żarliwie sprzeciwiają się czasami idei doświadczeń anomalnych. Wyjątkowo wstrząsającą historię pięknie opowiedział wykształcony w Harvardzie chirurg Allan Hamilton, profesor neurochirurgii z Centrum Nauk Medycznych (Health Sciences Center) Uniwersytetu Arizony, który miał następujące doświadczenie w czasie swojego stażu specjalizacyjnego w Bostonie. W 1982 roku pracował na oddziale pediatrycznym w Massachusetts General Hospital, gdzie zajmował się poparzeniami. Do szpitala przywieziony został dziesięcioletni chłopiec po upadku z wieży wysokiego napięcia na linię elektroenergetyczną. Stracił prawie całą skórę, pozostały mu jedynie niewielkie płyty w zgięciach stawów

i pachwinie. „W początkowej fazie leczenia głębokich poparzeń[40] – pisze Hamilton we wspomnieniach zatytułowanych *The Scalpel and the Soul* – ciało ofiary musi zostać pokryte nową skórą. Dokonuje się tego przede wszystkim za pomocą przeszczepu skóry pobranej ze świeżych zwłok. Choć jest ona martwa, cienkie paski skóry właściwej i nabłonka świetnie działają jako skóra tymczasowa. Po pewnym czasie system immunologiczny pacjenta odrzuca obcy przeszczep. Jest jednak nadzieja, że przeszczep ze zwłok pozwoli zyskać tyle czasu, iż można będzie stopniowo pobierać po trochu pozostałą po wypadku własną skórę pacjenta... i pokrywać nią na nowo jego ciało”.

W tym wypadku delikatne ciało chłopca wciąż odrzucało przeszczepy. Hamilton i jego koledzy tracili już nadzieję, że zdołają utrzymać go przy życiu na tyle długo, żeby zdołać zregenerować skórę. Pacjent pozostawał w śpiączce, w stanie zagrożenia życia, jedną nogą na tamtym świecie. Jego czterdziestodwuletni ojciec, szalenie zrozpaczony, zasłabł i zmarł nagle na atak serca. Niespodziewanie zespół medyczny stanął przed wprost niewyobrażalną szansą. Pod względem genetycznym skóra ojca powinna pasować chłopcu bardziej niż którakolwiek z pobranych dotychczas i była szansa, że chłopiec jej nie odrzuci.

„Podjęto decyzję o przewiezieniu Thomasa na salę operacyjną i pokryciu jego ciała skórą ojca”, wspomina Hamilton. Przeszczep trwał prawie dwanaście godzin. Po operacji „poszedłem do pokoju lekarskiego i natychmiast zasnąłem – napisał Hamilton. – Byłem na nogach od ponad czterdziestu ośmiu godzin. Wydawało się, że minęło zaledwie parę sekund i obudziłem się zły i zdezorientowany. Pielęgniarka głośno pukała do drzwi dyżurki. Spojrzałem na zegarek. Spałem ponad dwie godziny. Pielęgniarka waliła z całej siły i nagle przemknęło mi przez myśl, że Thomas prawdopodobnie umiera”.

Nic takiego się nie wydarzyło. Młody pacjent – który ostatecznie przeżył – wybudził się natomiast z długiej śpiączki i rękami w specjalnych rękawicach po omacku szukał w tchawicy rurki intubacyjnej. Chciał coś powiedzieć. Hamilton usunął z tchawicy i ust chorego różne urządzenia medyczne. „Chłopiec zakaszlał gwałtownie kilka razy, po czym nagle przemówił. Jego głos był absolutnie czysty: »Co się stało mojemu ojcu?«”.

Hamilton zaszokowany skłamał odruchowo i zapewnił chłopca, że wszystko jest w porządku, że ojciec czuje się dobrze. Dla chłopca ta odpowiedź była myląca: „Mój ojciec stoi w nogach łóżka. Dlaczego nic nie mówi?”.

W pierwszej chwili Hamilton odwrócił się i wyciągnął szyję, szukając jakiegoś wizerunku czy sylwetki za szpitalną zasłoną, czegoś, co mogło zmylić pacjenta, ale nic tam nie było. Z pomocą dyżurnej pielęgniarki poinformował chłopca o śmierci ojca, tak jakby rozwianie złudzeń było ważniejsze niż chronienie go przed smutnymi wieściami. Chłopiec był zaszokowany, lekarz zaś kompletnie ogluszony.

Hamilton napisał: „Tak wyglądało moje własne delikatne przebudzenie. Czulem mrowienie w całym ciele, jakby po mojej skórze tańczyły iskry”.

*

Delikatne przebudzenie, sekretne zaskoczenie, chwile całkowitej konfuzji. Dla moich przodków z Irlandii i gór północnej Szkocji wiedza zdobywana w sposób niezwykajny była od zawsze czymś oczywistym – wygodnie zakotwiczonym w kulturze. Niczego nie trzeba było zatajać. To poczucie przebudzenia czy zakłopotania jest bardzo nową reakcją na coś bardzo starego. Pewnego letniego popołudnia moje starsze ciotki i kuzynki, kobiety po osiemdziesiątce i dziewięćdziesiątce, zebrały się wszystkie przy stole jadalnym w naszym domku o nazwie Loch End, miejscu spotkań klanu Mackenzie, krewnych ze strony mojej matki, od kiedy wyemigrowaliśmy z prawdziwego Loch End niedaleko Inverness w Szkocji podczas rugów szkockich na początku XIX wieku. Tu, w stuletnim domku w północnoamerykańskim lesie na brzegu Stony Lake, wprost na ścianie moja babka wymalowała szkockie porzekadło: „Od duchów i upiórów, i od długonogich stworów, i od straszydeł, które pohukują w nocy, wybaw nas, dobry Boże”. Ukłon w stronę języka gaelickiego, którym klan niegdyś się posługiwał; ukłon w stronę celtyckich czarownic, naszych przodkiń^[1]. Ale

dopiero teraz, kiedy piszę tę książkę, po raz pierwszy zebrałyśmy się tu, aby poważnie porozmawiać o tych sprawach.

Ciotka Bea, która ma 92 lata i wciąż osobiście prowadzi samochód, co rok przyjeżdża na wyspę na jeziorze, co zabiera jej cztery godziny, żeby spędzić tu lato. Czyta „New York Timesa” i ma co nieco do powiedzenia na temat brytyjskiej polityki zagranicznej i zmian klimatycznych. Swoje siwe włosy nosi równo podcięte na tak zwanego pazia, z grzywką, spod której przygląda się wszystkim intensywnie, zawsze ciekawa i dociekliwa. Kończymy właśnie nasze letnie sałatki i rozmowy o najnowszych książkach, a ciotka Bea wspomina, jak praprababka Maude obnosiła się przez cały czas ze swą absolutną pewnością o tym, że dowiaduje się o różnych sprawach we własny tajemniczy sposób.

– Babcia siadywała w salonie, czytając książkę czy coś w tym rodzaju i nagle potrafiła zatrzasnąć ją i wymamrotać: „A niech mnie! Taki a taki zaraz tu będzie, a ja nie chcę go widzieć”. I faktycznie – mówi ciotka Bea ze zdumieniem, splótnęszy dłonie lekko na brzuchu – taki a taki pojawiał się dziesięć minut później.

Norwegowie mają swoje słowo na tę osobliwą zdolność przewidywania nadejścia gości: *vardrger*[41]. My nazywamy to „drugim wzrokiem”, takiego właśnie wyrażenia używali nasi przodkowie z Highlands. (A oto ciekawostka na marginesie: 60 procent szkockich górali ma, jak odkryto, norweskie DNA i tylko te dwie europejskie kultury, o ile mi wiadomo, wymyśliły ludowe nazwy na tę szczególną zdolność prekognicji, może więc istnieje tu jakaś skłonność genetyczna). W każdym razie było to w naszej kulturze zrozumiałe, kiedy ktoś posiadał drugi wzrok i ci, którzy taki talent mieli, nie czuli się jak fantaści czy kłamcy. Prababcia Maude była malutką, drobną kobietką, miała niecałe 150 cm wzrostu. Kiedy intuicyjnie wyczuwała zbliżanie się do domu jakiegoś nudziarza czy zrzędy, chowała się czasami w malowanej, drewnianej skrzyni na ganku. Wiele lat później, kiedy mój dziadek zatelefonował do swojej matki, aby poinformować o tym, że ojciec miał śmiertelny atak serca, którego doznał w żaglówce w Georgian Bay, zatoce jeziora Huron, Maude odpowiedziała niecierpliwie i ze smutkiem: „No przecież *wiem*”.

Po Maude z każdym kolejnym pokoleniem rozmowy o „drugim wzroku”

odchodziły w sferę prywatnej ciszy, jako że członkowie rodziny wtapiali się coraz bardziej we wschodzący sekularyzm XX wieku. Dopiero podczas tego popołudnia wspomnień Bea, najstarsza w naszym klanie, opowiedziała o prababci Maude – a potem ujawniły się następne. Kuzynka Marion poinformowała, że kiedy jako nastolatka pracowała w domu wczasowym w Banff w Albercie, „to musiało być pod koniec lat czterdziestych”, w hotelu wybuchł pożar, co spowodowało, że jej matka w Montrealu obudziła się mocno przygnębiona i czym prędzej do niej zatelefonowała. Kuzynka Sonny zwierzyła się, że przeniosła się w świat mistyczny po alergicznej reakcji na penicylinę, a później, kiedy zmarł jej były mąż, dokładnie w to popołudnie, bez reszty przepełniło ją ciepłe, trudne do opisanie „światło” emocji. Moja matka, hiperracjonalistka, przyznała się, skoro już podjęliśmy ten temat, *skoro o tym wspomniano*, że kiedy studiowała na uniwersytecie, któregoś ranka obudziła się nagle i pobiegła do telefonu w akademiku, żeby zadzwonić do mojej babki, która przeżywała kryzys, o czym matka skądś wiedziała. Babcia rzeczywiście była załamana. Tej nocy zmarła jej najserdeczniejsza przyjaciółka.

Każde doświadczenie było inne, ale we wszystkich chodziło o sposób pozyskiwania wiedzy – albo może sposób istnienia – który odchyłał świat od jego własnej osi, choćby na moment. A jednak nigdy dotąd o tym nie rozmawialiśmy. Było to w pewnym sensie zdumiewające. Przechodziliśmy tu obok zaklęcia napisanego po gaelicku na naszej ścianie – od duchów i upiórów... – i kompletnie ignorowałyśmy to, że ludowa tradycja nawiązywała do naszych własnych doświadczeń. Już dawno przyswoiliśmy męską, mającą korzenie w lewej półkuli mózgowej, szkocką filozofię oświecenia głoszoną przez naszych patriarchów, których większość (od chwili przyjazdu do Ameryki Północnej) została żołnierzami, duchownymi Kościoła anglikańskiego i księgowymi. Duchy, upiory i celtyckie czarownice to wszystko kobiety: precz z nimi!

Co tracimy, co ulatnia się, gdy ściszymy rozmowy o naszych wrażeniach i widzeniach? Nie mamy już starych modeli[42], dzięki którym można by te doznania zrozumieć, a „modele pomagają nam myśleć – napisała psychiatra z Berkley Elizabeth Lloyd Mayer, ta sama, która była w szoku, kiedy różdżkarz odnalazł harfę jej córki. – Bez konceptualnego podejścia do tematu obserwacje, które nie pasują do naszych już istniejących modeli, mogą być

intrygujące i zabawne”, przynajmniej dla tych, którzy słuchają tych historii, choć niekoniecznie dla tych, którzy żyją w ich potężnym centrum, „ale ich ostateczne oddziaływanie można porównać do pisania patykiem po wodzie. Bez modeli, które ujęłyby je w ramy, nie mamy gdzie umieścić nowych i nieznanymi doznań, kiedy próbujemy je rozszyfrować”.

W historii roi się oczywiście od przykładów rozmyślnego niezauważania przez naukę głównego nurtu rzeczy „nowych i nieznanymi”. Warto się nad tym przez chwilę zastanowić. Meteoryty[43] zostały wydrwione przez Francuską Akademię Nauk w XVIII wieku – jak mogą skały spadać z powietrza? Kustosze muzeów w całej Europie w pośpiechu pozbywali się meteorytów, które mieli w zbiorach, zawstydzeni, że mogli w ogóle planować wystawienie czegoś tak dziwnego. Pod koniec XIX wieku węgierski położnik Ignaz Semmelweis[44] zwrócił uwagę na to, że gdyby lekarze myli ręce przed odbieraniem porodu, liczba infekcji u matek byłaby mniejsza. De facto udowodnił to na swoim oddziale położniczym, gdzie uzyskał najniższy w Europie wskaźnik śmiertelności. Jego pomysł został jednak uznany za absurdalny, a sam doktor wyśmiany i zapomniany, i w końcu zmarł niespełna rozumu w zakładzie dla obłąkanych. Lampa elektryczna Thomasa Edisona była uważana za tak niedorzeczny pomysł, że inni naukowcy nie przyjęli zaproszenia na jej prezentację. John Snow[45] został zlekceważony, kiedy wysunął teorię o istnieniu drobnoustrojów, jako że wszystkie mądre głowy wiedziały swoje.

Mój ulubiony przykład pochodzi z „London Review of Books” i został opisany kilka lat temu przez powieściopisarkę Hilary Mantel: „Od 1904 roku bracia Wright[46] wykonywali loty nad polami ograniczonymi główną drogą i linią kolejową w Ohio; ale chociaż setki ludzi widziało ich w powietrzu, prasa lokalna nie publikowała relacji na ten temat, ponieważ nie wierzono świadkom, a swoich świadków nie wysłano, bo to nie mogło być prawdą”. Dwa lata po pierwszym locie, pismo „Scientific American” zlekceważyło wyczyny latających braci; „gdyby coś w tym było, napisano, to czyż nie podchwyciłaby tego lokalna prasa?”.

*

Okolo dziesięciu lat po rozpoczęciu przez Iana Stevensona badań nad wrażeniami telepatycznymi w czasie kryzysu trzech inni psychologowie stworzyli metodę oceny zdolności telepatycznych w warunkach laboratoryjnych, która jest znana pod nazwą „technika ganzfeld”[47]. Słowo „ganzfeld” pochodzi z języka niemieckiego i można je z grubsza przetłumaczyć jako „pełne pole”. Metoda opiera się na założeniu, że można poszerzyć pole percepcji i sięgnąć do subtelniejszych źródeł informacji przez wyciszenie dopływu z otoczenia pospolitych bodźców zmysłowych[48]. Przypomina to z zasady uspokojenie hałaśliwej grupy wycieczkowiczów, którzy znaleźli się w lesie w tym samym co my czasie, po to, aby móc wsłuchać się w naturę i usłyszeć złamanie gałązki przez jakieś małe, niewidoczne zwierzątko. „Normalny stan czuwania jest stymulowany przez świadomość sensoryczną, więc wszystko, co zaburzy tę świadomość, poprawi prawdopodobnie percepcję psi”, spekuluje Dean Radin.

W typowym eksperymencie ganzfeld[49] osoba testowana jako odbiorca zasiada w wygodnym fotelu z połówkami piłeczek pingpongowych na oczach. Oczy pozostają otwarte i badany świeci się w twarz czerwonym światłem – w ten sposób odbierają oni wzrokiem miękka, czerwoną poświatę. Na uszy nakłada się im słuchawki, tak żeby jedynym bodźcem słuchowym był jednostajny, niczym niezakłócony szum. W ciszy i spokoju, z tak ograniczonym dopływem bodźców zewnętrznych, pozostawia się ich na mniej więcej kwadrans.

Tymczasem w oddzielnym pokoju ochotnik grający rolę „nadawcy” otwiera kopertę zawierającą cztery wyraźne obrazy. Wybrawszy jeden z nich, stara się mentalnie przekazać obraz odbiorcy; ma na to trzydzieści minut.

Oto przykład eksperymentu przeprowadzonego przez Radina w jego laboratorium w Instytucie Nauk Neotycznych w Palo Alto w Kalifornii w 2010 roku. Obrazki, z których mógł wybierać uczestnik o imieniu Tom, przedstawiały trawiaste pole z niebieskimi i żółtymi kwiatami, gniazdo ptaka z czterema złotymi jajami, wielką piramidę Cheopsa i zwykłą, asfaltową drogę w płaskim terenie ze słupami telefonicznymi po obu stronach.

Odbiorcę, dziewczynę o imieniu Gail, poproszono, aby wyartykułowała swoje wrażenia, nie nazywając ich i nie analizując. Zarejestrowano następujący komentarz:

„Ciągle czuję, jakbym patrzyła do góry na coś wysokiego. Patrzę na coś wysokiego.

Coś tu jest o fakturze materiału. Faktura.

Czuję, jakby to coś było szorstkie.

Wysokie, mam wrażenie czegoś bardzo wysokiego, patrzę w górę.

Czuję, jakbym chodziła wokół czegoś, czemuś się przyglądam, tak jak się chodzi po galerii sztuki albo po muzeum i chce się coś obejrzeć.

Muzeum i chce się coś obejrzeć.

Wow.

Najpierw czuję jakby wysokie drzewa, a potem jakąś wysoką budowlę.

A potem jakby obraz z Yosemite, wysoka skała albo wysokie... coś.

Jakby coś bardzo wysokiego, jakaś kamienna bryła.

Widzę brązy i szarości.

Coś jakby uczucie, że chodzę wkoło czegoś, patrzę w górę, z podziwem.

Podziwiam coś.

Coś monolitowego, jakieś takie słowo, nie pamiętam dokładnie”.

Rzecz jasna, że z czterech obrazków, jakie Tom znalazł w kopercie, postanowił mentalnie przekazać Gail ten przedstawiający piramidę Cheopsa. W latach 1974–2004 przeprowadzono prawie pięćdziesiąt eksperymentów ganzfeld[50], których wyniki zostały opublikowane przez licznych naukowców z całego świata. Podsumowując, losowo wybrane

obrazki zostały opisane właściwie w 32 procentach przypadków, czyli siedem punktów procentowych powyżej tego, co wynika z rachunku prawdopodobieństwa. Innymi słowy szansa, że ktoś taki jak Gail opisze obraz zbliżony do obrazka wybranego przez Toma przypadkiem i zrobi to trzydzieści dwa razy na sto, została skalkulowana na dwadzieścia dziewięć milionów bilionów do jednego. Zrozumienie tego rodzaju statystyk może być trudne. Nie wydaje się, że siedem punktów procentowych powyżej prawdopodobieństwa to dużo. Ale jest to wielkość olbrzymia: nie powinno to być w ogóle możliwe, żeby wynik był większy niż to, co wynika z prawdopodobieństwa. Jeżeli telepatia jest zdolnością do dostrajania się, darem takim jak geniusz muzyczny czy inteligencja matematyczna i jeżeli do eksperymentu zaprasza się losową liczbę ochotników z uniwersytetu, którym nie każe się wychwytywać donośnych, rozbrzmiewających echem nawoływań członków ich rodzin w chwili niebezpieczeństwa lub śmierci – a jedynie rozpoznawać rzeczy prozaiczne, jak obrazek egipskiej piramidy – wtedy siedem punktów procentowych powyżej prawdopodobieństwa jest czymś nadzwyczajnym.

Jeżeli te badania są dla was nowością, tak jak to było dla mnie, warto przeczytać książki Deana Radina. Prowadzi on czytelników krok po kroku przez historię badań, opowiada o doskonaleniu protokołów, wybieraniu badanych, „efekcie szuflady”, obliczaniu prawdopodobieństw i tak dalej. Na chwilę obecną wystarczy powiedzieć, że nawet psychologowie, tacy jak Richard Wiseman[51] z Wielkiej Brytanii, znany sceptyk, gdy chodzi o zjawiska paranormalne, przyznał publicznie, że tego rodzaju eksperymenty „spełniają tradycyjne wymogi” naukowe. Tyle tylko że, ponieważ telepatia jest sferą z naukowego punktu widzenia „nadzwyczajną”, nie dopuszcza się do tego, aby brane były pod uwagę zwykłe standardy. Już w 1988 roku Narodowa Rada ds. Badań Naukowych przy Narodowej Akademii Nauk USA (The National Research Council – NRC – of the National Academy of Science) zleciła psychologowi z Harvardu Robertowi Rosenthalowi[52], przewertowanie eksperymentów ganzfeld w poszukiwaniu błędów metodologicznych. Czy na rezultaty mogły mieć wpływ kiepski projekt badawczy lub błędna analiza? (Większość naukowców z dziedziny medycyny nie zdaje sobie sprawy, że cudowny, standardowy projekt „randomizowanego kontrolowanego badania klinicznego” został pierwotnie stworzony do studiów nad zjawiskami paranormalnymi). Przyjrząwszy się

dokładnie eksperymentom, Rosenthal i jego kolega poinformowali, że „badania ESP (postrzegania pozazmysłowego) metodą ganzfeld regularnie spełniają podstawowe wymogi solidnych projektów badawczych”. Ponadto stwierdzili, że byłoby „nieprzekonujące” utrzymywać, iż konkluzje dotyczące telepatii są dziełem przypadku. (A co zrobiła NRC z ekspertyzą Rosenthala? Według Elizabeth Mayer zajęła stanowisko wyczekujące. Temat telepatii był po prostu zbyt gorący. Meteoryt).

„To skandal – powiedział uczony z Cambridge Henry Sidgwick[53] – żeby dysputa o prawdziwości tych zjawisk wciąż się toczyła, żeby – mimo iż tak wielu kompetentnych świadków zadeklarowało swoją w nie wiare, a tak wielu innych wykazało głębokie zainteresowanie rozwiązaniem tej kwestii – świat naukowy jako całość wciąż po prostu odnosił się do tych spraw z niedowierzaniem”. Sidgwick zaprotestował w taki sposób w 1882 roku.

Sto dwadzieścia lat później dokonał się już duży postęp w studiach nad tymi sygnałami i falami, ale niewiele się zmieniło, jeśli chodzi o to, co uznaje się za oficjalną prawdę. Fizyk z Cambridge i laureat Nagrody Nobla Brian D. Josephson[54] powiedział „New York Timesowi” w 2003 roku: „Istnieje naprawdę silna presja, aby nie wypowiadać się o tych sprawach (o zjawiskach psi) w sposób pozytywny”. Harold Puthoff[55], fizyk ze Stanford Research Institute wyznaczony w latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych XX wieku do nadzorowania eksperymentów CIA dotyczących zdalnego postrzegania (jasnowidztwa) opisał tę presję w korespondencji emailowej z psychiatrą Elizabeth Lloyd Mayer. „Dowody, jakie mieliśmy (jasnowidztwa) były niepodważalne – napisał do niej. – Widziałem to. Ale widziałem również, że nie rozproszyło to moich wątpliwości. Pozwoliło mi natomiast zrozumieć, że to nie moje wątpliwości są problemem. Wprost przeciwnie, problem leży w moich przekonaniach. Było mi bardzo trudno porzucić swoje przekonania, o tym jak działa świat, nawet w obliczu dowodów, które pokazywały, że moje przekonania są błędne”.

*

Jeszcze przed przeprowadzeniem pierwszych badań EEG na bliźniętach, fizycy odkryli kwantowy wszechświat, w którym cząsteczki subatomowe burzyły wszelkie zasady fizyki klasycznej i ukazywały zjawisko zwane „splątaniem”[56]. Dwie cząsteczki, mimo że niezwiązane fizycznie, jakimś sposobem pozostawały jednakowoż ze sobą powiązane albo inaczej mówiąc, splątane, wywierając wpływ na siebie wzajemnie nawet na odległość. Obecnie jest to fakt powszechnie uznany i dokładnie omówiony. Fizycy w końcu zaakceptowali „nielokalną” korelację jako rzeczywiste, choć absolutnie tajemnicze zjawisko na poziomie subatomowym. W 2011 roku fizycy z Oxfordu przenieśli splątanie kwantowe na poziom makro, na krótko splątując dwa oddzielne kryształy diamentów, co można było zaobserwować gołym okiem.

Neurobiolog Michael Persinger[57] z Uniwersytetu Lakehead w Sudbury w prowincji Ontario uważa, że udało mu się prawdopodobnie wykazać splątanie między ludźmi, choć jego eksperyment wymaga powtórzenia. „Odkryliśmy – zanotował w 2009 roku – że jeżeli umieścimy dwójkę ludzi w pewnej odległości od siebie i wytworzymy wokół nich okrągłe pole magnetyczne, a następnie podłączymy ich do tego samego komputera, tak żeby odbierali takie same bodźce, wówczas kiedy błysniemy światłem w oczy jednej z tych osób, w mózgu osoby przebywającej w drugim pomieszczeniu, odbierającej tylko fale magnetyczne, zachodzą takie zmiany, jakby to ona zobaczyła błysk światła”. Naukowcy pokroju Persingera (którzy byli kiedyś stanowczymi sceptykami, gdy chodzi o wszelkie zjawiska paranormalne) z coraz większym spokojem patrzą obecnie na odkrycia w tym nowym świecie. „Teoria kwantowa[58] i ogromna liczba popierających ją eksperymentów mówi nam, że coś niepojętego łączy przedmioty odizolowane od siebie pod każdym innym względem – tłumaczy Radin. – A właśnie to pokazują nam doświadczenia i eksperymenty psi. Paralele są tak uderzające, że można by wysunąć wniosek, iż psi jest – dosłownie – ludzkim doznaniem interpersonalnych powiązań w świecie kwantowym”.

Tę tajemniczą siłę wzajemnych powiązań badają również naukowcy z Princeton, co doprowadziło do rozpoczęcia eksperymentu nazwanego przez nich Global Consciousness Project (GCP), podejmującego temat globalnej

świadomości. Począwszy od wczesnych lat dziewięćdziesiątych pracownicy laboratorium Princeton's Engineering Anomalies Research (PEAR) zaczęli rozmieszczać elektroniczne generatory zdarzeń losowych (REG) we współpracujących z uczelnią uniwersytetach na całym świecie. Działanie REG-ów można przyrównać w istocie do rzutu monetą: wychodzi orzeł lub reszka, jedynka lub zero, zgodnie z rachunkiem prawdopodobieństwa. Ze wstępnych eksperymentów laboratoryjnych wynika jednak, że REG-i mogą zacząć zachowywać się *mniej losowo*, jeżeli badacz skoncentruje się na nich świadomie i celowo. Próbując ustalić, jak to możliwe, że ludzka świadomość[59] w jakiś sposób wywiera wpływ na układy materialne, badacz Roger Nelson wraz ze swym zespołem przystąpił do monitorowania danych podczas wydarzeń o światowym znaczeniu, takich jak pogrzeb księżny Diany w 1997 roku, który, jak się ocenia, oglądało 2,5 miliarda osób, czy tragiczny rozwój wypadków z 11 września 2001 roku.

„Zadaliśmy sobie pytanie, czy ludzie, których połączyły okoliczności i którzy zgodnie reagują na te wydarzenia, mogą mieć wspólną grupową świadomość i czy zostanie to zarejestrowane przez nasze urządzenia losowe. Odpowiedź brzmiała: tak”, napisał Nelson. Od rana 11 września przez siedemdziesiąt dwie godziny REG-i dostarczały do laboratorium w Princeton dane z całego świata układające się w określony wzorzec. Na stronie internetowej PEAR Global Consciousness Project[60] można zobaczyć, jak to wygląda, jak dane losowe zmieniają się w dane uporządkowane. To sztuka robiąca upiorne wrażenie. Dane zdołano nawet przetworzyć w dźwięk, w wyniku czego powstała na przykład elegia o 11 września.

„W sumie statystyka dotycząca projektu – twierdzi Nelson – wskazuje, że prawdopodobieństwo, iż korelacja naszych danych z wydarzeniami natury globalnej[61] jest jedynie przypadkowa, wynosi 1 do 20 milionów. Możemy też wykluczyć prozaiczne tłumaczenia, takie jak promieniowanie elektromagnetyczne, nadmierne obciążenie sieci energetycznej, używanie telefonów komórkowych... Nie wiemy jeszcze, jak wyjaśnić korelacje między wypadkami o szczególnym znaczeniu dla człowieka a danymi GCP, ale są one zupełnie wyraźne. Sugerują, że istnieje coś podobnego do podtrzymywanego we wszystkich prawie kulturach wzorca jedności, wspólnoty, współzależności jako wartości fundamentalnych dla życia”.

Tę jedność obserwujemy w naturze, na przykład w gromadzeniu się ptaków czy w starannie skoordynowanych budowlach ślepych termitów, które wznoszą wspaniałe wieże, pracując w pełni synchronicznie nawet wtedy, kiedy biolodzy wtykają między dwa zespoły robotników wyłożone ołowiem przegrody, tak żeby zharmonizowanie wysiłków za pomocą konwencjonalnych zmysłów nie było dla owadów możliwe. W 1919 roku amerykański przyrodnik William Long[62] wydał książkę zatytułowaną *How Animals Talk* i przedstawił w niej wnioski z obserwacji wilków w puszczech Nowej Szkocji. Wataha, którą badał, potrafiła rozproszyć się na tyle, że zwierzęta nie mogły już namierzać się wzajemnie ani słuchem, ani węchem, a jednak i tak umiały się odnaleźć. Long uznał to zjawisko za interesujące, choć nie był w stanie udowodnić ani wyjaśnić w taki czy inny sposób, co to oznacza. Dopiero sześćdziesiąt lat później, były biolog z Cambridge, nieszablonowy naukowiec Rupert Sheldrake[63], wykorzystał obserwacje terenowe Longa i zastosował je do badania psów.

Sheldrake zaprojektował serię eksperymentów mających zbadać, jakim sposobem psy wiedzą – a w każdym razie robią takie wrażenie, jakby wiedziały – że ich właściciele wracają właśnie do domu. (Nie dotyczy to mojej Sheltie, która kiedyś szczekała bez ustanku na okładkę albumu ze zdjęciem Glena Campbella). Sprawdzając reakcje na zapach, dźwięk samochodu na ulicy, zwyczajowy rozkład dnia i wszystkie znane odgłosy, Sheldrake zdołał ustalić, że psy zaczynają oczekiwać na powrót swych panów niezależnie od sygnałów sensorycznych. Sheldrake doszedł do wniosku, że najwyraźniej istnieje siła, która łączy zwierzęta towarzyskie na odległość i stawia je w stan pogotowia. Później dowiedział się, że tego rodzaju więź była uznawana za oczywistą w kulturach tradycyjnych, ale nie zostało to dokładnie zbadane przez antropologów z oczywistych powodów – był to temat tabu. (Kto przyznałby stypendium na badanie telepatii w plemionach tubylczych, skoro takowa podobno nie istnieje?). Ukazywały się natomiast tu i ówdzie ciekawe wnioski z badań w terenie. Dziennikarz i pisarz z RPA, Lawrence Van der Post, opisał afrykańskich Buszmenów[64], którzy wiedzieli, kiedy myśliwi wrócą ze zdobyczą; tubylcy wyjaśnili mu, że było to jak „telegram” u białego człowieka, tyle że – i tu wskazywali na swą pierś – czuli tę depezę „w sercu”. Z kolei Irokezi z Ameryki Północnej mówią o korzystaniu z „długiego ciała”[65], określając tak sposób, w jaki utrzymują łączność z grupą, ze swoimi plemiennymi ziemiami

i z przedmiotami znajdującymi się na tych ziemiach.

Czytając to, uświadomiłam sobie ze zdziwieniem, że sama również natknęłam się na podobne historie latem 2010 roku, kiedy poleciałam ponad tysiąc kilometrów na północ od Toronto, aby odwiedzić Indian z plemion Odżibwejów i Kri na zamieszkiwanych przez nich tradycyjnie ziemiach w tajdze nad Zatoką Hudsona. Przedstawiciele starszyny urodzili się w lesie i żyli po staremu. Mieli niewiele większy kontakt z nowoczesnością niż plemiona znad Amazonki czy z Andamanów. (Amerykanie o korzeniach europejskich uważają Indian Ameryki Północnej za jednorodną grupę, której członkowie miesza się z nimi od czasów Pocahontas. Ale dopiero kiedy przeleci się nad oceanicznym bezmiarem północnego Ontario, zaczyna się mieć jaśniejsze pojęcie o tym, dlaczego jest możliwe, że na pewne plemiona nie bardzo mogły oddziaływać zachodnie poglądy, nawet mimo że do lat siedemdziesiątych XX wieku, kiedy to dzieci indiańskie zostały brutalnie wywiezione do szkół z internatem, istniała sporadyczna wymiana handlowa z białymi). Starsi plemienia opowiedzieli mi o szamańskiej ceremonii „trzęsącego się namiotu” i próbowali wytłumaczyć, że, praktycznie rzecz biorąc, było to dla nich coś w rodzaju radia. Trudno opisać trzęsący się namiot. Składa się on z długich pasów skóry tworzących wąską przestrzeń, wygląda to niemal jak zamknięty parasol. W środku stoi szaman, tak więc szerokość tego namiotu jest niewiele większa niż ciało czarownika. Kiedy szaman wchodzi w trans, paski skóry zaczynają trzepotać, tak jakby wytwarzał się jakiś rodzaj pola energetycznego. Ale, jak wyjaśniła nam starszyna w 2010 roku, trzęsący się namiot nie był jedynie rytualnym środkiem do komunikowania się z duchami. W ten sposób dowiadywano się również, co dzieje się w świecie, zanim dotarły tam telefony – jaką pogodę czy jakie warunki do polowania mają inne rody i inne grupy mieszkające setki kilometrów w dół i w górę rzeki Severn, ich głównej drogi wodnej. Podobnie jak Masajowie mieli swój „telegraf”, tak i oni mieli – od zawsze – ten inny sposób zdobywania wiedzy.

Jak to interpretować? Czyżby to wszystko wymyślili? Kiedy stoję pośrodku niewysłowienie olbrzymiego lasu świerkowo-sosnowego, pozbywam się swego fotelowego sceptycyzmu, na który chyba sobie pozwalałam, i staję się coraz bardziej pokorna i ciekawa. Jak rozwijały się istoty ludzkie, jak podtrzymywały kulturę i gospodarkę, mając do czynienia z tak

niewyobrażalnymi odległościami patrolowanymi przez niedźwiedzie, wilki i rosomaki? Jest oczywiście wiele odpowiedzi, ale w tym lesie zaczyna się rozumieć ewolucyjną korzyść, jaką byłoby rozwinięcie alternatywnego sposobu postrzegania i komunikowania się – czyli szóstego zmysłu. I dotyczy to nie tylko ludzi, ale również wilków kanadyjskich i stad karibu. Gdyby nadzwyczajny zmysł mógł pokonywać ograniczenia wynikające z odległości, z pewnością zostałyby królem ewolucyjnego balu.

Kiedy weźmiemy pod uwagę liczne zgromadzone przez Iana Stevensona przypadki odbioru wrażeń telepatycznych[66], które bardziej przypominały wołanie o pomoc niż zwykłą wiadomość o śmierci, ta ewolucyjna korzyść staje się jeszcze bardziej oczywista. „Jest całkiem prawdopodobne, że ważna, choć niedostrzegalna wymiana uczuć poprzez procesy pozazmysłowe – kończy swoje rozważania Stevenson – przytrafia się nieustannie większości z nas i być może znacząco wpływa na nasze emocje i zachowanie... Uznanie, że istnieje jakaś uniwersalna więź, która łączy nas wszystkich, nie oznacza oczywiście podważania faktu, iż większości z nas ten związek nigdy się nie objawia. Ale nawet jeżeli możemy go zaobserwować tylko okazjonalnie, nawet jeżeli zwykle ma to miejsce między osobami, które łączy miłość, gdy jedna z tych osób znajduje się w sytuacji szczególnie kryzysowej, powinno to obudzić naszą ciekawość i wzmóc wysiłki, aby dowiedzieć się, dlaczego tak się dzieje – dlaczego taki związek jest przed większością z nas utajony i dlaczego czasami nielicznym z nas się ujawnia”.

*

Dean Radin ma własną teorię na temat tego, co ułatwia wychwytywanie informacji o niebezpieczeństwie[67]. „Na poziomie rzeczywistości głębszym niż to, co jesteśmy w stanie ogarnąć zwykłymi zmysłami – zauważa – nasz mózg i nasz umysł pozostają w intymnej wspólnocie z wszechświatem. To tak jak byśmy żyli w gigantycznej misie z przejrzystą galareta. Każde drgnienie – każdy ruch, każde zdarzenie, każda myśl – wewnątrz tego

środowiska jest odczuwane w całej misie. Tyle że ta szczególna forma galarety jest środowiskiem dość osobliwym, w tym względzie że nie jest ono zlokalizowane w zwykły sposób, ani nie jest mokre i gąbczaste jak pospolita galaretka. Rozciąga się poza granice zwyczajnej czasoprzestrzeni i nie jest to nawet substancja w normalnym tego słowa znaczeniu. Z powodu »nielokalności galarety«, w której jesteśmy zanurzeni, możemy wyławiać strzępy informacji o umysłach innych ludzi, o odległych przedmiotach, o przyszłości i przeszłości. Dochodzi to do nas nie przez zwykłe zmysły i nie dlatego, że do naszych umysłów docierają sygnały z innych umysłów. Dzieje się tak, dlatego że na pewnym poziomie nasz umysł/mózg *współistnieje* z umysłem innych ludzi... Z tej perspektywy doznania psychiczne postrzegamy nie jako tajemnicze »możliwości umysłu«, lecz jako przelotne mignięcia splecionej materii rzeczywistości”.

Radin pisze dalej: „Z tego, że cząsteczki są kwantowo splecione nie wynika, że sygnały przepływają między nimi. Splecanie oznacza, że oddzielne systemy są *skorelowane*”. Kiedy mamy złowróżbne przecucie, że ktoś bliski jest w niebezpieczeństwie, „wydaje się, że to forma transferu informacji, ale to de facto czysta korelacja. A zatem w środowisku holistycznym *zawsze jesteśmy połączeni*”. Zawsze jesteśmy w stanie czuć to, co czują inni, i dowiadywać się o radości czy cierpieniu, a nawet reagować na tę radość czy cierpienie, nie wiedząc dlaczego. Tyle że przez większość czasu nie zwracamy na to uwagi. Nie możemy sobie na to pozwolić; gdybyśmy się na tym koncentrowali, zostalibyśmy przygniecieni sygnałami i falami. Przypominałoby to sytuację, kiedy staramy się ze wszystkich sił usłyszeć swoje imię, wypowiedziane przez kogoś szeptem o drugiej nad ranem w nocnym klubie. Aby przetrwać, mózg rozwinął umiejętność odfiltrowywania większości informacji. W ten sposób, nawet gdy odbieramy sygnał połączenia, nie do końca wiemy, na co reagujemy.

„Kiedy byliśmy studentami[68] w Bristolu pod koniec lat sześćdziesiątych – napisała pewna kobieta do neurobiologa Petera Fenwicka z Londynu – mój narzeczony był skłócony ze swoją matką, lekarką pracującą w Nigerii i mieszkał z ojcem. Około Nowego Roku oboje byliśmy na obiedzie u moich rodziców, kiedy nagle zaczął spazmatycznie płakać i cały pogrążył się w żalu. Wyszedł do kuchni pozmywać naczynia, próbując zająć się czymkolwiek, byle tylko oderwać się od dręczących go myśli, ale nic nie

działało. W końcu dał za wygraną i wrócił do domu, do ojca, gdzie spotkał policjanta, który powiedział mu, że jego matka zginęła tego wieczoru... [Narzeczony] wcale nie był mężczyzną uczuciowym, wręcz przeciwnie, raczej się nie wzruszał. Ten dziwny epizod pozostał jednym z najbardziej niewytłumaczalnych zdarzeń w moim życiu”.

*

W 2010 roku psycholog z Uniwersytetu Cornella Daryl Bem opublikował w piśmie „Journal of Personality and Social Psychology”, rygorystycznie recenzowanym przez kolegów ze środowiska naukowego, wyniki badań[69], w których dowodził, że ludzie są w stanie nieświadomie przewidywać zdarzenia na kilka sekund przed ich wystąpieniem. Zatrudniwszy ponad tysiąc ochotników z college’u, Bem przeprowadził dziewięć oddzielnych eksperymentów dotyczących powszechnie uznanych efektów psychologicznych, takich jak reagowanie na przekaz podprogowy czy obrazki erotyczne – ale odwrócił czas. Na przykład, w jednym z eksperymentów ochotników, którzy sądzili, że uczestniczą w testach na postrzeganie pozazmysłowe, poinformowano, że na ekranie komputera zobaczą obok siebie dwie zasłony. Powiedziano im, że za jedną z nich znajduje się obrazek, a za drugą jest goła ściana. Badanych poproszono, aby wybrali tę zasłonę, za którą według nich znajduje się obrazek; potem zasłona miała być odsunięta, żeby zobaczyli, czy mieli rację. W rzeczywistości obrazka nie umieszczono za żadną z zasłon. Dopiero kiedy ochotnicy dokonali wyboru i potwierdzili to kliknięciem, komputer losowo przydzielał obrazek – neutralny lub erotyczny – do losowo wybranej zasłony. Oto, co się wydarzyło: ochotnicy klikali na obrazki erotyczne częściej niż na neutralne i częściej niż wynikałoby to z prawdopodobieństwa, a przede wszystkim *zanim obrazki się tam znalazły*. Innymi słowy, reagowali na ukazanie się obrazka erotycznego, klikając nań, zanim się tam w rzeczywistości pojawił.

Te dziewięć eksperymentów przeprowadzono nienagannie, jak przyznali

koledzy naukowcy, niemniej jednak prawda była taka, że nikt nie chciał w to uwierzyć. Joachim Krueger[70] z Uniwersytetu Browna, jeden z recenzentów, ujął to następująco: „Moim osobistym zdaniem jest to śmieszne i nie może być prawdziwe. Pierwszą linią ataku jest poszukiwanie błędów w metodologii i projekcie badawczym. Ale uczciwie mówiąc, niczego nie znalazłem. Wszystko było, jak się wydaje, w największym porządku”.

Bem przeprowadził testy w celu określenia cech charakteru tych, którym w jego eksperymentach powiodło się wyjątkowo dobrze. Zwrócił uwagę na dwie sprawy. Po pierwsze, osoby te cechowała ekstrawersja. Ludzie tego typu mają skłonność do szukania podniet, wciąż nerwowo lustrują otoczenie. Być może, spekulował, częściej i łatwiej wychwytyują oni odległe czy niewyraźne sygnały. Po drugie, Bem zauważył, że ci, którzy dobrze radzili sobie z testami na prekognicję, na ogół bardzo szybko przetwarzali dane podprogowe. Obie te cechy, teoretyzował Bem, stanowiłyby znaczną korzyść ewolucyjną, zwłaszcza gdyby ludzie potrafili wychwytywać sygnały z całej czasoprzestrzeni.

„Zdolność do przewidywania, a tym samym unikania niebezpieczeństw stanowi oczywistą korzyść ewolucyjną, która powiększyłaby się znacząco poprzez umiejętność przewidywania niebezpieczeństw za pomocą prekognicji[71] – napisał. – Właśnie takie rozumowanie stanowiło motywację do (naszego) eksperymentu dotyczącego prekognitywnego unikania bodźców negatywnych. Podobnie możliwość istnienia rozwiniętej w procesie ewolucji prekognitywnej zdolności do przewidywania okazji do seksu była motywacją do (naszego) eksperymentu badającego prekognitywne wykrywanie bodźców erotycznych”.

Bem bazował na obserwacjach psychologa Hansa Eysencka[72], który utrzymywał, że „psi może być prymitywną formą percepcji poprzedzającą w trakcie ewolucji rozwój struktur korowych”. Jeżeli to prawda, napisał, pojawienie się w późniejszym okresie ewolucji „pobudzenia korowego mogło osłabić funkcjonowanie psi. Fakt, że ekstrawertycy mają niższy poziom pobudzenia niż introwertycy, stanowi kolejną okoliczność (obok zwiększonej tendencji do poszukiwania stymulantów) pozwalającą przewidywać, że będą oni dobrze radzili sobie w testach psi”. Cała

psychologia ewolucyjna, nawet kiedy wliczamy w nią parapsychologię, jest czysto spekulatywna.

W ostatnim czasie przeprowadzono również eksperymenty, których celem było zbadanie natury przeczucia przez mierzenie reakcji systemu nerwowego na bodźce – na przykład na widok przerażającej twarzy. W klasycznych doświadczeniach taka twarz może wywołać reakcję fizjologiczną[73], jak choćby zmianę temperatury skóry (czerwienienie się lub blednięcie) czy przyspieszenie rytmu serca. Jednakże w omawianych doświadczeniach takie reakcje uruchamiały się na kilka sekund przed rzeczywistym pojawieniem się przerażającej twarzy. (Radin 165). Badania przeprowadzone przez hiszpańskiego biologa Fernando Alvareza w Sewilli wykazały, że mewki japońskie[74] ogarnia niepokój nawet na dziewięć sekund przed ukazaniem się na monitorach wideo, zamontowanych obok klatek, węża na pozór podkradającego się do ptaków. (176). Eksperymenty związane z przeczuciami[75] mnożą się na całym świecie w szybkim tempie, a badaniom poddawani są (w zupełnie dowolnej kolejności) studenci, dżdżownice, zeberki timorskie czy wreszcie osoby uprawiające medytację zen.

W 2012 roku Julia Mossbridge, neurobiolog z Northwestern University opublikowała wraz z kolegami w piśmie „Frontiers in Perception Science” artykuł, z którego wynika, że już badania z 1978 roku, kiedy się je uważnie przeanalizuje, wykazują małą, ale statystycznie istotną liczbę wypadków prekognicji[76] w eksperymentach bez błędów metodologicznych. Jeden z recenzentów, przed wydaniem zgody na publikację artykułu Mossbridge[77], poprosił, aby wstawiono kilka słów mówiących, że zjawisko to jest spowodowane naturalnymi procesami fizycznymi, choć jeszcze nie ustalono jakimi. Musi to być materialistyczna wersja konieczności złożenia ukłonu pod adresem zwierzchności, ktokolwiek by to nie był, przez dodanie lub wymamrotanie frazy typu „Chwała niech będzie Bogu”. To niepotrzebne. Nie ma żadnego powodu, żeby zakładać, iż przeczucie to coś innego niż naturalny proces fizyczny, tyle że jest to po prostu proces, którego nie rozumiemy.

Pozostaje mieć nadzieję, że tego rodzaju eksperymenty wyjaśnią kiedyś, na czym polegają przeczucia, z którymi ludzie i zwierzęta stykają się niemal na

co dzień.

– Wiesz – powiedział do mnie mąż, kiedy pracowałam nad tym rozdziałem – że Abrahamowi Lincolnowi przyśniła się jego śmierć trzy dni przed zastrzeleniem go przez Booth’a? Napisał o tym w liście, wiedziałaś to?

Nie, nie wiedziałam, a teraz kiedy już wiem, nie mam pojęcia, co zrobić z tą wiedzą. Nie istnieją żadne modele.

– Czytam fascynującą książkę – mówi moja matka, która wciąż czyta fascynujące książki – o miłości dwojga Rosjan w czasie drugiej wojny światowej.

Jeńcowi wojennemu Lwowi Miszczence[78] przyśniła się jego ukochana Swietłana w białej sukni, klęcząca obok małej dziewczynki. Sen powrócił w trakcie pobytu Lwa w stalinowskim gułagu w 1949 roku, w czasach strasznej, bolesnej izolacji i tortur, kiedy nie wiedział nawet, czy Swietłana żyje. A potem, „w 1962 roku – napisał biograf Orlando Figes – Lew i Swietłana mieszkali z dziećmi w daczce wuja Nikity w Małachowce. Pewnego dnia szli w stronę jeziora przez pola dochodzące do lasu. Lew był z przodu, a Swietłana za nim z Anastazją, która miała wtedy sześć lat. »Kiedy dotarłem do skraju lasu – wspomina Lew – ogarnęło mnie dziwne uczucie... Odwróciłem się i zobaczyłem za sobą Swietłanę w białej sukni, klęczącą na ziemi i poprawiającą coś przy sukieneczce Anastazji. Było to dokładnie to, co widziałem w swoim śnie – Swietłana po prawej, a po lewej mała dziewczynka«”. Czy mogłoby to tłumaczyć wizję mojej siostry, która w ciszy sypialni ujrzała swoją przyszłą, jeszcze nienarodzoną wnuczkę?

Jakimś sposobem wszechświat łączy nas i pociesza. Nam dodają otuchy umierający – oni sami też są pokrzepiani. Nikt, jak się wydaje, nie jest tak naprawdę samotny.

ROZDZIAŁ 4

Astralny ojciec:
zjawisko wyczuwanej obecności

Maj 1943 roku. Oficer wojsk łączności Alex Watson pełni wartę przed brytyjskim regimentem morskim w Kalkucie. Hełm go uciska, twarz ma coraz bardziej rozpaloną. Marząc o choćby odrobinie cienia, ustawia ponad głową kolbę strzelby i nagle... już go tam nie ma.

Jest na zimnym, mokrym polu, jak mu się zdaje w Europie. Naokoło biegają żołnierze, przenosząc i ciągnąc rannych do obszarpanego namiotu Czerwonego Krzyża. Spojrzawszy w dół, Watson ze zdziwieniem widzi swojego najlepszego przyjaciela z dzieciństwa, Johna Wilmhursta, który nieprzytomny wykrwawia się w trawie. Żołnierze ekipy ratunkowej odjeżdżają – nie zdają sobie sprawy, że Wilmhurst żyje. Watson pochyla się, dźwiga przyjaciela, wkłada go sobie na ramiona niczym strażak i zanoszi do namiotu. W tym momencie wraca na swój posterunek w prażącym słońcu, mruga powiekami zdziwiony, domyśla się, że zasnął i coś mu się przyśniło.

Dwa lata później pod koniec wojny przyjaciele spotykają się w londyńskim pubie i kiedy wspólnie piją piwo, Wilmhurst przyznaje się Watsonowi, że doskonale wie, że zabrzmi to jak słowa szaleńca, ale:

– Sądzę, że uratowałeś mi życie w czasie wojny.

– Jak to możliwe?

Wilmhurst wyjaśnia, że był ranny we Francji.

– Miałem wrażenie, że opuściłem swoje ciało, spoglądałem z góry i nagle ty się pojawiłeś. Dźwignąłeś moje ciało, przeniosłeś przez pole i umieściłeś w namiocie medycznym.

Alex Watson kiwa głową, sący swoje piwo, nic nie mówi.

– Opowiedziałeś mu swoją wersję tej historii? – spytała Watsona jego córka

Janice kilkadziesiąt lat później.

– Nie, nie zrobiłem tego.

– Dlaczego?

– Nie wydawało się to potrzebne.

Ludzie na ogół trzymają takie historie w tajemnicy.

*

Wojna to teatr duchów. Pełne trupów, najeżone niebezpieczeństwem linie frontu to miejsca koszarne – choć zdarzają się tam momenty chwały – gdzie „sygnały i fale przenoszą się” jak szalone. Istnieje wiele relacji rodzin, które „otrzymały” wiadomość w środku nocy, w chwili, gdy ich chłopcy padali w morderczych walkach obu wojen światowych – co potwierdzają badania – że zwłaszcza śmierć gwałtowna i przypadkowa powoduje zaistnienie przekazów telepatycznych. Nie brakuje też intrygujących opowieści o tym, jak żołnierze wyczuwali obok siebie obecność jakby przewodnika, kogoś, kto był przy nich na polu walki. Wydaje się zatem, że ci, których życie jest zagrożone, mogą czuć czyjąś obecność bez względu na to, czy leżą spokojnie w łóżku, czy siedzą w kucki w zaszczurzonej ziemiance. Zjawy z „halucynacji żałobnych” są jednocześnie aniołami stróżami; duchy „z wizji na łożu śmierci” stają się przewodnikami.

W swych wspomnieniach z walk na frontach pierwszej wojny światowej dziennikarz William Bird[1] opisał zdarzenie, które było dla niego najbardziej niezwykłym epizodem tej wojny. W kwietniu 1917 roku walczył we Francji i po bitwie o Vimy Ridge sypiał od przypadku do przypadku pod pałatką w błotnistym labiryncie okopów. Zbudził się pewnej nocy w chłodnej ciemności, czując, że chwyciły go czyjeś ręce, że nim potrzęsają. Próbował

się wyrwać, zmęczony i rozdrażniony, ale uścisk był mocny i wyczuwał w nim zniecierpliwienie, otworzył oczy i kompletnie zaskoczony zobaczył swojego brata Steve'a, który dwa lata wcześniej został uznany za zaginionego w boju.

„Steve uśmiechnął się i puścił moje ręce, po czym, kiedy chciałem krzyknąć ze szczęścia, położył ciepłą dłoń na moich ustach. Wskazał na śpiących w namiocie, a potem na moją strzelbę i ekwipunek. »Zabierz swoje rzeczy«, powiedział cicho”. Bird, próbując ogarnąć rozumem, jak to w ogóle możliwe, że brat go odnalazł, posłusznie podążył za Steve'em, wciąż pod osłoną okopu, oddalając się od śpiących kolegów. Kiedy przyszło mu do głowy, żeby zapytać brata, dokąd idą, Steve skręcił za róg – i zniknął. Bird szukał go rozpaczliwie, aż w końcu pogodził się, że go nie ma, dochodząc do wniosku, że pewnie zdrzemnął się na chwilę i coś mu się przyśniło. Do myślenia dał mu fakt, że jego brat był w mundurze i czapce z 1915 roku. Takiego ekwipunku nie noszono już od dwóch lat; to musiał być sen. Bird niepokieszony dał za wygraną i zasnął tam, gdzie stał, wczołgawszy się do ziemianki.

Następnego dnia obudzili go koledzy z batalionu, przejęci, że on żyje. Zaprowadzili chłopaka na miejsce, gdzie wcześniej spał; jego namiot został trafiony pociskiem burzącym, a ludzie rozszarpani na strzępy, tak że nie sposób ich było rozpoznać. Zdarzenie to stało się dla Birda tak głębokim przeżyciem, że swoje wojenne wspomnienia zatytułował *Ciepłe dłonie*.

„To, co nadprzyrodzone i niesamowite wydawało się naturalne i wytłumaczalne tam, gdzie ludzie ginęli masowo”, pisze historyk wojskowy Tim Cook. Żołnierze nie lekceważyli swoich przeżyć, nie przypisywali ich zmęczeniu spowodowanemu brakiem snu czy szaleństwu, ponieważ często były one związane z realnym uzyskaniem pomocy lub ratunku. Żołnierz George Maxwell[2] przykładowo napisał o tym, jak w bezgwiezdną noc oddzielił się od grupy na ziemi niczyjej. Był zagubiony i nie potrafił rozpoznać zarysów linii wroga. Przerażony miał już rzucić się do ucieczki w jakimkolwiek kierunku jak rozjuszony koń, kiedy jakiś nieznany głos rozkazał mu: „Usiądź i czekaj na wybawienie”. Totalnie zaskoczony, podporządkował się autorytetowi niewidzialnego mówcy. Przyklęknął w leju po bombie, gdzie znalazł go jeden z kolegów i odprowadził w bezpieczne

miejsce.

Odczuwanie czyjejs obecności zdarzało się również w warunkach ekstremalnych, z jakimi mieli do czynienia Europejczycy i Amerykanie dokonujący odkryć na przełomie XIX i XX wieku – zwłaszcza w Arktyce i na Antarktydzie. „Kim jest ten trzeci[3], który zawsze idzie obok ciebie? – napisał poeta T.S. Eliot w 1922 roku. – Gdy liczę nas, jesteśmy tylko ty i ja, / Lecz gdy spoglądam przed siebie w biel drogi, / Zawsze ktoś jeszcze idzie obok ciebie”^[2]. Ten fragment z *Ziemi jałowej* Eliota nawiązuje do niezwykłego doświadczenia sir Ernesta Shackletona[4], który w 1916 roku odbył rozpaczliwą, wycieńczającą wędrówkę przez góry Antarktydy. Kiedy ich statek utknął w lodzie, a zapasy żywności były na wyczerpaniu, ruszył wraz z dwoma członkami swojej załogi na poszukiwanie pomocy, zostawiwszy resztę ekipy w prowizorycznym obozie, aby tam czekali na ratunek. Trzej mężczyźni pokonali czterdzieści kilometrów, ślaniając się na nogach. W każdym momencie tej mozolnej przeprawy wszyscy trzej wędrowcy wyczuwali tajemniczą obecność enigmatycznego kompana prowadzącego ich do celu. Ta postać[5] – u Eliota był to „ten trzeci”, choć w rzeczywistości powinien być czwartym – doprowadziła ich bezpiecznie do stacji wielorybniczej, po czym odeszła. Żaden z podróżników podczas wędrówki nie przyznawał się do własnych wizji, każdy bowiem sądził, że tylko on wyczuwa obecność wyjątkowego towarzysza. Potem, kiedy pytano o to Shackletona, nie chciał nic powiedzieć, obawiając się, że to wzniosłe przeżycie stanie się przedmiotem ogólnych drwin: „Żaden z nas nie zamierza o tym opowiadać – oświadczył. – Są sprawy, o których nie należy mówić. Nawet wzmianka o nich niebezpiecznie zbliża się do świętokradztwa”.

Z podobną powściągliwością zachowywali się i zachowują liczni eksploratorzy, marynarze, nurkowie i wspinacze, którym, jak się okazuje, w sytuacjach kryzysowych i w niebezpieczeństwie również zdarzało się i zdarza napotkać „tego trzeciego”. Czasami widzą go wyraźnie, czasami słyszą tylko jego głos, a bywa i tak, że jedynie czują czyjeś duchowe wsparcie i wskazywanie bezpiecznej drogi do celu.

Wczesne próby wyjaśnienia tego w sposób naukowy koncentrowano na miejscu zdarzenia. Tłumaczono na przykład, że żołnierze walczący w pierwszej wojnie światowej cierpieli na niedostatek snu i stąd ich zwidy.

Co do wspinaczy uważano, że to wpływ wysokości (brak tlenu) i stres związany z wyziębieniem. Ofiary katastrof morskich, którym nie brakowało powietrza, miały halucynacje, jak podejrzewano, z powodu udaru słonecznego i odwodnienia. Złudzenia polarników występowały wskutek monotonii krajobrazu (świata bieli), tak samo jak podczas deprywacji sensorycznej, gdy badanego prawie pozbawia się bodźców zewnętrznych, umieszczając go w świecie bieli, „w którym mózg – zauważa neurolog Dennis Chan – próbuje stworzyć wizję osoby na bazie cząstkowych bodźców zmysłowych”. (Rzeczywiście, co wykazały eksperymenty ganzfeld dotyczące badań nad telepatią, deprywacja sensoryczna może prowadzić do otwierania się na nieuchwytnie informacje i bodźce).

A tymczasem ludzie przemierzający bogate w różnego rodzaju bodźce dżungle i lasy również spotykali „tego trzeciego”. Kiedy Henry Stoker[6] (kuzyn Brama Stokera) i dwaj inni brytyjscy marynarze uciekli razem z tureckiego więzienia w czasie pierwszej wojny światowej, włóczyli się przez wiele dni, przedzierając się przez puszcze. Przez cały ten czas, aż do chwili kiedy znaleźli ratunek, „ten trzeci” dotrzymywał im towarzystwa: „Wszyscy trzej byliśmy świadomi jego obecności w najstraszniejszych godzinach nocy; wszyscy trzej zgodziliśmy się, że odszedł od nas dopiero, kiedy niebezpieczeństwo minęło. Nie potrafię wyrazić – napisał Stoker – jak rzeczywista była jego obecność i jak bardzo cieszyliśmy się – mimo całej tajemniczości tej sytuacji – że był z nami”.

Trzy osoby ocalałe z zamachu na World Trade Center[7] 11 września 2001 roku utrzymywały, że w bezpieczne miejsce doprowadził ich ktoś, kogo jedynie wyczuwali. Jeden z mężczyzn został przepchnięty przez ścianę ognia – której, gdyby nie ta tajemnicza obecność, za wszelką cenę starałby się uniknąć, jako że panicznie bał się płomieni – a potem sprowadzony schodami na sam dół północnej wieży; drugiemu coś dodawało otuchy, kiedy leżał pod gruzami; trzeciej osobie, kobiecie uwięzionej pod kłocem betonu, złożyła pokrzepiającą wizytę postać, którą z jakiegoś powodu uznała za „mnicha”.

Dwoje wspinaczy, Lou i Ingrid Whittaker[8], miało w pewnym sensie wspólne halucynacje wzrokowe; widzieli Tybetankę w średnim wieku, która zamieszkała razem z nimi w czasie wyprawy na Kanczendzongę. Kiedy Lou Whittaker w 1989 roku był kierownikiem amerykańskiej ekspedycji,

wyczuwał w bazie obecność kobiety, „przyjaznego ducha”. Dotrzymywała mu towarzystwa każdego wieczoru przez trzy miesiące. Tymczasem żona Whittakera, Ingrid, prowadząc do bazy własną grupę trekkingową, zapadła na chorobę wysokościową. Przez kilka dni leżała później w namiocie męża, gdzie w czasie dnia obsługiwała ją tybetańska kobieta. „Miała na sobie chustę i długą sukienkę. Była niewyraźna i dwuwymiarowa, jak płaska sylwetka”. To było „bardzo pocieszające”. Ale wtedy nie rozmawiali ze sobą o tej Tybetance, choć oboje wyczuwali jej obecność, o tej wizji napomknęli dopiero po kilku miesiącach.

W ciągu ostatniego dziesięciolecia szwajcarscy neurobiolodzy próbowali w swoich laboratoriach zreplikować „wyczuwaną obecność” za pomocą elektrod, które stymulowały obszar lewej półkuli mózgu, gdzie łączą się płaty skroniowy i ciemieniowy. Główny badacz Olaf Blanke[9] z Instytutu Maxa Plancka w Lozannie wskazał na ten obszar mózgu, ponieważ tam właśnie „odbywa się scalanie odczuć zmysłowych w spójny obraz”. Według Blankego każda dysfunkcja tego obszaru spowodowana na przykład „zakłóceniem dopływu tlenu” może być przyczyną dezorientacji dotkniętej nią osoby co do siebie, innych ludzi, a także miejsca przebywania.

Badania Blankego są pionierskie, torują nowe drogi, ale nie ma dotychczas żadnego dowodu, że u osób napotyających „trzeciego człowieka” dochodzi do zakłócenia normalnego funkcjonowania tej części mózgu. Jest to możliwe – z przyczyn jeszcze nieznanych – ale żadnemu naukowcowi jak dotąd nie udało się przebadać w laboratorium wspinaczy czy zaginionych żołnierzy, i przetestować na nich teorii, zgodnie z którą to właśnie zaburzenia[10] tego obszaru mózgu, gdzie łączą się płaty skroniowy i ciemieniowy, wywołują w realnym autentycznym świecie takie niezwykle doznania. „Istnieje całe mnóstwo wyjaśnień zjawiska wyczuwania czyjejś obecności, co jest paradoksalne, wzięwszy pod uwagę, jak niewiele przeprowadzono systematycznych badań nad tym zagadnieniem – zauważa psycholog kliniczny Peter Suedfeld, czołowy ekspert w dziedzinie zdolności kognitywnych człowieka w warunkach ekstremalnych. – Ale – ostrzega – nie jest jasne, czym hipotezy te tłumaczą wielokrotne pojawianie się i/lub długotrwałą obecność kogoś, kto wyciąga do nas pomocną dłoń”.

A „trzeci człowiek” jest bez wątpienia pomocny.

Dziennikarz John Geiger, autor fascynującego opracowania zatytułowanego *The Third Man Factor* (*Ten trzeci*, Warszawa 2009), w którym przedstawia relacje dotyczące napotkania „trzeciego”, prawdopodobnie jako pierwszy spenetrował tę niezbadaną sferę ludzkich doświadczeń i dowiódł, że syndrom „trzeciego człowieka” jest nadzwyczaj szeroko rozpowszechniony, występuje w różnych sceneriach i w różnych sytuacjach. Geiger po raz pierwszy zauważył to zjawisko, opisując historie ekspedycji polarnych. Kiedy spojrzął szerzej na całe zagadnienie, znalazł dziesiątki odniesień – we wspomnieniach, pamiętnikach, listach i wywiadach z eksploratorami i poszukiwaczami przygód. Żaden z nich nie zdawał sobie sprawy, jak wielu ludzi doświadczyło tego samego co on, a to tłumaczy, dlaczego teoretycy zachowywali się jak mężczyźni z przypowieści o ślepcach i słoniu, przypisując to, czego nie rozumieli, a to niedoborowi tlenu, a to udarowi słonecznemu. Książkę Geigera *The Third Man Factor* powinien przeczytać każdy, kto chce głębiej zastanowić się nad tym tematem.

Kolejną książką opisującą szeroki zakres tajemniczych, transcendentnych doświadczeń osób uprawiających sporty ekstremalne jest pozycja zatytułowana *Explorers of the Infinite* autorstwa dziennikarki Marii Coffey. Coffey – równie jak Geiger zaskoczona tym, co odkryła – natknęła się na bardzo wielu realistów i pragmatyków, którzy także miewali prorocze sny o przyszłych zmaganiach oraz telepatyczny kontakt z partnerami wzywającymi pomocy, którym drogę wskazywali wyczuwani, niewidzialni towarzysze. Autorka zastanawia się, czy jest to wspólne doświadczenie dla tej właśnie grupy ludzi, którzy jako ekstremalni sportowcy wkraczają na poziom intensywnego skupienia i wzmożonej świadomości umożliwiając im być może dostrojenie się do obszarów percepcji, z jakich normalnie w ogóle nie zdajemy sobie sprawy. (Neurobiolog taki jak Olaf Blanke oczywiście odwraca sytuację – zakłada, że ludzie ci nie tyle zwiększają swą zdolność dostrajania się, ile szkodzą samym sobie, wpadając w stany halucynacyjne i dając się zadręczać snom wywołanym gorączką).

Powstaje pytanie, co to takiego jest ta „wyczuwana obecność”. Na czym polega natura tego doświadczenia bez względu na to, czy przeżywa się je w górach, na ziemi niczyjej, pod gruzami domów zniszczonych przez trzęsienie ziemi lub zawalonych wież czy też w ciemnej, spokojnej sypialni mojej siostry Katharine? Nie jest to wywołujące gęsią skórę uczucie, że ktoś

się w nas wpatruje, ani nagły strach na widok gry światła i cienia. Nie jest to błahostka, taka jak przekonanie, że ktoś tam jest, kiedy szept do nas wiatr poruszający płomień świecy. Nie ma w tym doświadczeniu nic *spekulatywnego*. Ci, którzy napotkali na swej drodze „trzeciego”, opisują to jako nagłe, żywe i bezdyskusyjne przeświadczenie, że ktoś z nimi jest, czasami przez wiele godzin, a nawet dni.

Ta „obecność” nie jest też obojętna dla osób, którym się objawia. Istoty wyczuwane to *pokrewne dusze*: są z ludźmi, którzy je wyczuwają w jakimś celu, udzielają im wsparcia, co psycholog Peter Suedfeld, jeden z nielicznych ekspertów w temacie wyczuwania obecności „tego trzeciego” w warunkach ekstremalnych, uważa za najtrudniejsze do wyjaśnienia.

Czasami ten wyczuwany ktoś jest tylko cichym, znajdującym się w pobliżu przyjacielem; Geiger opowiada o przypadkach, kiedy wspinacz częstował „tego trzeciego” przekąską, zanim zorientował się, że nikogo obok nie ma; albo zdążył podzielić obiad na dwie porcje. Zdarza się, że ludzie zatrzymują się na szlaku i czekają, aż ich dogoni ktoś, kogo czują za sobą i dopiero po chwili zdają sobie z przerażeniem sprawę, że fizycznie nikogo tam nie ma. Są też sytuacje, gdy ten niewidzialny towarzysz aktywnie pomaga wyjść z niebezpieczeństwa. Kiedy w 1983 roku dwudziestoletniego amerykańskiego wspinacza Jamesa Savigny’ego[11] przysypała lawina w Parku Narodowym Banff, odniósł on takie obrażenia, że prawie nie mógł się poruszyć. Miał złamany kręgosłup, ręce, nos i kilka żeber. Nastąpił też wewnętrzny krwotok. Na godzinę stracił przytomność. Potem próbował wstać, ale nie dał rady. Był pewien, że to koniec. Zszokowany i w hipotermii już prawie się poddał, kiedy wyczuł obok siebie czyjąś obecność. „To było coś, czego nie widziałem, ale było fizycznie obecne”, powiedział Geigerowi.

Ta „obecność” zmusiła Savigny’ego, żeby wstał i ruszył z miejsca, a potem popychała go przez półtora kilometra, centymetr po centymetrze, przez głęboko zlodowaciały śnieg, aż do obozu. „Wszystkie decyzje, które trzeba było podjąć – powiedział – były podejmowane przez tego kogoś. Ja tylko wykonywałem instrukcje”. Kiedy dotarł do namiotu, jego nieustępliwy towarzysz znikł. Kilka chwil później Savigny’ego znaleźli narciarze biegowi i wreszcie zabrał go stamtąd helikopter.

Joshua Slocum[12], który jako pierwszy samotnie opłynął ziemię, opowiada

o tym, jak podczas szalejącego sztormu ktoś przejął od niego ster. Slocum czymś się zatrzał i był tak słaby, że nie mógł utrzymać koła. Ku jego zaskoczeniu nagle pojawił się wysoki mężczyzna i oznajmił, że zajmie się sterem, póki Joshua nie wróci do zdrowia. Slocum cały czas miał wrażenie, że ten człowiek to „przyjaciel i żeglarz z wielkim doświadczeniem”. Trzymał łódź na kursie przez 145 kilometrów do momentu, aż Slocum był w stanie przejąć swoje obowiązki, po czym zdematerializował się. Kilku innych marynarzy było świadkami podobnego, zadziwiającego obrotu sprawy w momentach niebezpieczeństwa, kiedy, gdy zawodziły ich własne siły, ktoś im pomógł. To samo dotyczy lotników. Edith Stearns[13], pilotka aktywna w tym samym czasie co bardziej znana Amelia Earhart, wręcz czekała na pojawienie się „tego trzeciego”, latając w latach trzydziestych i czterdziestych XX wieku na targanych wstrząsami samolotach, tak jakby wyczarowywała wyimaginowanego przyjaciela. „Nigdy nie latam sama – powiedziała dziennikarzowi magazynu »Life«. – Zawsze siedzi obok mnie »ktoś«, mój drugi pilot, tak właśnie zaczęłam go nazywać”. Pewnego razu, kiedy Stearns nieświadoma, że kilka kilometrów dalej znajduje się lotnisko z bezpiecznym pasem startowym, zaczęła podchodzić do lądowania awaryjnego na torach kolejowych, ta tajemnicza „obecność” wręcz ją ostrzegła, krzyżąc: „Nie! Nie, Edie, nie rób tego!”.

Te wyczuwane istoty często podpowiadają też, co należy zrobić. Pilotowi Brianowi Shoemakerowi[14], który w helikopterze H-34 podczas antarktycznej burzy stracił kompletnie orientację, towarzyszyła obecność kogoś, kto powiedział mu, żeby „skręcił o 20 stopni w prawo”. Usłuchał, ponieważ, jak przyznaje, „nie było niczego innego, na czym mógłbym się oprzeć”. To skorygowanie kierunku pozwoliło mu bezpiecznie wyjść z tarapatów.

Tajemnicza „obecność” najwyraźniej znika w momencie, kiedy niebezpieczeństwo mija, chociaż w tym momencie nie jest to jeszcze oczywiste dla osoby, której dotyczy; jest to jedna z najbardziej frapujących tajemnic dłużej utrzymujących się halucynacji. Oto, co napisał uratowany rozbitek Ensio Tiira[15], który spędził 30 dni na tratwie unoszonej przez fale. „Całkowicie straciłem poczucie, że na tratwie jest ze mną druga osoba. Anioł stróż, który dotrzymywał mi towarzystwa... opuścił ją, a wraz z nim odeszła cała moja nadzieja”. Ale dzień, kiedy anioł zniknął, okazał się de facto dniem

ocalenia.

Takie samo uczucie obecności wiernego towarzysza i nagłego jego zniknięcia przydarzyło się amerykańskiemu wspinaczowi Robowi Taylorowi[16], który w 1978 roku złamał nogę na Kilimandżaro i pozostał samotnie u podnóża góry, gdzie miał czekać na pomoc medyczną, po którą wyruszył jego partner. Taylor przewidywał, że spędzi noc, wspierając się o głaz, ale w rzeczywistości musiał przeżyć dużo dłuższą, ciężką próbę. Skończyła mu się woda, a do rany w kostce wdało się paskudne zakażenie. Trzeciego dnia uświadomił sobie, że na pobliskiej skale ktoś siedzi. Początkowo założył, że to członek ekipy ratunkowej, ale kiedy na liczne nawoływania, a potem wręcz krzyki nie doczekał się odpowiedzi, sfrustrowany zaczął rzucać w tę postać kamieniami, na nic się to wszakże zdało. W żaden sposób nie potrafił tego wszystkiego pojąć. Doszedł wreszcie do wniosku, że ten mężczyzna jest tam tylko po to, żeby dotrzymać mu towarzystwa.

„Mijają godziny, a ten życzliwy obserwator, jak go nazywam, wciąż przygląda mi się przez kurtynę śniegu”, napisał później. W miarę jak stan Taylora się pogarszał, postać bez słowa przybliżyła się do niego, aż po kilku dniach znalazła się „dokładnie w nogach mojego śpiwora”. A potem ten dobrotliwy i dodający otuchy „ktoś”, który, jak mówi Rob, „zajmował absolutnie konkretne miejsce, jak kamień czy coś w tym rodzaju”, nagle go opuścił. Kilka minut później przybyła ekipa ratunkowa.

Dla Taylora, tak jak dla Shackletona i wielu innych, którzy doświadczyli tej opiekuńczej „obecności” podczas niebezpieczeństwa, niefrasobliwe lekceważenie tego doznania przez środowisko okazało się bardzo bolesne. „Niezbym często opowiadam dziś o swym życzliwym obserwatorze – mówi Taylor. – On nie pasuje do otoczenia, jest błędnie rozumiany. Kiedy już mnie odratowano i kiedy po raz pierwszy komuś o nim powiedziałem, reakcja była dość przewidywalna: »Co za wyobraźnia!«, »Miałeś halucynacje z powodu gorączki«. Najpierw upierałem się przy swoim zdaniu: »On był prawdziwy. Miał ciało, a w każdym razie jakąś konkretną formę, którą widziałem«. Potem przestałem o nim wspominać, zostawiłem go w spokoju. To było łatwiejsze, niż próbować nazwać go albo bronić przed ludźmi, którzy nie mieli szans, by to zrozumieć. Teraz wiem swoje i mogę powiedzieć: »Był tam, tak samo prawdziwy jak wy czy ja. Do dziś nie wiem, co było jego

celem, ale czuję, że chciał dobrze».

Taylor nawołuje do respektowania potęgi tego zjawiska – znanego najlepiej i zaobserwowanego na żywo przez ludzi, którzy się z nim rzeczywiście zetknęli. Przywodzi mi to na myśl wiersz amerykańskiej poetki Mary Oliver o wizjach umierającego Williama Blake’a[17]. *Kiedy człowiek mówi, że słyszy śpiew aniołów / to go słyszy*. To oczywiste, że subiektywnej percepcji nie można zmierzyć obiektywnie. W studiach nad świadomością subiektywna percepcja bywa czasami określana terminem qualia[18]. „W procesie powstawania qualiów zachodzi coś, co jest dla nas niepojęte – napisał neurolog Oliver Sacks; jest to – transformacja obiektywnych wyliczeń mózgowych w subiektywne przeżycie”. Co to właściwie jest czerwień? Jak to się dzieje, że kolor czerwony obdarzamy innym uczuciem niż żółty? Co takiego cudownego i znaczącego jest w czerwonej róży? Co sprawia, że zapach jaśminu jest tak zachwycający? Na czym polega piękno ośnieżonego pola? Dlaczego podziwiamy zachód słońca? Dlaczego „trzeci człowiek” tak bardzo podnosi nas na duchu? Dlaczego jest tak prawdziwy? *Nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć obiektywnie na te pytania*.

„Między aktywacją mózgu[19] a świadomym przeżyciem istnieje fundamentalna luka eksplanacyjna”, twierdzi Alex Morelos z Center for Cognition, ośrodka badań kognitywnych Uniwersytetu Wirginii. Jest to fakt powszechnie znany wśród naukowców badających świadomość. Większość uczonych szanuje tę lukę, ale ci niecierpliwi, którzy nie mogą się już doczekać, kiedy uda im się przekroczyć przepaść, angażują się w „materializm promisyjny”[20], jak nazywają to ich krytycy, tacy jak Morelos. Chodzi mianowicie o przyjmowanie na wiarę, że wszystko, czego doświadczamy, jest generowane przez mózg. Wyznawcy tego poglądu uważają, że prędzej czy później mózg ujawni swoje sekrety. Możemy nie rozumieć, dlaczego wyświetla nam on obraz pocieszyciela, kierującej naszymi krokami „obecności”, „trzeciego człowieka”, ale możemy założyć, że mózg robi to z jakiegoś powodu. „Ale to tylko nadzieja – przekonuje Morelos – to nie jest fakt stwierdzony naukowo”.

Co ciekawe, problem z nadzieją leży częściowo w tym, że jest w tej koncepcji coś z fantastyki. Psycholog Julio Peres[21] zapytuje: „Jakiego typu empirycznych dowodów potrzebowalibyśmy, aby wykazać, że »mózg

wierzy« albo że »mózg interpretuje«? To zaczarowane metafory. Jaki sens ma przypisywanie cech psychicznych organicznej części mózgu? To, w co obecnie angażują się materialści, to animizm. To powrót do metafizyki, dziedziny znacznie mniej krytycznej i bardziej naiwnej niż teoria, którą mieli nadzieję obalić. Niczego nie tłumaczymy. Nie wykroczyliśmy poza założenie, że wszystko wyjaśni nam mózg”.

Dla neurobiologów coraz częściej podejściem rozsądnym jest nie dociekanie źródeł qualiów, lecz poszukiwanie neuronalnych korelatów świadomości. Odnosi się to do tych części mózgu, które włączają albo może „zapalają się” w związku z pewnymi rodzajami działań. Te obszary mózgu korelują z określonymi działaniami. Kiedy na przykład słuchamy muzyki, włączają się konkretne neurony; nie wynika z tego, że muzyka jest jedynie halucynacją umysłu. Badanie korelatów neuronalnych przypomina poszukiwanie w telewizorze kanału, który nadaje „Grę o tron”, zamiast szukania samego serialu, jego autorów i powieści, na motywach której został wyprodukowany, co opiera się na założeniu, że wszystko to rezyduje we wnętrzu naszego płaskoekranowego odbiornika.

Oto, co napisał Sacks: „Filozofowie nieustannie debatuje nad tym, w jaki sposób zachodzą te transformacje[22] (wyliczeń w qualia) i czy kiedykolwiek będziemy w stanie je zrozumieć. Neurobiolodzy, ogólnie rzecz biorąc, zadowolają się obecnie przyjęciem do wiadomości, że faktycznie zachodzą” i szukaniem korelatów. Dla przykładu: neurofizjolog Richard J. Davidson z Uniwersytetu Wisconsin-Madison od kilku lat bada, w bliskiej współpracy z dalajlamą, fale mózgowe medytujących mnichów[23], nie ośmielając się podważać buddyjskiego poglądu, że świadomość powstaje nie w samym mózgu, lecz, jak to nazywają buddyści, u „podstawy bytu”.

Podejmowane są próby badania korelatów neuronalnych halucynacji patologicznych występujących na przykład w schizofrenii czy demencji, ale wokół przyczyn halucynacji w chwilach niebezpieczeństwa i smutku oraz dotyczących ich korelacji zalega na ogół powściągliwa cisza. Co na przykład może prowadzić do tego, że zdrowy, prawidłowo funkcjonujący mózg około połowy populacji pogrążonej w żalu nagle widzi i słyszy coś, czego fizycznie nie ma? Czy coś o tym wiemy? Okazuje się, że nie. A w każdym razie jeszcze nie dziś. Jak zauważa neurobiolog Patricia Boks: „Nie wiadomo

obecnie, czy halucynacje uruchamiane są przez takie same mechanizmy u ludzi chorych i zdrowych”. Jak na razie tych drugich żaden z neurobiologów nie poddał badaniom. Szukając w katalogach bibliotecznych hasła „halucynacje w żałobie”, znajdziemy na ten temat może trzy wzmianki.

Zadziwiające jest to, że, jak się okazuje, nie wiemy również, jaki mechanizm uruchamia halucynacje u chorych umysłowo. „Neuroobrazowanie potwierdza przewidywania, że halucynacje wiążą się ze zmianą aktywności w obwodach neuronalnych, które, jak już wiadomo, są zaangażowane w prawidłowe funkcjonowanie słuchu i mowy”, pisze Boksa. Innymi słowy można wykazać, że w przeciwieństwie do wzrokowych halucynacje słuchowe *fizycznie wiążą się ze słuchem*. „Jednak na podstawowe pytanie, a mianowicie z czego wynika ta zmiana aktywności, nadal nie znaleziono odpowiedzi”. Na obecnym etapie mapowanie mózgu jest wciąż bardzo niedoskonałe. Pozostaje on równie tajemniczy jak głębie oceanu czy niewysłowiony bezmiar ciemnej materii.

Twierdzenie, że halucynacje[24] w zdrowym mózgu są powodowane tym czy owym, przypomina uzupełnianie luk na mapie przez średniowiecznych kartografów, którzy niezbadane zakątki świata opatrywali atramentowym podpisem: „Tu mieszkają smoki”. Jak twierdzi Boksa: „Ogólnie rzecz biorąc, kłopotliwe wyzwania tkwiące w istocie studiów nad złożonym procesem mentalnym, jakim jest halucynowanie, znajdują odbicie w literaturze. W badaniach z udziałem ludzi wykazuje się tylko, że procesy neuronalne są skorelowane z halucynacjami, nie że je definitywnie wywołują”.

A zatem to, o czym w tej chwili mówimy, to tylko przypuszczenia. „W jakimś momencie tu, w tym kwadrancie kuli, znajdziemy smoki”.

W 2012 roku brytyjska NHS[25] (publiczna służba zdrowia) przydzieliła King’s College London fundusze na zorganizowanie wspólnych badań z udziałem ekspertów w dziedzinie psychiatrii, neurologii i okulistyki w celu „lepszego zrozumienia, co wywołuje” halucynacje wizualne. Jest to otwarte przyznanie się ostrożnych i bezstronnych naukowców do tego, że zdają sobie sprawę z bieżących ograniczeń nauki o mózgu. Nie wiedzą, na czym polega natura skomplikowanych halucynacji słuchowych i wzrokowych. Potrafią odwzorować to i owo, ale pragnęliby jak najszybciej ujrzeć pełen obraz. Jednak dopóki go nie ujrzą, nazywanie wyczuwanej obecności halucynacją

jest podobne – w swoim braku oparcia się na czymkolwiek innym niż przypuszczenia – do przedstawiania tejże „obecności” jako anioła stróża czy towarzysza ukazującego się umierającym na łożu śmierci, aby odprowadzić ich na tamten świat. Tak po prostu nie jest. Jak powiedział fizyk Harold Puthoff[26], przeszkadza nam nie to, co wiemy, lecz to, w co wierzymy.

Roztrząsam ten temat w imieniu Roba Taylora i wszystkich tych, których historie tu opowiadam, ale najlepiej ujęła to Martha Farah z Uniwersytetu Pensylwanii, dyrektor Center for Neuroscience and Society: „Powinniśmy wykształcić w sobie pewną epistemologiczną skromność[27] – ostrzegła swych kolegów w wykładzie w 2009 roku – i nie zakładać, że potrafimy wyjaśnić wszystko co ważne – a nawet to, co wydaje się ważne – za pomocą chemii, biologii i fizyki. I oczywiście nie powinniśmy wysnuwać wniosku, że to, czego nie umiemy w ten sposób wyjaśnić, nie ma znaczenia”.

*

Ludzie, którzy spotykają „trzeciego człowieka”, czerpią siłę z tajemnicy i znajdują w niej oparcie, mają poczucie, że ktoś się nimi opiekuje, ktoś nad nimi czuwa. Nie różni się to zbyt od wyczuwania obecności zmarłych. Te dwa zjawiska w rzeczy samej czasami zachodzą na siebie, jak w historii Williama Birda z pierwszej wojny światowej, co sugeruje, że zaliczanie ich do różnych kategorii jest powierzchowne, nawet jeżeli jedno doświadczenie jest naukowo przypisywane, powiedzmy, niedotlenieniu, a drugie samotności i smutkowi. Kiedy w 2000 roku amerykańska poszukiwaczka przygód Ann Bankroft[28] dokonywała pierwszego w historii przejścia przez kobiety w poprzek Antarktydy, słabnąc i pozostając w tyle za swą towarzyszką podróży, doświadczyła „nagłej bliskości innej osoby” – jak sobie uświadomiła, była to jej zmarła babka; nie ta, z którą w życiu była w bliskim kontakcie, nie ta, której mogłaby się spodziewać, o ile w ogóle spodziewała się czegokolwiek poza rytmicznym skrzypieniem własnych butów na śniegu. Niemniej jednak spotkanie to natychmiast „tchnęło w nią pociechę, ciepło

i siłę”. Później we wspomnieniach ze swej historycznej ekspedycji Bankroft napisała: „Zaskoczyło mnie to, ponieważ zalała mnie wówczas fala emocji, ponieważ było to tak silne; to było dobre lekarstwo, to było to, czego potrzebowałam”.

Astronauta Jerry Linenger[29] w 1997 roku pracował w stacji kosmicznej Mir, kiedy uświadomił sobie obecność ojca, który zmarł w 1990 roku. Linenger porozmawiał z nim i poczuł się podniesiony na duchu i wzruszony tymi „odwiedzunami”. Ojciec wyraził dumę z syna, z tego, że zrealizował marzenie o podróży w kosmos. W późniejszym okresie Linenger postanowił interpretować obecność ojca jako projekcję wyobraźni, nic więcej. Ale w czasie, kiedy jej doświadczył, przyniosła mu ukojenie.

*

W literaturze dotyczącej śmierci i żałoby wyczuwanie obecności[30] kogoś zmarłego zostało zdefiniowane jako „dostrzeganie wyraźnie widocznej postaci o ludzkim kształcie, kogoś, kto w danym momencie nie jest fizycznie obecny” albo jako „żywe odczuwanie czyjejś obecności, tak jakby ten ktoś dotykał którejś lub wszystkich części ciała lub na nie naciskał”. Wizualna percepcja takiej „obecności”[31] wydaje się rzadsza. W jednym z badań tylko 5 procent badanych utrzymywało, że rzeczywiście widziało zmarłego; odbiór słuchowy stanowi około 15 procent, reszta zaś to wrażenia cząstkowe, co na przykład przydarzyło się mojej siostrze, która czuła ręce spoczywające na tyle jej głowy i czyjaś wyraźną obecność w pokoju. Pisarka z Nowego Meksyku Nancy Coggeshall opowiedziała mi o tym, jak zaznała obecności zmarłego partnera Quentina Hulse’a pięć miesięcy po jego śmierci w 2002 roku.

– Poczułam obok siebie w łóżku nacisk na materac. Za drugim razem napór był tak wielki, że odwróciłam się, żeby zobaczyć, kto tam jest. Tak silny, że obudziłam się i zapytałam: „Kto to?”. Przeciągnęłam ręką po łóżku, tam

gdzie sypiał Quentin, żeby sprawdzić. To były drugie odwiedziny. Wrażenie jego obecności było bardzo silne. Czułam, że ktoś koło mnie leży. Czułam nacisk ciężaru na materac. I za pierwszym, i za drugim razem.

Tego rodzaju doznania występują w wielu różnych kulturach i dotyczą mniej więcej połowy osób pogrążonych w smutku po śmierci kogoś bliskiego. W badaniach[32] z 2006 roku stwierdzono, że ludzie najczęściej widzą ojca, na drugim miejscu jest matka, przy czym 21 procent tychże kontaktów ma miejsce w ciągu dwudziestu czterech godzin po śmierci. W 86 procentach przypadków wycucie obecności było powiązane z informacją o zgonie; 84 procent badanych w momencie spotkania cechowało dobre zdrowie psychiczne; 38 procent nie spodziewało się, że coś takiego w ogóle może się wydarzyć. Pora dnia i natężenie światła nie miały znaczenia. Tylko 5 procent badanych uznało spotkanie za negatywne lub przygnębiające przeżycie. Przeważającej części przyniosło ono głębokie ukojenie.

Przez większą część XX wieku modelowa terapia dla osób w żałobie polegała na nakłanianiu, żeby starały się zapomnieć, zamknąć sprawę i porzucić „neurotyczne” przywiązanie do zmarłej czy zmarłego. Właśnie w związku z takim podejściem, czyli w kontekście „zrywania więzi”, odczuwanie obecności zmarłych po raz pierwszy zostało opisane jako patologiczne halucynacje. W eseju z 1917 roku zatytułowanym *Żałoba i melancholia* Zygmunt Freud[33] określił powrót do normalnego stanu po stracie kogoś bliskiego jako udane przerwanie więzów. *Zniknij!, przepadnij!, mój ukochany, wyjdźcie po prawej!* Według Freuda ci, którzy wyczuwali obecność bliskich, „kurczowo trzymali się obiektu za pośrednictwem życzeniowej psychozy halucynacyjnej”. Te „obecności”, głos i dotyk, były jego zdaniem nie tylko nierealne, ale wręcz *niezdrowe*. Oznaką progresu w terapii było „zglobienie” przez pacjenta faktu, że wszystko to sobie wyobraża. Fascynujące w tej historii jest to, że Freud mógł teoretyzować do woli o halucynacjach[34], ponieważ wówczas nie istniała jeszcze neurobiologia, dzięki której można by przetestować jego hipotezę, że mózg jest zdolny wyczarowywać takie wizje na zawołanie. Teraz, kiedy ta dziedzina nauki jest już całkiem nieźle rozwinięta, wciąż nie sprawdzono zasadności koncepcji Freuda, natomiast *wykorzystujemy je* do uzasadniania współczesnych poglądów psychiatrycznych na temat smutku i żałoby.

Uderzające jest również to, że Freud pisał swój esej, podczas gdy tysiące młodych żołnierzy doświadczało na froncie przewodnictwa i pomocy owych „obecności”. Nawet wtedy, gdy ci chłopcy radzili sobie i przeżywali tylko dzięki tym, których uważali za bliskich zmarłych i swych aniołów stróżów, fotelowi analitycy z Europy wciąż potępiali i nie przyjmowali do wiadomości ich doświadczeń psychicznych[35]. (Nie tylko w ten sposób napiętnowano tych żołnierzy, równie mylnie były rozumiane ich depresje i nerwice pourazowe. Jakże straszny dysonans musieli odczuwać!).

A oto, czego o halucynacjach w żałobie i smutku dowiadują się studenci ze współczesnych podręczników – mając w tle autorytet Freuda, a jednocześnie nie znajdując oparcia w neurobiologii:

„Słyszenie lub widzenie bliskiego, niedawno zmarłego przyjaciela lub krewnego nie jest zaburzeniem psychicznym – tłumaczy się autor we wstępie do podręcznika psychiatrii, który niedawno przekartkowałam. (Co za ulga!). – Zazwyczaj te halucynacje stają się coraz rzadsze i ustają po kilku tygodniach czy miesiącach”. (Jak twierdzą specjaliści zajmujący się poradnictwem dla ludzi cierpiących po stracie, prawda jest taka, że halucynacje mogą trwać przez wiele lat albo pojawić się *po* wielu latach. W badaniach przeprowadzonych w San Francisco wśród żyjących partnerów ofiar AIDS[36], 22 procent respondentów wciąż odczuwało obecność lub widywało ukochaną osobę trzy, a nawet cztery lata po śmierci i większość z nich twierdziła, że czuje się w rezultacie tych doznań coraz bardziej uduchowiona). A oto ciąg dalszy podręcznikowego wykładu: „Podnoszą [halucynacje] na duchu i mają wpływ dobroczynny[37]. Być może ich rola polega na pomaganiu człowiekowi w pogodzeniu się ze stratą. Choć nie ma jednoznacznych dowodów na to, że osoby z ograniczonym wsparciem społecznym częściej doświadczają halucynacji w czasie żałoby niż ci, którzy na wsparcie społeczne liczyć mogą, taki wniosek wcale nie byłby zaskakujący”.

Stwierdzono również, że halucynacje miewają ludzie trzymiani w więziennych izolatkach[38]. Przypadkowe, często paranoiczne obrazy towarzyszą wzburzeniu, atakom paniki i ogólnie rzecz biorąc, dezintegracji psychicznej, stanom typowym dla wielodniowego przebywania w odosobnieniu. Ale nie to przytrafia się 50 procentom wdów i wdowców,

którzy rozpadają się psychicznie, nie siedzą samotnie w małych celach pozbawionych okien. Jeżeli to tylko tęsknota, zwykłe pobożne życzenia, to dlaczego nie widzimy w swych halucynacjach wieloletnich kochanków czy partnerów, którzy zostawiają nas ze złamanym sercem, ale nie umierają – po prostu odchodzą do kogoś innego? Dlaczego nie istnieją halucynacje powodowane żalem, rozgoryczeniem?

W 2008 roku dziennikarz Vaughan Bell[39] napisał artykuł o halucynacjach w żałobie dla „Scientific American”, zwracając szczególną uwagę na powszechność tego zjawiska. Zakończył następująco: „Często wpadamy w kulturową pułapkę, uznając wszystko za »duchy«, podczas gdy rzeczywistość jest pod wieloma względami znacznie mniej powierzchowna. Nasze postrzeganie jest dostosowane do obecności (naszych najbliższych) do tego stopnia, że kiedy ich przy nas nie ma i luka po nich pozostaje niezapełniona, podświadomie próbujemy formować świat po swojemu, tak żeby przypominał ten, w którym tak długo żyliśmy i za którym tak bardzo tęsknimy”.

Eleganckie ujęcie, ale de facto nie jest to *oparte na jakichkolwiek dowodach*. To istna płatanina przypuszczeń o tym, co powoduje co.

Badania nie wykazały, aby istniał jakikolwiek logiczny związek między osobami, które dostrzegają zmarłych a poziomem ich wykształcenia, poparcia społecznego czy wyznawaną religią. Oto relacja islandzkiego prawnika[40], z którym w 2006 roku rozmawiał psycholog Erlendur Haraldsson, pokazująca, że przyczyną tego, co widzimy, nie jest tęsknota za zmarłymi sama w sobie. „Wracałem do domu z tańców. Nie wypłem ani kropli alkoholu – snułem wspomnienia prawnik. – Było około czwartej nad ranem, zupełnie jasno, jako że był to środek lata. Szedłem z miasta do domu przez nagie wzgórza. Nagle widzę zbliżającą się do mnie kobietę, jakby przygarbioną, w chuście na głowie. Nie zwracam na nią zbyt wiele uwagi, ale kiedy mnie mija, mówię »dzień dobry« czy coś w tym rodzaju. Nie odpowiedziała. Potem zauważam, że zmieniła kierunek i idzie w pewnej odległości za mną. Zaniepokoiłem się nieco i wydało mi się to dziwne. Kiedy się zatrzymałem, ona również się zatrzymała. Zacząłem modlić się w myślach, żeby się uspokoić. Gdy byłem już blisko domu, zniknęła. Mieszkałem na terenie szpitala psychiatrycznego, gdzie pracował mój ojciec.

Wchodzę do swojego pokoju. Mój brat Agnar budzi się i mówi jeszcze w półśnie: »Co tu robi ta staruszka? Dlaczego jest tu z tobą ta staruszka?«. Kazałem mu przestać opowiadać bzdury i spać dalej, chociaż wiedziałem, o co mu chodzi”.

Rano ojciec przekazał im informację, że o trzeciej w nocy zmarła jedna z jego pacjentek. „To, co widziałem – powiedział Haraldssonowi prawnik, któremu dobrze znane było podważanie zeznań naocznych świadków – doskonale pasowało do jej opisu”.

Cokolwiek spowodowało zetknięcie się tego mężczyzny ze zmarłą pacjentką, nie była to poetyczna tęsknota ani kryzys związany z izolacją. Może podobnie jak w badaniach nad telepatią, należałoby wysunąć wniosek, że ekstrawertycy, których, jak wynika z testów osobowości, cechuje otwarcie na otoczenie, wyczulenie na niezwykle bodźce, mają większą szansę zobaczyć, usłyszeć lub wyczuć zmarłych.

*

W 1994 roku specjalistka od reklamy Karen Simons z Nowego Jorku nieoczekiwanie straciła ojca; zmarł na atak serca. Wypadki towarzyszące jego śmierci ponownie pokazują płynne nakładanie się różnych doznań, które teoretycy wciąż próbują szufladkować, oddzielać od siebie. Simons wspomniała o tym mimochodem, ale dopiero po paru latach udało mi się nakłonić ją do rozmowy o tych przeżyciach. Jest osobą bardzo zajęta. Wysoka kobieta o niezwykle zielonych oczach, siedziała w swym przestronnym biurze z łokciami opartymi na biurku, z zawieszonym na smyczy kluczem do firmy, ze stosami dokumentów i książek wkoło. Jej telefon komórkowy brzęczał niemal bez przerwy, informując o kolejnych SMS-ach. Nie zwracała na nie uwagi, starając się skoncentrować na wypadkach towarzyszących śmierci jej ojca. Był farmerem, niedawno skończył osiemdziesiąt lat i chociaż miał problemy z sercem, wciąż był

w świetnej formie i miał mnóstwo planów. Jesienią poleciał na zachodnie wybrzeże odwiedzić wnuki i właśnie tam jeden z wnuków miał sen.

– Miałem sen, w którym prosił mnie, żebym zabrał go do domu, powtarzał, że nie może umrzeć tu w Seattle, że musi wrócić na farmę. Pamiętam ten sen, byliśmy na świeżym powietrzu, wokół jak okiem sięgnąć ciągnęły się wzgórza, lasy i drogi, a on wyglądał bardzo słabo. Wciąż prosił, żebym go odwiózł, ale jakoś nie mogłem wykombinować, jak go tam dostarczyć. Zapytałem, jak mam to zrobić, a on zasugerował, żebym go zaniósł, ale nie byłem aż tak silny i powiedziałem mu to. Odparł, że naprawdę musi wracać i wtedy poczułem, że jeśli się mocno postaram, dam radę go tam zanieść. Tak więc podniosłem go i ruszyłem w drogę.

To piękny obrazek. Przypomina mi słowa, które pewien specjalista z zakresu opieki paliatywnej powiedział kiedyś o tym, czego boimy się najbardziej: „Kto nas poniesie, kiedy umrzemy?”. Kto będzie o nas pamiętał, kto będzie wiedział, że wciąż tu jesteśmy, kto obroni nas przed samotnością?

– Ojciec wrócił w sobotę – mówi Karen. – W niedzielę wieczorem uparł się, że przygotuje dla nas kolację. – Dla jej męża i synów. – Następnego dnia wybierał się na zjazd farmerów. Ostatni raz widziałam go wczesnym rankiem; pomachał mi, po czym rzutem znad głowy cisnął gazetę do kosza na śmieci. – Wykonała gest naśladujący ten ruch. – Tego wieczoru w drodze na bankiet zorganizowany z okazji zjazdu miał rozległy zawał serca i zmarł.

– Po śmierci ojca zaczęłam jeździć jego wielkim, starym fordem taurusem. Na swój sposób podnosiło mnie to na duchu, to coś takiego jak kurczowe trzymanie się czyichś starych koszul. Ale to było wszystko. Zmieniło się dopiero sześć tygodni po jego śmierci. – Przechyla głowę i spogląda w dal, marszcząc brwi i próbując przypomnieć sobie dokładnie kolejność wydarzeń. – Była bardzo zimna styczniowa noc. Jadę autostradą i nagle na siedzeniu pasażera pojawia się tata. Czulałam, jak się sadowi. Bardzo wyraźnie pochylał się w lewą stronę z powodu bólu kręgosłupa. A poza tym, no wie pani, jak to jest, kiedy rozpoznaje się odgłos czyjegoś oddechu, kiedy można się domyślić, czy w pokoju jest syn, czy córka? To był tata. Jechał ze mną od Kennedy Road do Pickering (ponad piętnaście kilometrów). To było niewiarygodnie rzeczywiste odczucie i całkowicie mnie odmieniło. Przyprawiało o zawrót głowy. Miałam nadzieję, że zostanie.

Nigdy więcej go nie wyczuła i doszła do wniosku, że było to pożegnanie. Przypomniała sobie rozmowę z przyjacielem buddystą, który tłumaczył jej, że według ich wierzeń dusza pozostaje z nami przez czterdzieści dziewięć dni, z grubsza sześć tygodni, i dopiero potem odchodzi z tego świata. To jednakowoż nie tłumaczy przeżyć jej ciotki, której syn zmarł trzydzieści pięć lat wcześniej.

– Był operatorem sprzętu ciężkiego i pewnego dnia przejeżdżał przez zamarzniętą rzekę. Nigdy nie odnaleziono ani jego, ani jego maszyny. Allan regularnie przychodzi do matki, siada w nogach jej łóżka i rozmawiają. „I nie waż mi się mówić, że zwariowałam!”, powtarza zawsze moja ciotka. – Simons spleta dłonie pod podbródkiem, patrzy na mnie, śmieje się. – Takie jest życie. W naszych rodzinach pełno jest duchów.

Co ciekawe, przodkowie Simons pochodzą z Norwegii i Szkocji. W badaniach nad przeżyciami związanymi z wyczuwaniem obecności zmarłych, jakie przeprowadzono wśród norweskich wdów i wdowców, stwierdzono, że przyznaje się do tego wyjątkowo wiele z nich, bo aż 75 procent. Pojawia się więc ponownie wielce interesująca możliwość, że dar, jakim jest szósty zmysł, może mieć podłoże genetyczne.

Badania reakcji na doznania „żałobne”[41] pokazują, co nie jest zaskakujące, że ludzie często czują się „nieakceptowani, nienormalni, niezrozumiani”, kiedy opowiadają o swych przeżyciach specjalistom, którzy nie poruszają się swobodnie w tematach natury duchowej. Australijski lekarz opieki paliatywnej Michael Barbato, wzruszony i zdziwiony niezwykle doświadczeniami[42] wielokrotnie przez niego obserwowanymi u pacjentów, napisał, że „większość wdów i wdowców opowiada o tym otwarciu dopiero, kiedy poinformuje się ich o powszechności i normalności halucynacji u osób pogrążonych w żałobie. Oddychają z ulgą, nareszcie nie muszą się obawiać, że zostaną uznani za obłąkanych”.

Dlaczego miano by nas uznać za szaleńców z powodu zetknięcia się z czymś tak pięknym? Oto relacja skandynawskiego pisarza Johana Kulda[43] o tym, czego doświadczył niedługo po śmierci żony. To opowieść, której z pewnością można mu tylko pozazdrościć.

„Pewnego styczniowego dnia około trzeciej po południu siedziałem na ławce

w swoim pokoju. Nagle zobaczyłem, że otwierają się drzwi i wchodzi moja żona. Uśmiechnęła się i podeszła wprost do mnie. Wpatrywałem się w nią jak zahipnotyzowany i nie byłem w stanie wydobyć z siebie ani słowa. Zbliżyła się, wyciągnęła rękę i powiedziała: »Nie bój się, ja żyję«. Ująłem jej dłoń i poczułem, że nie jest zimna, wydawała się normalna w dotyku. Wtedy ośmieliłem się zapytać: »Gdzie byłaś, co się stało?«.

Żona odpowiedziała: »Wkrótce potem jak umarłam w szpitalu, pozwolili mi zostać i opiekować się kobietą, która była bardzo chora. Od tamtej pory przebywałam w wielu miejscach. Teraz mój czas się skończył, odchodzę. Przyszłam się pożegnać«. A potem dodała: »Zdejmij buty i połóż się na łóżku. Połóż się obok ciebie«. Zrobiłem to, o co prosiła. Głaskała mnie po policzku i szeptała do ucha czułe słowa. Przepęłniła mnie radość. Potem zaznałem ogromnego spokoju, w sobie i wokół, czegoś, czego nie da się opisać słowami. Czułem, że wciąż trzyma mnie za rękę i głaszcze po policzku, aż wreszcie zasnąłem. Kiedy po kilku minutach się obudziłem, byłem sam. Miejsce na łóżku, gdzie leżała, świeciło pustką. Odeszła, ale ja wiedziałem, że tu była, że ze mną rozmawiała, że gładziła mnie po policzku. W ten sposób pożegnała się i podziękowała mi za czas spędzony razem.

To zdarzenie jest wciąż niezwykle żywe w mojej pamięci. Nie starzeje się, nie blednie z upływem lat, które minęły od tamtej chwili. Nieraz zadawałem sobie pytanie: »Czyżbym to wszystko wyśnił?«. Ale moją odpowiedzią jest definitywne »nie«. To była rzeczywistość, o ile istnieje coś takiego jak rzeczywistość, przeżycie niezwykle i jednocześnie niezapomniane”.

*

Historycznie rzecz ujmując, fakt, że duży odsetek populacji wyczuwa lub widzi zmarłych albo otrzymuje od nich wiadomości, nie dziwił niegdyś ludzi, przeżywających swoje życie z głębokim przeświadczeniem, że nieboszczycy w dalszym ciągu ich obserwują i pocieszają, kierują poczynaniami, a nawet

wtrącają się w ich sprawy. Od czasów Rzymu aż po dziewiętnastowieczną Islandię żyjący dzielili swe pastwiska i drogi z tymi, którzy zmarli wcześniej[44]. (Wciąż to robią otwarcie między innymi w niektórych częściach Indonezji, Tajlandii i Japonii, i potajemnie w naszym kraju). Każdy potencjalnie mógł ujrzeć zmarłego, a społeczności lokalne nie ustawały w wysiłkach, aby zapobiec błakaniu się duchów, a przynajmniej części z nich, lub gubieniu przez nie drogi do właściwego celu wędrówki w życiu po śmierci. Wierzono w zagrożenie, że pewne duchy będą nawiedzały żyjących z powodu tragicznego lub gwałtownego zgonu. Aby do tego nie dopuścić, w niektórych społeczeństwach ciała zmarłych były pozbawiane głowy przed pochówkiem[45] albo mocno przytwierdzone do ziemi. Samobójców i kryminalistów przygniatano głazami albo palono. Czasami wrzucano ich do bagna lub rzeki. Nie tylko Drakulę Brama Stokera trzeba było okaleczyć, zanim z wampira, istoty nieumarłej, zmienił się w niebudzącego wątpliwości nieboszczyka zmarłego śmiercią prawdziwą.

Jak odnotował francuski mediewista Claude Lecouteux: „Świat był nawiedzany przez zmarłych[46] przemienionych w duchy, które przeszły w inny stan, żyły innym życiem w permanentnym związku z ludźmi im »współczesnymi« i zawsze mogły albo przekazywać im informacje, albo przychylić się do ich władczych żądań. W średniowieczu ludzie nie bali się śmierci; bali się zmarłych – w każdym razie niektórych”.

Angielski historyk William z Newburgha[47] napisał w latach dziewięćdziesiątych XII wieku: „Nikt tak łatwo nie daje wiary temu, że trupy wychodzą z grobów i włóczą się po okolicy, ożywione przez jakieś złe duchy po to, żeby terroryzować lub krzywdzić żyjących, a przecież *było w naszych czasach wiele przypadków* popartych dostatecznymi dowodami”. Biorąc pod uwagę to, co wiemy dziś o powszechności halucynacji w żałobie i pojawianiu się „trzeciego człowieka”, nie można zarzucić naszym przodkom, że byli „nieoświeceni”. Widzieli to, co widzieli i nie różniło się to wcale od tego, co my widzimy.

W Europie Kościół nie czuł się komfortowo z rzeczywistością, jaką było realne odczuwanie obecności zmarłych, ponieważ nie współgrało to z doktryną chrześcijańską. „Pytanie dotyczące percepcji postawił Augustyn – pisze Lecouteux, nawiązując do wpływowego teologa z V wieku. – Czy

zjawy te są wytworem ludzi śpiących, sennych albo może majaczących w gorączce?”. Po zastanowieniu Augustyn[48] doszedł do wniosku, że te widziadła to iluzje lub wiadomości wprowadzane do ludzkiej psychiki przez Boga: „To dla śniących informacja o tym – na przykład – że zwłoki tych zmarłych trzeba pochować i to bez wiedzy byłych właścicieli tychże ciał”. Bóg uprawiający bruchomówstwo? Tysiąc pięćset lat później uczeni zainteresowani tymi tematami wciąż snują przypuszczenia, że może tu mieć miejsce kombinacja różnych czynników, takich jak duch, wyobraźnia, sen, sygnał źródłowy. Tajemnica wciąż pozostaje nieodkryta.

Chaz Ebert[49], prawniczka z Chicago, wdowa po krytyku filmowym Rogerze Ebercie, w noc, kiedy zmarł ojciec jej pierwszego męża, zbudziła się z niemal komiksową postacią Kostuchy przed oczami, tak jakby w reakcji na niewyraźny sygnał, jaki odbierała, trafiła do dziecięcego snu.

– Wiem, że to brzmi naprawdę głupio – powiedziała historykowi Studsowi Turkelowi. – Nigdy nie wierzyłam w Śmierć, uważałam to za jakiś mit... Coś obudziło mnie w środku nocy. Otworzyłam drzwi sypialni, a tam stała ta postać, ponad dwa metry wzrostu. Miała na sobie mnisi habit i wszystkie te inne rzeczy, zupełnie jak Kostucha. Spojrzałam jej w twarz, ale twarzy nie było – tylko ciemność. Tam, gdzie powinny znajdować się oczy, było coś w rodzaju świecących kulek. Przekazała mi wiadomość telepatycznie. Powiedziała: „Nie bój się, nie przyszłam po ciebie”. I dodała: „Podejdź do łóżka”. Patrzę na łóżko, na którym spał mój mąż, ale to już nie był mój mąż. Pojawiła się trumna, a w środku leżał mój teść. Trwało to kilka sekund, po czym wszystko zniknęło. Znowu zobaczyłam męża. Obudziłam go i powiedziałam mu, że była tu Śmierć i że chodziło o jego ojca. „Coś ci się przyśniło – rzekł. A ja odparłam: – Nie, nie śniło mi się. Nie śpię!”. Zasnęliśmy na nowo. Następnego dnia dzwoniemy, a oni mówią nam, że jego ojciec nie żyje. Zmarł dokładnie wtedy, kiedy Kostucha przyszła do mojego domu.

Czy Śmierć dosłownie przyszła do jej domu? Nie. Ale dotarła wiadomość.

Oto, co proponuje naukowiec Dean Radin: „Taka wizja jest konstrukcją zbudowaną ze wspomnień i wyobrażeń[50], czymś podobnym do snu na jawie, tyle że bodziec wywołujący ten obraz powstaje gdzie indziej albo kiedy indziej”. Być może, spekuluje psycholog Erlunder Haraldsson, „zmarły

nadaje kształt temu, co postrzega umysł osoby żyjącej”[51]. Była już o tym mowa: podobnie jak w przypadku budzika, którego dzwonek, wdzierając się w nasz sen, staje się telefonem lub dzwonem na wieży zegarowej, tak i tu dochodzi do natychmiastowego porozumienia się świata z umysłem.

Papież Grzegorz Wielki[52] (540–604) próbował rozwiązać kwestię zjaw, wkraczając na drogę, która ostatecznie przyczyniła się do ukształtowania idei czyśćca jako określonego miejsca między niebem a piekłem, gdzie niespokojne dusze czekają na to, co jest im przeznaczone. „Od tego czasu osobniki te były uważane za dusze uwięzione lub potępione. Wierzono, że wybrańcy ukazują się czasami, ale łatwo ich zidentyfikować, ponieważ wyróżniają się pięknnością i promienią szczęściem, tak więc duchowni nie mogli pomylić ich z grzesznikami cierpiącymi męki czyśćca”.

Wydaje się, że Kościół chrześcijański ostatecznie przekształcił upiory i duchy z przodków-przewodników czy zagubionych lub mściwych nieboszczyków w istoty pozostające w stanie duchowego zawieszenia, których przejście do nieba uzależnione było od modlitw zanoszonych do Boga przez żyjących. To przekształcenie umożliwiło Kościołowi przejście kontroli nad pogańskimi praktykami religijnymi przodków i skierowanie ich w stronę chrześcijaństwa. I tak mnisi z Cluny ustanowili 2 listopada Dniem Zadusznym, w pewnym sensie przywłaszczając pogańskie święto zmarłych. Jak na ironię to osiągnięcie spowodowało się do tego, że Kościół zdołał zawładnąć powszechnymi i silnymi przeżyciami, z których każde ma własny kontekst – „trzeci człowiek” w niebezpieczeństwie, zjawia na łożu śmierci czy ukochany zmarły obecny w naszym dalszym życiu – i zmienić je w związane z nim „dekoracje”, w które nikt nie wierzył. Innymi słowy, kiedy wiara w doktrynę kościelną zmalała w świecie zachodnim, zmniejszyła się również wiara w doznania w ogóle niepowiązane z jakąkolwiek określoną religią. Do takiego wypaczenia nigdy nie doszło w Azji, gdzie zmarli wciąż są szanowani i gdzie nawiązywanie z nimi kontaktu odbywa się bez ograniczeń.

*

Istnieje pewien rodzaj odczuwanej obecności, która ani nie jest nikomu pomocna, ani nie wiąże się z kimś kochanym, natomiast może totalnie wytrącić z równowagi. Warto zrobić tę dygresję i wkroczyć na nowe terytorium, ponieważ dzięki temu spróbujemy wyjaśnić, dlaczego ludzie w różnych okresach historii zadawali sobie tak wiele trudu, aby uciszyć kłopotliwych zmarłych. Chodzi o przerażające upiory, które atakują niektórych z nas; stany te w języku medycznym przyjęto nazywać paraliżem lub porażeniem przysennym[53].

Do czołowych ekspertów w tej dziedzinie należy David J. Hufford, emerytowany profesor wydziału medycznego Uniwersytetu Pensylwanii. Hufford odkrył to zjawisko w latach sześćdziesiątych XX wieku dzięki własnemu niespodziewanemu przeżyciu. „Byłem studentem drugiego roku college’u – opowiada. – Poszedłem wcześniej spać po egzaminie końcowym. Byłem bardzo zmęczony. Niedostatek snu zwiększa możliwość wystąpienia tego zjawiska. Obudziłem się, słysząc, że otwierają się drzwi do mojego pokoju i pomyślałem, że to pewnie ktoś, kto przyszedł spytać, czy nie poszedłbym na kolację. Usłyszałem odgłos kroków. I wtedy stwierdziłem, że nie jestem w stanie się poruszyć, wpadłem w przerażenie. Następnie wyczułem nacisk na łóżko, miałem wrażenie, że ktoś na nie wchodzi; a potem poczułem, jakby ktoś klęczał mi na piersiach, a za chwilę czyjeś ręce zacisnęły się na moim gardle. Myślałem, że już po mnie. To było straszne. To coś siedzące na piersiach napełniało mnie odrazą i przerażeniem, nie tylko dlatego, że próbowało mnie zabić, ale przede wszystkim czułem, że to jakaś zła moc. Szamotałem się, chcąc się obrócić i kiedy wreszcie się poruszyłem, zniknęło. Wyskoczyłem z łóżka, ale w pokoju niczego nie było. To bardzo typowy przykład paraliżu przysennego”.

Około 30 procent ludzi potwierdza, że zdarzyło im się obudzić sparaliżowanymi, natomiast wyczuwanie czyjejś obecności przytrafia się trzem, może sześciu procentom populacji, jak twierdzi psycholog J. Allan Cheyne z Uniwersytetu Waterloo. Zakładano początkowo, że przypadki paraliżu przysennego podkolorowuje się, chcąc wyjść naprzeciw oczekiwaniom kulturowym: jeżeli człowiek budzi się w tym dziwnym stanie, w połowie drogi między snem a jawą, spodziewając się odwiedzin czy to

wilkołaka, czy to czarownicy czy też innej istoty, typowej dla wierzeń w jego kulturze, to kogoś takiego spotka. Tymczasem udowodniono, że to nieprawda. Ludzie tacy jak Huffard, nieposiadający żadnej wcześniejszej wiedzy na temat tego zjawiska, doświadczyli go zniechęcająco. Kolejną osobą jest pisarka Barbara Gowdy.

– Zaczęło się to, kiedy miałam niewiele ponad dwadzieścia lat – powiedziała Gowdy, piękna, wysoka, szczupła kobieta o intensywnie brązowych oczach i ostrym jak brzytwa intelekcie. Wszystko, co niejasne, kwestionuje, każdą sprawę sprawdza pod światło i bada wszelkie jej aspekty. To przeżycie nie było wyjątkiem. – Zdarzało się to tylko wtedy, kiedy zapadałam w drzemkę i kiedy leżałam na plecach. Za pierwszym razem w pokoju zrobiło się bardzo zimno i ciemno. Słyszałam męża krzątającego się w kuchni i nagle uświadomiłam sobie obecność w sypialni jakiegoś ohydneho, niewysłowionego zła. I wtedy zdałam sobie sprawę, że jest ono na moich piersiach. Było takie realne i konkretne. Nie mogłam się ruszyć ani krzyknąć. A potem nagle tak jakbym się obudziła i to coś zniknęło.

Dwanaście albo piętnaście lat później wszystko zaczęło się od nowa, także podczas drzemki.

– Miałam oczy otwarte. Jeszcze nie zasnęłam na dobre i znów zmieniła się temperatura, i wróciło to zło. To całkowite przeciwieństwo szczęścia czy tego, co odczuwamy przy nowo narodzonym dziecku. To wcielenie zła było bardzo, bardzo stare. Gościło na tym świecie od niepamiętnych czasów. Inteligentne, doświadczone zło. Dopiero wtedy zrozumiałam pojęcie zła. Było nieczyste – i stare – i miało w sobie coś erotycznego. Życie z czymś takim to los gorszy niż śmierć.

Gowdy przystąpiła do badania tematu w bibliotece publicznej, lecz znalazła tam niewiele informacji. Aż do schyłku lat siedemdziesiątych obecność wyczuwana w paraliżu przysennym była uważana za rzadki efekt uboczny narkolepsji. „Widziałam artystów próbujących uchwycić zło, ale właściwie nikt nie zdołał uchwycić go w pełni. Nie można zrozumieć, co to jest, dopóki się tego nie doświadczy”.

Rozpaczliwie pragnąc uwolnić się od swego prześladowcy, Gowdy postanowiła przestać drzemać. Przez wiele lat udawało jej się nie dopuścić do

siebie tego niewysłowienie przerażającego upiora. A potem znów się zaczęło. Tym razem, wydając groźne pomruki, szepnął jej cicho w prawe ucho: „Jestem wilkiem”.

Mając już dosyć terroru, Gowdy skapitulowała, gwałtownie i gniewnie. „W porządku – powiedziała. – Rób, co chcesz”.

W tym momencie „widziadło pękło jak bańka mydlana i zniknęło, i nigdy już nie wróciło”.

– Nasuwa mi to myśl, że zmierzyłam się w istocie z własną podświadomością i dzięki odwadze pokonałam ją – mówi Gowdy i zastanawia się też, czy aby nie dotarła do głębszej zbiorowej nieświadomości, do „pamięci o bólu, pamięci o złu”, jak to ujęła.

Refleksja Barbary Gowdy przypomniła mi o wydarzeniu – mającym miejsce mniej więcej tydzień po mojej rozmowie z Audrey Scott, kobietą umierającą we własnym domu – kiedy to obudziłam się o wpół do czwartej w nocy dręczona niespokojnymi myślami. Prześladowała mnie książka, którą właśnie czytałam zatytułowana *The Tiger*, autorstwa dziennikarza Johna Valianta. Na potwornym pustkowiu w jakiejś odizolowanej od świata mieścinie na dalekim wschodzie Rosji pewien mężczyzna powiesił się na pasku po tym, jak jego jedyny syn został pożarty – nie zostało nic prócz butów – przez samotnego tygrysa amurskiego. Z jakiegoś powodu obudziłam się z uczuciem głębokiej empatii dla tego ojca, w pełni wczuwając się w horror, jakim było życie ze świadomością, że jego dziecko stało się jedynie mięsem i że nie istnieje nic – praca, miłość, perspektywy – co mogłoby złagodzić tę rozdzierającą duszę prawdę. Rzucałam się i miotałam w dusznej sypialni, dryfując na obrzeżach snu. A potem ni stąd, ni zowąd znalazłam się w... świadomym śnie? A może był to koszmar nocny? Miałam wrażenie, jakbym wpadła w pole siłowe, a w każdym razie trafiłam do jakiegoś królestwa, *żywego królestwa* grozy.

Możliwe, że po prostu odczuwałam intensywny strach wskutek doświadczenia obcego doznania, nie jestem pewna. Byłam bezsilna, to wiem na pewno i próbowałam jakoś wziąć się w garść, rozmawiając ze sobą w myślach, mówiąc do siebie coś w stylu „trzymaj się, przeżyjesz to”, chociaż nie pamiętam dokładnie, co mówiłam. Myślę, że starałam się

oddzielić siebie, całe swoje jestestwo, od tej siły. Było to nieco podobne to opisanego przez Tolkiena odczucia, jakie mieli hobbici, kiedy niemądrze spojrzeli w kryształową kulę Sarumana i dostrzegli oko Mordoru.

Nigdy dotąd nie doświadczyłam czegoś takiego. Nie było żadnych skutków fizycznych, jakie występują podczas ataku paniki. Serce nie biło mi gwałtownie. Chciałam tylko uciec przed tym czymś jak przed zarazą, zapaliłam więc światło i słuchałam przez godzinę audiobooka, aż stwierdziłam, że bez obaw mogę znów zasnąć.

„Szczególnie uderzająca była częstotliwość, z jaką posługiwano się terminem »zło« w odniesieniu do tej obecności – napisał Allan Cheyne, omawiając przypadki paraliżu przysennego – i dotyczyło to nawet ludzi, którym taki termin niełatwo przychodzi do głowy”. Jak powiedział jeden z badanych, „dosłownie boję się o swoją duszę”.

Co to oznacza? Czym się różni od odczuwania zagrożenia w sytuacjach, kiedy strachem napętnia nas możliwy atak dzikiego zwierzęcia, pędzący samochód czy nadciągające tornado? Aby przekonująco wytłumaczyć przerażenie związane z paraliżem przysennym, będziemy musieli najpierw zrozumieć, w jaki sposób świadomość rozpoznaje różnicę między pewnego rodzaju zagrożeniami, które podsuwa nam wyobraźnia – bezosobowymi, związanymi ze zwierzętami, pogodą czy nawet niepewnym, roztrzęsionym napastnikiem – a zagrożeniem, w którym tkwi *moc zła*. W postrzeganiu tym musi być jakaś wewnętrzna jakość – czyli qualia – która wychodzi poza to, co normalnie postrzega nasz wykrywacz zagrożeń, czyli ciało migdałowe w mózgu. Nikt jednak najwyraźniej nie wie, co to jest.

Dlaczego te przerażające upiory materializują się tylko wtedy, kiedy zapadamy w drzemkę? Niektórzy utrzymują, że ich królestwem jest hipnagogia – *hypnos sen*, *agogos* wiodący, prowadzący – osobliwy stan świadomości między snem a jawą, kiedy to pojawiają się dziwaczne myśli i obrazy. W badaniach prowadzonych na Uniwersytecie Fukushima[54] w Japonii ustalono, że w zapisie EEG ludzi doświadczających paraliżu przysennego stan czuwania miesza się z fazą snu REM. Mówimy tu zatem o fizjologii snu, a nie o typowej (to znaczy bardzo specyficznej) treści snów.

„Omamy hipnagogiczne[55] stanowią pewną tajemnicę w tym sensie, że

naukowcy nie bardzo wiedzą, jak je zaszeregować – pisze dziennikarz naukowy Jeff Warren w swej książce poświęconej różnym stanom świadomości *The Head Trip: Adventures on the Wheel of Consciousness*. – Czy są to sny, czy myśli, czy może coś zupełnie innego? Skąd właściwie się biorą? Czy istnieje jakaś logika w ich pojawianiu się?” To ważne pytanie zwłaszcza w świetle badań sugerujących, że jesteśmy bardziej podatni na „doznania telepatyczne” i różne niezwykle widzenia, kiedy wyciszymy inne hałasy w naszej świadomości[56].

Dla śniącego większość snów i omamów hipnagogicznych jest zawsze absolutnie wyjątkowa, natomiast tym, co sprawia, że paraliż przysenny jest aż tak zagadkowy, są doznania bardziej konkretne, na przykład to, że słyszymy odgłos otwieranych drzwi, a potem kroków, że odczuwamy lub widzimy uosabiającego zło upióra[57], który próbuje nas zmiażdżyć, a nawet atakuje seksualnie. Dlaczego nie reagujemy w ten sposób na odgłos świerszczy za oknem czy na dźwięk syren dobiegający z odległych ulic miasta? Dlaczego nie uwzględniamy danych sensorycznych dostarczanych przez naszego gościa, który właśnie spuszcza wodę w toalecie czy przez sąsiada, u którego odbywa się impreza? Dlaczego drzwi się otwierają? Dlaczego rozlega się odgłos kroków? Istnieje średniowieczna relacja ze Szwecji, gdzie nadejście upióra brzmiało podobno tak, jakby ktoś ciągnął po podłodze szmaciany worek. Indianie Nawaho słyszeli szuranie mokasynów; pacjenci rejestrowali odgłos stóp, w samych skarpetkach, na szpitalnych wykładzinach.

Na domiar złego odczuwany strach jest nie do opisanie. „Lęk pierwotny, najstraszliwszy horror, z jakim kiedykolwiek miałem do czynienia: to coś, co zmienia charakter człowieka”, mówi jedna z osób. „Po tych atakach trząłem się i płakałem”, mówi ktoś inny. „Czasami boję się tak bardzo, że aż mnie mdli”.

Młody Australijczyk Louis Proud, który po raz pierwszy doznał paraliżu przysennego, kiedy był nastolatkiem i od tamtej pory miewa regularnie te wielce sugestywne omamy, potrafi nawet opisać wrażenia dotykowe w obliczu wyczuwanej przez niego obecności: „»Ręka« tego ducha wydaje się jakby syntetyczna, niemal gumowata, ale na pewno nie martwa”. Rzadko go jednak widuje. „Czasami mignie mi przed oczami półprzezroczysty,

upiorny kształt pochylający się nad moim ciałem i poruszający się tak szybko, że trudno go dojrzeć”. Przeżycie to jest przeważnie fizyczne i emocjonalne, raczej nie wizualne. „Wydaje się, że ta istota potrafi »ucześcić się« duszy za pomocą jakiejś potężnej przysawki. To bardzo dziwne i wielce nieprzyjemne uczucie. Przychodzi do głowy słowo »gwałt«”.

Powszechnie towarzyszą temu halucynacje słuchowe. W wypadku Prouda był to pomruk z piekła rodem, niepodobny do niczego: „Określenie tego demonicznego pomruku jako apogeum zła byłoby niedomówieniem. To czysta, niczym nieskażona wrogość. Ten odgłos napełnia mnie lękiem do samej głębi, niemal druzgocząc duszę. Ufam, że Bóg nie każe mi już nigdy więcej tego usłyszeć, ani w ogóle czegokolwiek w tym rodzaju”.

„Złożony model paraliżu przysennego[58], w tym obecność złego ducha, szuranie nogami i całe mnóstwo innych szczegółów nie ma źródła w kulturze – tłumaczy David Hufford. – To raczej z tego doznania zrodziła się w kulturach na całym świecie tradycja atakujących duchów”[59]. Mamy więc sukkuby i inkuby w średniowiecznej Europie czy „siedzące duchy” w Chinach. Stąd wywodzi się słowo *haggard* (wynędzniały, wymizierowany), które brzmiało kiedyś *hag-rid*, czyli *ridden by Hag* (dręczony przez Hag), gdzie Hag to stara, wychudzona wiedźma. Podobnie *nightmare* (koszmar) pochodzi od anglosaskiego *mare*, czego odpowiednikiem mogłoby dziś być słowo miażdżarka. *Nightmare* to ktoś/coś, kto/co chce nas zmiażdżyć w nocy. Zdarza się, że omamy hipnagogiczne są „intersubiektywne”, to znaczy przytrafiają się na przykład kilku osobom w wiosce w trakcie jednego tygodnia albo dwojgu ludziom w tym samym pokoju. Rozmawiałam ze znajomą, która wspomniała zdarzenie, kiedy to obudziła się w Anglii w wiejskim domu obok swego partnera; było to na początku lat siedemdziesiątych XX wieku. Miała uczucie, że jest sparaliżowana. Ogarnął ją paniczny strach. Słyszała wciąż płaczące dziecko. Rozpaczliwe wołanie o pomoc w głuchej ciemności. Jej ukochany leżał obok niej i przeżywał dokładnie to samo w tym samym czasie. Również był sparaliżowany i również słyszał lamentujące dziecko.

„Neurofizjologię tego paraliżu rozumiemy bardzo dobrze, znamy biochemię i znamy ścieżki neuronalne – mówi Hufford. – Ale nie znamy żadnej ścieżki, która to wszystko wywołuje. Możemy powiedzieć, że w stanie paraliżu

przysennego, z tym fizjologicznym wyzwalaczem, jesteśmy w odmiennym stanie świadomości. Jak dotąd w porządku, ale dalej konwencjonalne wyjaśnienia już nas nie zaprowadzą... Nie znam żadnego wytłumaczenia, które pasowałoby do posiadanych przez nas danych poza tradycyjnym, czyli że jest to doznanie duchowe”.

Hufford odnotowuje, że kiedy grupie psychiatrów zaprezentowano wyniki badań przypadków paraliżu przysennego i poproszono ich o zdiagnozowanie pacjenta, ponad połowa lekarzy nazwała anonimowego badanego „psychotykiem”. Taką etykietę przypina się osobom, których udziałem są tego rodzaju doznania, podobnie jak to było w przypadku wyczuwania obecności przez pogrążonych w żałobie, zagubionych czy zdanych na własne siły – i właśnie tego ludzie ci się obawiają.

„Kiedy rozmawiam z ludźmi, często mówią mi, że jestem pierwszym, któremu o tym opowiedzieli – twierdzi Hufford. – Pytam ich, dlaczego tak jest, a oni oznajmniają: »Ponieważ nie chciałem, żeby uważano mnie za wariata«. Jednym z najbardziej fascynujących zagadnień socjalnych dotyczących tej kwestii – kontynuuje Hufford – jest to, że wszystkie tego rodzaju przeżycia były dobrze znane w tradycji zachodniej, mówiło się o nich już trzysta, może czterysta lat temu. To nieprawda, że kultura zachodnia zwyczajnie nie miała o tych sprawach pojęcia. Wymazaliśmy wiedzę o takich doznaniach z naszego kulturowego repertuaru, podczas gdy przeżycia te w dalszym ciągu mają miejsce. To rzeczywiście wielce imponujący poziom kontroli społecznej”. Postrzeganie istot duchowych, czy to kochających, czy okrutnych, stało się, uważa Hufford, „doświadczeniem nielegalnym”.

*

Te uprzedzenia powoli się rozwiewają, zwłaszcza jeżeli chodzi o terapię dla osób cierpiących po stracie bliskich, jako że doradcy zaczynają zauważać inne podejście do tematu w różnych kulturach. Na całym świecie wciąż są

społeczności, które wyczuwają albo widzą duchy zmarłych i akceptują je takimi, jakimi są. Wyniki poważnych badań przeprowadzonych wśród wdów[60] z Japonii pokazały, że ich „ustawiczna więź” z duchami zmarłych małżonków w ramach japońskiego kultu przodków – stawianie im ołtarzy w domu, zostawianie jedzenia i smakołyków, palenie kadzidła – sprawia, że kobiety te są znacznie bardziej odporne psychicznie niż ich amerykańskie odpowiedniczki. Ludzie, których kochają, wciąż ocierają się o ich ramiona, o ich policzki, przebywają wśród nich i są karmieni, kiedy przychodzi na to pora. Pamiętam to oczywiście z mojego ojczystego kraju, Meksyku, gdzie Halloween wciąż pozostaje Dia de les Meurtes, czyli Dniem Zmarłych. Rodziny urządzą na cmentarzu pikniki, wykładają ulubione produkty żywnościowe i napoje, przystrajają groby girlandami z nagietków, a w tym samym czasie sklepikarze sprzedają podskakujące szkielety. Śmierć ma swoje miejsce w życiu; jest jego częścią.

Dochodzę do wniosku, że im zazdrozczę.

„Istnieje niebezpieczeństwo, że uprzedmiotowiając[61] lub analizując określone doznanie, możemy stracić z oczu jego znaczenie dla ludzi pogrążonych w żałobie czy umierających”, pozwolił sobie zauważyć lekarz opieki paliatywnej Michael Barbatto. W tej sprawie wypowiedział się również neuropsychiatra z Londynu Peter Fenwick: „Często – a dla zainteresowanych jest to najważniejszy aspekt doznania – jest to tak wielkie przeżycie emocjonalne, że na długo pozostaje dla nich źródłem pocieszenia[62] i często jest w stanie zmienić ich rozumienie śmierci. Fakt, że inni bagatelizują to, co się im przydarzyło, traktując to jako »zwykły zbieg okoliczności«, jest dla nich nieistotne; wiedzą, że miało to miejsce i to im wystarcza”.

Czasami wystarcza, ale często nie. Powstrzymujemy się przed skorzystaniem z pocieszenia i ukojenia, jakie oferują nam duchy, ponieważ społeczeństwo, które nas lekceważy, każe nam „pokazać dowód”. Nie ma takiego dowodu. Neurobiologia na tym etapie najzwyczajniej nie potrafi powiedzieć nam, dlaczego ludzie miewają przeżycia z wyczuwaniem czyjejs obecności. To, co kiedyś nazywano aniołami stróżami, sukkubami czy po prostu przodkami, teraz uznaje się za zwykłe halucynacje. Niektórzy nie mają nic przeciwko takiej zmianie semantycznej, na przykład astronauta Jerry Linenger, który

doszedł do wniosku, że odwiedziny ojca to tylko iluzja, ale i tak czuł się po nich pocieszony. Dla innych jednak ich przeżycia tracą przez to na znaczeniu[63], i to ogromnie. Najlepsze, co przydarzyło się w życiu, staje się czymś, co każe osobom postronnym sądzić, że jesteś idiotą: „Nie chciałbym być nieuprzejmy, ale twoja siostra ewidentnie wszystko to sobie wyobraziła”.

„Gdzie jest mądrość?[64] Zagubiła się w wiedzy. A gdzie wiedza? Utonęła w morzu informacji”, prawie sto lat temu deliberował w swej poezji T.S. Eliot.

Musimy być dużo ostrożniejsi z ferowaniem wyroków o tym, co pogrążeni w żałobie – a także przerażeni czy pozostawieni własnemu losowi – widzą lub czego nie widzą, ponieważ zwyczajnie nic o tym nie wiemy. Dopóki się nie dowiemy, mają oni prawo nadawać temu własne znaczenie.

ROZDZIAŁ 5

Uciszcie się!

O tym, jak umierający osiągają spokój

Ponury dzień w Ontario. Środek zimy. Zamarznięty las, cichy i pusty, którego nie przecinają prawie żadne drogi. Ludzie na ogół przemieszczają się tu wysoko ponad połączeniami świerków i sosen w pasażerskich samolotach odrzutowych albo – kiedy przenoszą się z jednego miejsca w danym regionie w drugie – w lekkich, trzęsących się samolotach dwuśmigłowych. W styczniu 1979 roku w ten regionalny sposób odbywała podróż młoda lekarka Yvonne Kason, która przewoziła znajdującą się w stanie krytycznym Indiankę z plemienia Odżibwejów, chorą na wywołane przez odrę zapalenie mózgu, z małego rezerwatu, do którego można dotrzeć tylko samolotem, do najbliższego szpitala odległego o kilkaset kilometrów. Kason towarzyszyła pielęgniarka Sally Irwin, a pilotował Gerald Kruschenske, pewien, że uda mu się utrzymać dwusilnikowego Pipera Azteca na kursie, mimo że wiatr zaczynał się wzmacniać i od zachodu nadciągały śniegowe chmury. Pasażerowie siedzieli w kucki, spięci i przemarznięci, jako że pogoda pogarszała się coraz bardziej, aż wreszcie rozszalała się śnieżycą.

W ciągu kilku przerażających chwil lód pokrył samolot i przestało działać prawe śmigło. Potem zacharczało lewe skrzydło i też się zatrzymało. Piper zaczął wytracać wysokość i kiedy dla pilota stało się jasne, że nie uda mu się ominąć wyłaniającego się przed nim wzgórze, nie mając wyboru, spróbował podejść lotem ślizgowym do lądowania awaryjnego.

– Czułam obezwładniającą panikę, obezwładniający strach – powiedziała mi trzydzieści lat później Kason. – Pomyślałam: „O, mój Boże, ja tu zaraz zginę”. A raczej wyrzuciłam to z siebie; to było jak modlitwa przedśmiertna, *omójBożejaturazzginę*: wołanie o pomoc płynące wprost z duszy. – W tym momencie ku jej ogromnemu i niesłabnącemu zaskoczeniu poczuła

spływającą na nią falę spokoju, która jakby zmyła przerażenie, po czym cofnęła się, pozostawiając tylko ukojenie. – Ochłonęłam i już się nie bałam. Byłam czujna i przytomna, tak jak teraz.

Minęła może sekunda, najwyżej dwie, nie więcej. I wtedy znów ku jej zdumieniu usłyszała głos. „Uciszcie się – przemówił – i we mnie Boga uznajcie”. Kason urodziła się w rodzinie chrześcijańskiej, ale nie była w kościele, od kiedy jako nastolatka śpiewała w kościelnym chórze, jednakże pamiętała wyraźnie – albo jakoś się jej to przywidziało – werset ze Starego Testamentu z psalmu 46. *Bóg jest naszą ucieczką i siłą naszą, ratunkiem na wszelki ucisk najpewniejszym*. Tak zaczyna się ten psalm. Odpręż się, nie bój się, ucisz się. „Jestem z tobą, teraz i na zawsze”.

– Co pani rozumie przez głos? – spytałam, trzymając pióro w ręku, kiedy siedziałyśmy naprzeciwko siebie u niej w domu, popijając kawę. O jej doświadczeniu dowiedziałam się od psychologa z Uniwersytetu w Toronto i odszukałam ją, próbując znaleźć odpowiedź na pytanie, dlaczego Katharine pod koniec swego życia wydawała się taka pogodna i nieustraszona, jakby spotkała niewidzialne źródło radości, z którego czerpała do woli. W badaniach Karlisa Osisa nad doświadczeniami na łożu śmierci stwierdzono, że bardzo wielu umierających doświadcza „poprawy nastroju”[1] tuż przed odejściem z tego świata. Czy ktoś, kto nie umarł, ale był już na skraju przepaści, może rzucić światło na to, co czują umierający?

– Skąd pani wie, że nie był to pani własny głos albo myśli? – naciskałam Kason, chcąc zrozumieć tę biblijną komendę „uciszcie się”. Bardzo dobrze jest mi znana samokontestacja, ale nigdy nie słyszałam w głowie żadnego głosu poza własnym, niestety. Od czasu do czasu słyszę głosy jakby z zewnątrz, kiedy coś wyrywa mnie ze snu – powiedzmy, że ktoś puka albo wymawia moje imię – ale nawet te dźwięki mają w sobie coś mglistego, nierealnego.

Zastanawiała się nad moim pytaniem, zakładając za ucho kosmyk jasnych włosów. Kason ma obecnie około pięćdziesięciu pięciu lat, jest elegancką kobietą o wysokiej inteligencji, ciepłą i zaangażowaną w to, czym się zajmuje. Zrozumiała, dlaczego ją naciskam, dlaczego chcę poznać więcej szczegółów. W profesjonalnych kręgach medycznych nie da się po prostu stwierdzić, że udało się zachować spokój i zdrowy rozsądek w czasie

katastrofy lotniczej, ponieważ jakiś głos kazał nam się uciszyć.

– No dobrze. To tak jakby iść korytarzem i nagle usłyszeć z głośnika jakiś głos, który każe ci się zatrzymać. *Wiadomo*, że to nie twój głos. – Spojrzała na mnie uważnie, żeby zobaczyć, czy zrozumiałam tę analogię. – Chcę przez to powiedzieć, że było to aż tak wyraźne. Zostałam poinstruowana.

– Przez kogo? Przez mężczyznę, kobietę?

– Gdybym miała określić rodzaj gramatyczny, powiedziałabym, że była to istota raczej rodzaju męskiego niż żeńskiego. Był to niski głos, głęboki, w *najwyższym stopniu* pocieszający. – Kason mówiła szczerze, a jednocześnie brzmiało to tak, jakby powierzała mi sekret, jakby po tylu latach wciąż nie mogła uwierzyć, że to dziwne zdarzenie rzeczywiście miało miejsce.

Słuchając jej, zamyśliłam się: mamy tu „trzeciego człowieka” w chwili niebezpieczeństwa, coś, czego doświadczali żołnierze na froncie. Tyle że zamiast wskazywać drogę, ta „obecność” czy może raczej ten głos ofiarowuje siłę. I spokój. Wiatr wył, samolot spadał i w tychże okolicznościach Kason niemal w ułamku sekundy poczuła, że wkroczyła w stan zmienionej świadomości. „Nie myślałam, nie oceniałam, nie analizowałam, tak jak się to normalnie robi”. Nie była też odrętwiała ani nie negowała tego, co się stało; to był „taki rodzaj spokoju, jaki osiąga się w trakcie medytacji”, wyjaśniła.

– Znajdujesz się w tak zwanym stanie „wyższego umysłu”, to umysł chłonny i działający w oparciu o intuicję. Wiedziałam, że samolot zaraz się rozbije. Razem z pielęgniarką trzymałyśmy pacjentkę w pozycji właściwej do lądowania awaryjnego. Czułam głęboki spokój. Wiedziałam, że nie ma się czego bać. Po prostu wiedziałam to w głębi duszy. *Nawet gdybyśmy mieli zginąć*. Zaczęłam pocieszać pacjentkę, która obudziła się i skierowała wzrok na mnie, na swojego lekarza. Teraz byłam już w stanie mówić do niej i dodawać jej otuchy. Wciąż powtarzałam: „Będzie dobrze, wszystko będzie dobrze”.

Jak na dwudziestosześcioletnią kobietę, która przedtem raczej nie zastanawiała się zbyt nad życiem po śmierci, Kason nabrała tak niezłomnej pewności wprost niewiarygodnie szybko.

– Wiedziałam z absolutną pewnością coś, czego przedtem nie wiedziałam, a mianowicie że nie ma absolutnie nic takiego w śmierci, czego należałoby się bać.

W zamyśleniu pogłaskałam po grzbiecie jej kota i przypomniałam sobie coś, co szepnęła Katharine do naszej siostry Anne w hospicjum: że już się nie boi. Przez wiele lat Katharine miała powracający sen, w którym znajdowała się w powoli rozpadającym się samolocie, ścinającym wierzchołki drzew. To zawsze był koszmar. Zawsze była przerażona. Nie potrafiłam zrozumieć, dlaczego w hospicjum przestała się bać, a ona miała zbyt duże problemy z mówieniem, żeby się nad tym rozwodzić. Czy było to nieprzyjmowanie pewnych spraw do wiadomości? Unikanie prawdy? Morfina? Nagły przypływ endorfin? Czy może to ten tajemniczy, czuły głos kazał jej się „uciszyć”?

Kason podjęła wątek i opisała, jak obniżali lot, schodząc do częściowo zamarzniętej zatoki od strony kanadyjskiej prowincji Ontario w regionie zwanym Lake of the Woods.

– Pilot, naprawdę bohatercko, próbował wykonać kontrolowane lądowanie awaryjne na lodzie – powiedziała. – Prawie mu się udało, ale pokrywa lodowa była tak cienka, że kiedy samolot się zatrzymał, lód pękł i maszyna zaczęła tonąć. Musieliśmy jak najszybciej wydostać się na zewnątrz, a ja jeszcze próbowałam wyciągnąć chorą, ale nie mogłam (odpiąć pasów). – Drzwi ładunkowe, przez które wniesiono do samolotu nosze, były już pod wodą. Nie udało im się wyswobodzić kobiety i po chwili trójka ocalałych, którym mocno ciążyły zimowe ubrania, sama znalazła się w wodzie, skąd patrzyli bezradnie, jak pochłania ona przypiętą do noszy pacjentkę razem z Piperem.

„Ten trzeci” – ale pamiętajmy, że to nie ktoś obecny czy wyczuwany, tylko głos – jeszcze raz zajął się Kason.

– Ten głos zaczął powtarzać: „Płyn do brzegu”. Nawet się z nim spierałam, ponieważ robiłam kurs ratownictwa, a tam wciąż powtarzają, że jeśli wypadek ma miejsce na wodzie, nie należy płynąć do brzegu. Zawsze jest on dalej, niż się wydaje. Spróbowałam zignorować głos i wyszłam na lód. Ale za każdym razem, kiedy któreś z nas nawet nieznacznie go obciążało, lód pękał.

A kiedy jesteś zmarznięty i mokry, męczysz się *naprawdę szybko*. Moje parka i buty zrobiły się ciężkie jak ołów i czułam, jak jezioro mnie wciąga. Tak więc poddałam się głosowi, bo to, co dotąd robiłam, nie przynosiło efektu i zaczęłam płynąć do brzegu. To było naprawdę, naprawdę trudne. Byłam pewna, że nie dam rady. Wciąż zalewała mnie woda i wypełniała mi płuca. W jakimś momencie tej walki na śmierć i życie moja świadomość nagle uleciała ze mnie ze świstem – tu gwałtownym gestem wyrzuciła ręce w górę – i tak jakby przestałam patrzeć swoimi oczami. Znajdowałam się sześć, może dziewięć metrów wyżej i widziałam siebie, płynącą. –

Pochyliwszy głowę, utkwiała wzrok w stole jadalnianym, jakby wciąż wprawiało ją to w zdumienie. – Było to dla mnie bardzo dziwne. Słyszałam opowieści o ludziach wychodzących ze swego ciała, ale działo się to, kiedy leżeli, a nie kiedy płynęli! – Spojrzała na mnie i roześmiała się. –

Zastanawiałam się nad tym przez wiele lat.

Do tego momentu opowieści doktor Kason to, czego doświadczyła, mieści się w ramach, w których psycholodzy poruszają się swobodnie, kiedy trzeba coś wyjaśnić, a w każdym razie chętnie na te tematy teoretyzują.

W różnorodnych badaniach wykazano, że ludzie, stając twarzą w twarz z własną śmiercią – w katastrofach lotniczych, wypadkach samochodowych, spadając z klifu, a nawet skacząc z mostu – wchodzą w stan dysocjacji (o czym rozmyślają później ci nieliczni, którzy przeżyli). To w gruncie rzeczy postawa obronna, którą wyzwała antycypacja traumy, próba psychicznej ucieczki przed nią, wejścia w stan, kiedy wydaje się, że przytrafia się to komuś innemu. Różni naukowcy interpretują tę teorię na różne sposoby. Ale wszyscy zgadzają się, że istnieją pewne elementy wspólne.

W 2004 roku badania wśród ocalałych z wypadków[2] przeprowadził kardiolog z Atlanty Michael Sabom. Stwierdził, że czterdzieści trzy osoby z pięćdziesięciu dwóch doświadczyły dysocjacji podczas zdarzenia, co sugerowałoby, że jest to typowa – a nie niezwykła – reakcja w obliczu śmierci. Steward, Jan Brown-Lohr, który przeżył katastrofę samolotu United Airlines w 1989 roku, powiedział Sabomowi: „Czułem, że to... że to jest to, że tak właśnie odejdę, że tak umrę i była to najspokojniejsza chwila, jaką kiedykolwiek przeżyłem, niewiarygodnie spokojna, nie było żadnego bólu ani żadnego strachu, to był spokój totalny”. Zdarzyło się to, chociaż steward

fizycznie nie otarł się o śmierć, nie doznał nawet żadnych poważnych obrażeń. Sabom nazwał ten niezwykle stan psychiczny zespołem intensywnego odczuwania śmierci (*Acute Dying Experience, ADE*), czego nie należy mylić z rzeczywiście intensywnie bolesnym umieraniem ani – jak myślał przez chwilę mój kuzyn, kiedy opowiadałam o zbieranych przeze mnie materiałach – o fajnym doświadczeniu śmierci. Nie, nie chodzi tu o to, że niechcący przydusiły nas milusie, przeurocze szczeniaczki, choć może to być równie przyjemne^[3].

„Powszechnie są spokój i nieodczuwanie bólu – zauważa Sabom. – Potem, gdy zagrożenie mija, przychodzi i przemożne wzruszenie, i ból... a zatem ADE jest subiektywną reakcją na groźbę śmierci, na co składają się dysocjacja i hiperpobudzenie, które po usunięciu zagrożenia zastępuje opóźniona reakcja emocjonalna i kognitywna”. Na przykład żołnierz może osiągnąć najwyższy poziom spokoju i jasności umysłu w trakcie wymiany ognia, a dopiero potem ulec wszystkim reakcjom emocjonalnym oraz reakcjom autonomicznego układu nerwowego, jakich należałoby się spodziewać u osoby odczuwającej strach.

Sabom dowodzi, że jego koncepcja ADE „odzwierciedla trójfazową reakcję, obserwowaną u zwierząt podczas interakcji między ofiarą a drapieżnikiem, na którą składa się percepcja, obrona i powrót do rzeczywistości. Wydaje się, że jest to reakcja przystosowawcza sprzyjająca przetrwaniu w sytuacji krytycznej”. Sabom powołuje się na badania na myszach. Wygląda na to, iż u tychże gryzoni występuje dwupoziomowa reakcja na strach uzależniona od tego, jak wielkie jest zagrożenie. W odpowiedzi na nagły hałas w kuchni, gdzie pożerają okruchy, włącza się u nich tryb ucieczki. Ale „groźby odbierane jako zagrożenie życia, takie jak zapach ssaków czy pohukiwania nocnych ptaków drapieżnych, wywołują u myszy reakcję drugiego stopnia związaną z... natychmiastowym uwolnieniem endorfin”.

Jeżeli drapieżnik zaatakuje, mysz ma być skoncentrowana na strategii przetrwania, nie może sobie pozwolić, żeby rozpraszają ją strach czy ból. Stąd przypływ endorfin, dzięki którym nie odczuwa bólu i zachowuje spokój. Jeżeli myszy uda się czmychnąć, może wkroczyć w stan „powrotu do normalności”, kiedy to wdziera się ból i każe jej zająć się odniesionymi ranami. Na podstawie tego zwierzęcego modelu^[3] Michael Sabom i inni

badacze przekonują, że ocena powagi zagrożenia decyduje o tym, czy wrzeszczymy, nieruchomiejemy, kulimy się czy też... przechodzimy w tryb zen. Filmy grozy przedstawiają to wszystko opacznie. Anthony Perkins, atakując Janet Leigh pod prysznicem, wcale niekoniecznie skłoniłby ją do krzyku. Przeciwnie, znieruchomiałaby i milczała. Ale czy rzeczywiście chodzi w tym tylko o dysocjację?

W 1893 roku szwajcarski geolog Albert Heim[4] opublikował pracę poświęconą badaniom stanu emocjonalnego wspinaczy, którzy spadli z dużej wysokości w Alpach. Heim też zaliczył taki upadek i był zaskoczony radykalną zmianą, jaka w nim zaszła, od przerażenia do „niebiańskiego spokoju, który ogarnął moją duszę”. Inni alpiniści, z którymi rozmawiał, doświadczyli podobnego transcendentального spokoju. Po odpadnięciu od ściany, w obliczu rychłej śmierci, mężczyźni ci „często słyszeli piękną muzykę i wpadali w cudownie niebieskie niebo z różowymi obłoczkami”.

Oto, co w rozmowie z Sabomem powiedziała kobieta, która ugrzęzła pod wodospadem: „Moją pierwszą reakcją był strach, przez mniej więcej dwie sekundy. Totalny strach i panika. Po dwóch sekundach poddałam się. Pamiętam, że pomyślałam w pełni świadomości, że »nic nie mogę zrobić, tylko się poddać«. Wtedy zaczęłam wdychać wodę. Pamiętam, jak ta woda wpływała do moich płuc. Nie było żadnego bólu. Po prostu wdychałam wodę, mając świadomość, że wkrótce umrę. A potem to nadzwyczajne uczucie całkowitego spokoju. Nigdy przedtem czegoś takiego nie przeżyłam – absolutny spokój. Istniało tylko to ogarniające mnie do głębi uczucie”. (Szczęśliwie kobietę zdołano wyciągnąć, zanim się utopiła).

Niektórzy, jak choćby Kason, mieli przedziwne wrażenie, że opuszczają własne ciało. Żołnierz piechoty morskiej USA, który z powodu niesprawnego spadochronu doświadczył swobodnego spadania z wysokości czterech i pół kilometra i wylądował w wodach[5] Pacyfiku, w następujący sposób opisał zadziwiającą zmianę perspektywy, jakiej doznał:

„Spadałem, walczyłem ze spadochronem i ni stąd, ni zowąd (pstryknięcie palcami) znalazłem się cztery, pięć, może sześć metrów wyżej i przyglądałem się swoim zmaganiom. Dokładnie pamiętam pomarańczowy kombinezon lotniczy i żółty hełm z namalowanymi na nim trzema dużymi, niebieskimi diamentami. Pamiętam doskonale, że widziałem swoje buty. Myślałem, że

mam na nogach niskie trapery, jakie zazwyczaj nosiliśmy i zdziwiłem się, zobaczywszy te brązowe buty z wysoką cholewą... Nigdy nie doświadczyłem (czegoś takiego), ani przedtem, ani potem”.

Steward[6] linii Pan Am z samolotu, który zapalił się podczas ataku terrorystycznego w 1973 roku, przedstawił następującą relację: Nagle „było tylko światło. Poczułem wręcz niewiarygodne szczęście i radość! Wprost nie do opisanego. Zobaczyłem siebie. Leżałem tam w uniformie stewarda. Widziałem siebie dokładnie przez dym i pomyślałem: »Dlaczego ja się nie ruszam?«. Ale było mi wszystko jedno, bo tam, gdzie byłem, było mi tak dobrze”.

Kolejna relacja z Alp została przekazana przez szwajcarskiego wspinacza-amatora J.L. Bertranda[7]. Mężczyzna uświadomił sobie, że utknął na półce skalnej tak wąskiej, że, jeżeli się ruszy, spadnie i zginie, a jeżeli się nie ruszy, zamarnie. Wybrał to drugie i powoli robiło mu się coraz zimniej. W pewnym momencie uniósł się i znalazł się ponad sobą. „No cóż, pomyślałem, że w końcu jestem tak zwanym nieboszczykiem i oto jako kula powietrza w powietrzu, balon na uwięzi wciąż przymocowany do ziemi za pomocą jakiegoś elastycznego sznura, unoszę się coraz wyżej i wyżej”. Z tego nowego, lepszego punktu obserwacyjnego Bertrand zauważył nieco niżej swojego górskiego przewodnika, który popijał jego maderę i zjadał jego kurczaka, czego później Bertrand nie omieszkał mu wypomnieć. Zobaczył też swoją żonę przebywającą setki kilometrów od miejsca, gdzie się znajdował, jadąca właśnie do Lucerny.

„Żałowałem jedynie tego – napisał – że nie mogłem przeciąć sznura. Poruszałem się w tak pięknych światach, że ziemia przestała mieć znaczenie”. Kiedy „wrócił” do swego ciała, czyli kiedy został odnaleziony i ocucony przez przewodnika, który wcześniej zjadł mu lunch, zachowywał się niemal wrogo: „mój żal był bezmierny. Czułem pogardę dla przewodnika, który, spodziewając się sówitej nagrody, próbował wmówić mi, że dokonał cudów. Nigdy nie byłem nastawiony tak agresywnie i tak zirytowany”.

Psychoanalityk Oskar Pfister, żyjący w tym samym czasie co Freud, przeczytał niektóre z tych górskich relacji i nazwał doznania wspinaczy opisane przez Heima „myśleniem w szoku”[8]. Ta koncepcja stała się podstawą badań nad zaburzeniami nazwanymi później „dysocjacją

okołotraumatyczną”. Psycholog Russell Noyes z uniwersytetu stanu Iowa badał tego rodzaju przeżycia w latach siedemdziesiątych XX wieku i doszedł do wniosku, że na obecnym etapie najlepiej można je wytłumaczyć „depersonalizacją jako mechanizmem obronnym w obliczu ekstremalnego niebezpieczeństwa i towarzyszącego mu niepokoju”[9]. Z badań Noyesa wynika, że najpowszechniejszymi cechami „dysocjacji okołotraumatycznej” są zaburzenia percepcji czasu, odczucia surrealne, wrażenie, że działa się na automatycznym pilocie, zamęt w głowie i dezorientacja. Prawdę mówiąc, to, co zostało w ten sposób opisane, swego czasu przydarzyło się i mnie, kiedy jako świeżo upieczony kierowca niechcący idiotycznie skręciłam w lewo wprost pod sznur pędzących taksówek na Broadwayu w pobliżu Columbus Circle w Nowym Jorku. Natychmiast zostałam uderzona w bok pojazdu i pamiętam to uczucie, kiedy czas zaczął zwalniać, a na mnie spływał nieziemski spokój. Kiedy moja zgnieciona toyota jakoś wyszła z poślizgu, pedantycznie przestawiłam dźwignię zmiany biegów na pozycję „P”. Mniej więcej pół godziny później, kiedy policja i pogotowie przyjechały i odjechały, zabierając do szpitala mojego pasażera i kierowcę taksówki, która we mnie wjechała, zaczęłam szlochać i przez kilka godzin dosłownie nie mogłam się pozbierać. Była to opóźniona reakcja emocjonalna i psychiczna, jaka podobno towarzyszy dysocjacji okołotraumatycznej.

W prowadzonych przez Saboma badaniach osób ocalałych z wypadków była jednakże różnica między tym, jak reagowali ludzie nagle wplątani w jakieś niejasne niebezpieczeństwo, tak jak ja w swoim rozpędzonym samochodzie, a tym, jak zachowywali się, zdając sobie sprawę, że prawie na pewno czeka ich śmierć. Pierwsza grupa „często opisywała przyspieszenie i wyostrenie fizycznej, mentalnej i wizualnej percepcji, właściwe psychologicznemu stanowi hiperpobudzenia”. Przyspieszona percepcja powoduje na przykład zaburzenia poczucia czasu. Według Saboma ta cecha różniła stan, który diagnozował jako zespół intensywnego odczuwania śmierci (*ADE*) od dysocjacji okołotraumatycznej Noyesa. Przekonywał, że reakcje te płynnie przechodzą jedna w drugą, jak w przypadku dwupoziomowej reakcji zaobserwowanej u myszy. Niektórzy ludzie doświadczają tylko depersonalizacji, tak jak ja, ale „kiedy występował również strach i przerażenie, zawsze były to emocje wstępne, krótkotrwałe, a po nich przychodziło uczucie spokoju o *równej albo większej intensywności*”.

„Rozpatrując te wnioski łącznie – napisał Sabom – obserwujemy interesujący paradoks[10]: im wypadek bardziej przerażający i traumatyczny, tym spokojniejsze i mniej bolesne mogą być związane z nim przeżycia”. (Świadcowie są zwykle mocno poruszeni: jak się zdaje, jest to doświadczenie bardziej przykre dla biernego obserwatora niż dla osoby przeżywającej tragedię, co często gdzieś zanika w obrazach prezentowanych przez powieściopisarzy i filmowców).

Ale nawet jeżeli, podobnie jak myszy, mamy zdolność dostosowywania naszych reakcji do powagi niebezpieczeństwa, w jakim się znajdujemy, czy to w pełni tłumaczy te przeżycia? Być może jesteśmy naraz myszami i ludźmi. Może potrafimy mieć jednocześnie zarówno psychiczne, jak i duchowe transcendentne reakcje na niebezpieczeństwo. Zdaniem Yvonne Kason nie da się w inny sposób wyjaśnić tego, co zdarzyło się, kiedy ruszyła w stronę brzegu.

*

Przez mniej więcej godzinę po zatonięciu samolotu w wodach Lake of the Woods Kason znajdowała się w stanie zawieszenia między tym, co ziemskie, a tym, co eteryczne; jakaś część jej świadomości czuwała nad tym, żeby nie ustawała w wysiłkach i płynęła dalej, w żelaznym uścisku lodowatej wody, niewiele widząc z powodu zamieci, podczas gdy inna jej część przesunęła się w stronę czegoś, co wydawało się jej nieskończenie urzekającym światłem. Miała wrażenie, jakby dzień w jakiś niemożliwy sposób płynnie przechodził z jednego stanu w drugi, że jednocześnie szaleje burza śnieżna i świeci promienne słońce. To światło ogarniało ją, wręcz ją wchłaniało. To już nie były endorfiny, jeżeli w ogóle odegrały w tym jakąś rolę. Po pierwsze, czuła ból spowodowany zimnem, co przyływ endorfin niewątpliwie by zablokował. Po drugie, to światło było nieporównywalne z niczym, co kiedykolwiek przeżyła w swoim życiu.

– To doznanie... ono nie miało kształtu – powiedziała, siedząc w przestronnej jadalni domu, w którym mieszkała ze swym kilkunastoletnim synem. – To było jak rozpuszczanie się w świetle. – Zastanowiła się chwilę nad tym opisem. – Tak, to było to. Rozpuszczanie się. Byłam kroplą wody, która teraz zlała się z morzem światła. Wciąż istniałam, to wciąż byłam ja, ale znajdowałam się w tym niewiarygodnym oceanie światła i miłości. – Nie była to zwykła wizualna percepcja światła. To było całkowite zanurzenie się w świetle, *czującym i emocjonalnym*. – Najsilniejszym aspektem była dla mnie miłość. Miłość doskonała. Tego nie da się opisać.

Niewysłowiona, uspokajająca miłość. Miłość erotyczna? Miłość platoniczna? Coś, co kochasz, czy coś, co kocha ciebie? Osoby biorące heroinę lub opium opisują bezosobowe doznanie rozkoszy, uczucie, jakby nie miały na tym świecie najmniejszego zmartwienia. Nie wspominają o relacji dynamicznej – o *miłości aktywnej*. Ale ludzie, którzy widzą to światło, są prawdziwie wstrząśnięci jego emocjonalnością. Kason zamknęła oczy i uśmiechnęła się, przybierając wyraz twarzy, jaki widuje się u osób wspominających najbardziej ekstatyczne momenty romansu. Nawet objęła się nieświadomie ramionami i siedząc tak w swym białym swetrze, powiedziała:

– To była miłość macierzyńska. Jakbym była nowo narodzonym niemowlęciem w ramionach matki, całkowicie bezpieczna. – A potem, z lekkim odcieniem żalu, ponieważ nie była to tylko niemowlęca błogość, ale również uczucie odkrywcze, dodała: – Miałam wrażenie, że przez wieki byłam zagubiona i wreszcie znalazłam drogę do domu.

*

Czy to w czymś takim zagłębiła się moja siostra, czy to dlatego mogła leżeć na łóżku w tak błogim spokoju? Czy to *dlatego* się nie bała?

Światło jest kwintesencją doświadczeń, które mistycyzm mają w swej

naturze. „Jeżeli chodzi o opisy światła[11], współczesne opowieści są uderzające podobne do przekazów średniowiecznych – pisze Carol Zaleski, specjalistka od religioznawstwa ze Smith College. – Zarówno w średniowiecznych, jak i we współczesnych opisach tego pozaziemskiego światła mieszają się impresje wizualne, takie jak blask, jasność i przejrzystość z efektami zmysłowymi/emocjonalnymi, takimi jak ciepło i energia”. (W sposobie postrzegania tego światła rzeczywiście jest coś szalenie synestetycznego). Odczucie jego dziwnego piękna to „jedno z nielicznych doświadczeń prawdziwie przenikających istotę rzeczy – zauważa Zaleski – co pozwala przekraczać bariery kulturowe i historyczne”.

Światło jest też kluczowym elementem wszystkich tradycji religijnych:

„Dusze sprawiedliwe wejdą do nieba i ukaże się im Bóg, który jest czystą światłością”, tako rzecze Zaratustra[12].

„Pan będzie ci wieczną światłością”[13], czytamy w Torze w księdze Izajasza.

„Umieść mnie w świecie nieśmiertelnym i niezniszczalnym / gdzie mieszka światło niebios”[14], proszą wierni w hinduizmie.

„Ja jestem światłością świata”[15], powiedział Jezus.

W buddyzmie spotykamy Przejrzyste Światło i Nieograniczone Światło[16].

Abdu'l-Baha, prorok bahaizmu z dziewiętnastowiecznej Persji, stwierdził: „Ten boski świat jest niezaprzeczenie światem światła”[17].

Papież Grzegorz I[18], który miał obsesję na punkcie zbierania przekazów z pierwszej ręki na temat przeżyć duchowych, tak zreasumował to, co opowiadali ci, którzy widzieli światło:

„Dla każdego, kto zobaczył choć odrobinę światła Stwórcy, cały wszechświat staje się mały, ponieważ to światło otwiera najskrytsze zakamarki umysłu i jest tak pełne Boga, że stoi ponad światem. W rzeczy samej dusza, która je widzi wznosi się ponad samą siebie. Zostaje wywyższona ponad samą siebie w światłości Boga”.

A oto opis, który powstał około tysiąca lat później; jego autorką jest Teresa z Ávili[19], wykształcona i szanowana hiszpańska przeorysza i mistyczka z XVI wieku: „Ta wspaniałość nie oślepia; ma w sobie miękką białość, jest nasyciona, dostarcza głębokiej rozkoszy oczom i ich nie męczy; to samo dotyczy blasku. Jest to światło tak różne od światła ziemskiego, że blask słońca, który normalnie widzimy, wydaje się zupełnie matowy w porównaniu z blaskiem i światłem w tym widzeniu; tak różne, że potem nie chce się otwierać oczu. To jak różnica między połyskującą, czystą, spływającą po kryształach wodą, w której odbija się słońce, a bardzo mętną, błotnistą wodą płynącą po ziemi”.

Niemal pięćset lat później Monique Hennequin[20], pacjentka ze szpitala w Holandii, opisała to swemu kardiologowi doktorowi Pimowi van Lommelowi: „Ta poświata to była jakby bezkresna rzeka pełna blasku, jakby blask zachodzącego słońca odbijający się w perlistej wodzie z punkcikami światła skrzącymi się jak małe gwiazdki. Ten blask składał się z przepięknych kuleczek światła, niebywale jasnych i niepodobnych do niczego co ziemskie”. Inna pacjentka van Lommela krzyknęła w zachwycie: „Za wiele! To po prostu za wiele, żeby móc to wyrazić ludzkimi słowami[21]. Inny wymiar, tak to teraz nazywam, gdzie nie ma rozróżnienia na dobro i zło, gdzie nie istnieje czas ani miejsce. Jest tylko ogromna, głęboka, czysta miłość, w porównaniu z którą miłość w ludzkim wymiarze błędnie, jest niczym, zaledwie cieniem tego, czym mogłaby być”.

Rene Jorgensen, pracownik organizacji pozarządowej z Danii, który zetknął się z tym światłem w wyniku niepożądanego reakcji polekowej podczas pobytu w Indiach, próbował wytłumaczyć mi, na czym polega czysta moc tej obdarzonej czuciem poświaty. Siedzieliśmy w jego skąpo umeblowanym mieszkaniu w Montrealu. W salonie wzrok przyciągała głównie olbrzymia oprawiona grafika, przedstawiająca latarnię morską na tle rozszalałego oceanu.

– Proszę sobie wyobrazić, że stoi pani na półce skalnej za wodospadem Niagara – powiedział – no, wie pani, tam, gdzie turyści mogą wejść, żeby znaleźć się pod wodą albo za wodą i że niewiarygodny ryk tej wody, jej ilość i energia to miłość. To właśnie coś takiego. – Dodał, że również jego spotęgowana świadomość była nieporównywalna z czymkolwiek innym. –

To doświadczenie jest tak potężne, że nie pozostawia cienia wątpliwości.

Naukowcy i dziennikarze błędzą, opisując „białe światło” pojawiające się w wizjach podczas doświadczenia śmierci (NDE), tak jakby chodziło o przejściowe zaburzenia percepcji wizualnej związane z niedostatkim tlenu. Po prostu opacznie rozumieją to zjawisko. Zacznijmy od tego, że Ivonne Kason nie miała NDE; nie było też mowy o braku tlenu. Nawet nie straciła przytomności.

– Kiedy przyglądamy się temu, co stanowi istotę ludzkich przeżyć – powiedziała, nawiązując do różnorodnych doznań duchowych, z którymi miała później do czynienia jako lekarz – ta istota coraz wyraźniej sprowadza się do tego samego. A zatem doświadczenie mistyka spędzającego długie godziny na modlitwie jest bardzo podobne do doznań medytującego jogina albo człowieka przeżywającego doświadczenie kresu życia, albo umierającego, który ma wizje na łożu śmierci. Według mnie to wszystko przebłyski tej samej duchowej rzeczywistości.

Ludzie stykają się z tym światłem nagle w momentach zarówno panicznego przerażenia, jak i skrajnej depresji. Beverly Brodsky, młoda Amerykanka pochodzenia żydowskiego z Filadelfii, w wyniku traumatycznego wypadku motocyklowego straciła w wieku dwudziestu lat połowę skóry twarzy. Do głębi przygnębiona, a na dodatek wciąż w żałobie po zmarłym ojcu, zaniósła do Boga, w którego nie wierzyła, gorzką modlitwę, prosząc, aby pozwolił jej zakończyć życie. „Ból był nie do zniesienia – napisała – żaden mężczyzna nigdy już mnie nie pokocha; nie mam po co żyć dalej”. I kiedy tak leżała odwrócona twarzą do pościeli na swym łóżku w wynajętym mieszkaniu w Los Angeles, „zstąpił na mnie jakiś niespodziewany spokój. Znalazłam się pod sufitem, unosiłam się nad łóżkiem... Nie zdążyłam nawet uświadomić sobie do końca, jak cudownie osobliwa była ta sytuacja – byłam sobą, ale nie w swoim ciele – kiedy dołączyła do mnie promienna istota skąpana w białej, połyskującej poświacie”. W towarzystwie tej istoty „odbyłam daleką podróż w górę, w stronę światła... Wyczułam w nim wszechogarniającą inteligencję, mądrość, współczucie, miłość i prawdę; ten Byt doskonały nie miał ani kształtu, ani płci – będę o nim mówić On, zgodnie z powszechnie przyjętą składnią. Zawierał w sobie wszystko, tak jak światło białe zawiera w sobie wszystkie kolory tęczy, które ukazują się nam, kiedy przechodzi przez

pryzmat. Głęboko w swoim wnętrzu nagle i cudownie zdałam sobie sprawę, że oto stoję przed Bogiem”.

– Rozmawiałam z ludźmi, którzy mieli pełnoobjawowe przeżycia duchowe – powiedziała mi Kason – ze wszystkimi cechami doświadczenia śmierci (NDE), a jednak nic im się nie stało. Weźmy mężczyzn, którzy walczyli w wojnach: granat upada tuż przed nimi. Są absolutnie pewni, że za chwilę umrą. „Tuż przede mną upadł odbezpieczony granat” i bum! Wchodzą w światło, a granat, o dziwo, wcale nie wybucha. Albo inny mężczyzna, który opowiadał mi o walkach w czasie drugiej wojny światowej. Jego samolot został zestrzelony. On wchodzi w światło, a pilotowi jakimś cudem udaje się wyprowadzić samolot z korkociągu i się nie rozbijają. W 1979 roku nawet nie wiedziałam, jak nazwać to, co mi się przydarzyło.

Czymkolwiek jest to zjawisko, jest niezwykle, potrafi wiele zmienić i popycha ludzi do działania dużo skuteczniej, niż może to zrobić przypływ endorfin czy trik nerwu wzrokowego. Prawdopodobnie wpływa też i zawsze wpływało na przekonania religijne, od kiedy istnieje ludzka świadomość.

*

W latach dwudziestych XX wieku niemiecki teolog Rudolph Otto[22] postanowił zmierzyć się z niemożnością zrozumienia, jak się to dzieje, że światło może jednocześnie być miłością, może też być wiedzą, może człowieka połączyć, razem z jego ego, w całości. Zaczął od wskazania, że ortodoksja religijna nałożyła na siebie niemal nieodwracalny obowiązek definiowania przeżyć religijnych w sposób racjonalny. Takie podejście prowadzi do odrzucenia najgłębszej istoty przeżycia duchowego, a mianowicie jego *niewysłowności*, nieprzekazywalności. Podobnie Inuici nie wiedzą, co to palma, a w społecznościach afrykańskich nie ma słowa opisującego śnieg. Takie doświadczenie, dopóki się go osobiście nie przeżyje, jest absolutnie nie do wytłumaczenia. To nie to samo, co

powiedzieć: „Masz wierzyć, ponieważ my tak mówimy”. To w istocie przeciwieństwo takiego stwierdzenia. Ujrzenie mistycznego światła jest doznaniem bezwzględnie oczywistym, kiedy się go doświadcza; niczego nie trzeba brać na wiarę, to przeżycie, które oszałamia, fascynuje. Ale kiedy nie miało się takiego doświadczenia, pozostają tylko nieprzekonujące, czcze słowa na papierze.

Słowo „świętość” oznacza dla większości z nas moralną, etyczną dobroć. Święty człowiek. Albo może „święta krowa”. Ten zwrot stracił znaczenie do tego stopnia, że stał się zwyczajnie śmieszny^[4]. Dla mistyków i szamanów świętość odnosi się do czegoś o zasadniczo głębszym znaczeniu, o wielkiej wartości, czegoś, co stanowi rdzeń wszystkich religii. Otto postanowił nazwać to „numinotycznością” od łacińskiego słowa *numen*, które można z grubsza przetłumaczyć jako bóstwo, majestat.

To, co numinotyczne, napisał „jest dla nas nie do pojęcia, ponieważ napotykamy tu coś zupełnie innego^[5]”. Numinotyczność zawiera element fascynacji, „dziwnego zauroczenia”. Jest w niej energia, „witalność, namiętność, emocjonalność, wola, siła, ruch”. To nie to, co można zobaczyć w filmie Clinta Eastwooda pod tytułem *Medium* (angielski tytuł *Hereafter*) – jeżeli w ogóle widzieliście ten film – w którym kobieta porwana przez falę tsunami w Tajlandii dostrzega mgliste, drgające postacie w rozmytym, białym świetle. W żadnym razie nie przekazuje to istoty tej siły i jej złożoności dynamicznej.

„O, gdybym tak potrafiła powiedzieć wam, co czuje serce, jak płonie, jak niszczy! – mówiła szesnastowieczna włoska mistyczka Katarzyna z Genui[23]. – Tylko że nie znajduję słów, aby to opisać. Mogę jedynie powiedzieć: gdyby choć jedna kropla tego, co czuję, wpadła do piekła, piekło zmieniłoby się w raj”.

Mimo że mistycy tak bardzo się starają, ich język zawsze sprawia wrażenie obcego, dziwacznie kwiecistego, tak jakby chcieli, aby brzmiał bogato i wymyślnie, a nie jakby nie znajdowali stosownych, wystarczająco dobrych słów na wyrażenie tego, co tak rozpaczliwie pragną przekazać. W swej ostatniej książce o halucynacjach[24] Oliver Sacks pisze, że ludzie doznający tego rodzaju przywidzeń widzą, słyszą i czują jedynie to, co jest im już

znane. Tymczasem, jak twierdzą ci, którzy zetknęli się z numinotycznością, jest to doświadczenie tak bezprecedensowe, że bardziej bezprecedensowe być nie może. Ludzie poświęcają całe lata życia, próbując znaleźć na tym świecie coś, co oddałoby ich oczarowanie, ich fascynację tym przeżyciem: wertują książki o sztuce, odwiedzają biblioteki, szukają muzyki, którą słyszeli, przeczesują galerie, licząc na wypatrzenie obrazu przedstawiającego światło, jakie widzieli. Ale koniec końców jedynym miejscem, gdzie to znajdują, jest ich dusza, w której wciąż pobrzmiwają echa tego, czego doświadczyli. *Miałam wrażenie, że byłam zagubiona przez wieki i wreszcie znalazłam drogę do domu.*

To właśnie to przekazują nam ci, których obecność wyczuwamy, a także umierający. „Idę do domu”. „Muszę iść do domu”. Pewna kobieta tak opisała dzień po śmierci swej matki: „Byłam w pracy, w szkole, siedziałam na dworze podczas przerwy i w pełni świadomie odbierałam to, co działo się wokół mnie. Korytarzem szli w moją stronę dwaj mężczyźni i wtedy ją zobaczyłam, tuż za nimi. Oparłszy się o ścianę, powiedziała: »Wróciłam do domu«”[25]. Czy to możliwe, że umierający i umarli próbują przekazać nam coś, co jest trudne do przekazania? Jesteśmy tak bardzo zajęci przekonywaniem, że w ogóle ich widzieliśmy lub słyszeliśmy, że nie mamy nawet kiedy zastanowić się, co mają na myśli.

„Wszystko jest podporządkowane charakterowi tej zniewalającej mocy[26] – napisał Otto na temat doświadczeń numinotycznych – a można się go domyślać tylko pośrednio przez ton i treść uczuciowych reakcji człowieka”. Przedstawił swą rozmowę z mnichem buddyjskim, którego poprosił, aby mu wyjaśnił, co to jest nirwana. „Odpowiedź przyszła po dłuższej chwili, prosta, cicha i powściągliwa: »Szczęśliwość... niewypowiedziana«. Cicha powściągliwość tej odpowiedzi, powaga głosu mnicha, jego zachowanie i gesty bardziej niż same słowa dawały do zrozumienia, co ma na myśli”. Tak samo jest z transformacją promieniującą z umierających, którą często obserwujemy. Cokolwiek by nie powiedzieli, nie byłoby to bardziej wzruszające niż to, co widzimy. Kiedy psychologowie Osis i Haraldsson prowadzili swoje badania nad wizjami na łożu śmierci w latach siedemdziesiątych XX wieku, wielokrotnie powtarzali im to lekarze i członkowie rodzin, świadkowie takiej transformacji. „Pacjenci reagowali na nieziemskie wizje nieziemskimi uczuciami[27] – napisali. – Żona górnika

umierała na bardzo bolesną odmianę raka. Była przytomna, kiedy powiedziała do pielęgniarki: »Maryja Dziewica! Jaka piękna!«, co pielęgniarka skomentowała: »Była jak w ekstazie – bardzo szczęśliwa«”.

Kiedy mówimy o uczuciu spokoju, możemy mieć na myśli wiele rzeczy. Kiedy mówimy o zadowoleniu czy szczęściu – podobnie. Powiedzieć jednoznacznie, że potok endorfin w krwiobiegu w reakcji na przerażenie to to samo co duchowa szczęśliwość, to jak powiedzieć, że miłość Romea do Julii jest tym samym co jego miłość do wuja albo do Werony. Pojęcia emocjonalne zatracają się w tłumaczeniu, stają się zbyt prymitywne, zbyt proste, zbyt łatwo definiować je błędnie. Nie mamy żadnego modelu, który ułatwiłby nam rozmyślanie o tych sprawach. A właściwie mamy, dzieła takie jak pisma Otto, ale naukowcy, którzy mówią dziennikarzom, jak myśleć o tym nieuchwytnym, a jakże potężnym doświadczeniu, są specjalistami w swoim własnym języku, nie w tekstach teologicznych. Są jednak naukowcy, którzy próbują zasypać tę przepaść.

Pod koniec lat dziewięćdziesiątych XX wieku Andrew Newberg, profesor radiologii na Uniwersytecie Pensylwanii, połączył siły z psychiatrą Eugenem D’Aquiliem w celu zbadania szczytowych doznań mistycznych u medytujących buddystów i sióstr franciszkanek. Obaj mężczyźni byli ciekawi, czy uda się dostrzec cechy charakterystyczne przeżycia duchowego, jego podpis neuronalny, coś, co odróżniałoby je od innych stanów emocjonalnych. Medytujących mnichów[28] i siostry zakonne poproszono, aby pociągnęli za sznurek (zostali wcześniej odpowiednio poinstruowani), kiedy dotrą w swych medytacjach lub modlitwach do momentu, w którym czują, że osiągają mistyczną świadomość, co miało być sygnałem dla badaczy, że należy uruchomić dożylnie podanie materiału radioaktywnego, który pokaże się w mózgu podczas badania SPECT. Po zastrzyku badani byli wywożeni z pomieszczenia, gdzie medytowali lub modlili się, do gabinetu z urządzeniem SPECT. Podczas gdy leżeli na brzuchu na stole, skaner, poruszając się wokół nich, szukał radioaktywnego znacznika. (Czy było to nieprzyjemne, czy rozpraszało uwagę? Tak, z pewnością! Ale znacznik zlokalizował szczytowe przeżycie, tak więc to, jak czuli się mnisi i zakonnice tuż potem, było z punktu widzenia nauki nieistotne).

Badania SPECT pokazały „ostre zmniejszenie” dopływu krwi do tylnej

części płacika ciemieniowego górnego[29], obszaru mózgu odpowiedzialnego za naszą orientację w przestrzeni. Kiedy ulega on uszkodzeniu[30], na przykład wskutek udaru, osoba chora nie jest w stanie powiedzieć, gdzie kończy się jej ciało, a gdzie zaczyna się to, co jest poza nim. Zagadnienia te są tematem autobiografii neurologa Jill Bolte Taylor *My stroke of insight*. W wieku trzydziestu kilku lat doznała ona nagłego i niespodziewanego udaru, który uszkodził tę część jej mózgu. Bolte Taylor nie potrafiła odróżnić swoich palców od telefonu, kiedy próbowała wykręcić numer alarmowy 911. W szybkim tempie zanikały wszelkie granice, wszelkie linie podziału. Tej funkcji mózgu potrzebujemy, zupełnie dosłownie, żeby, idąc ulicą, móc postawić jedną stopę przed drugą.

Zakonnice i medytujący mnisi potrafili tymczasowo jakoś uspokoić, może wręcz zablokować ten obszar mózgu, nie pozwalając dotrzeć do niego bodźcom sensorycznym, a przez to umożliwiając sobie doświadczenie tego, co zostało nazwane *Unio Mystica*[31], co odczuła Yvonne Kason jako zlewanie się, łączenie w jedno z wodą. (Albo jak to opisał niemiecki mistyk z XIV wieku, Johannes Tauler[32], dusza „tonie i pogrąża się w boskiej otchłani, i zatracą świadomość różnic między stworzeniami. Wszystko tworzy jedność z boską słodyczą, a jestestwo człowieka jest tak dogłębnie przeniknięte istotą świętą, że zatracą się w niej, tak jak kropla wody ginie w beczce mocnego wina”).

Podobnie jak o czującym świetle, tak i o tym uczuciu rozplływania się w jednej uniwersalnej całości wspominają wszystkie tradycje duchowe, od sufizmu przez taoizm po chrześcijaństwo. „Nie będziecie go kochać jako jego: nie jako Boga, nie jako ducha, nie jako osobę, nie jako obraz, lecz jako Tego Jednego Jedyne. I w Tym Jednym Jedyne mamy się zatopić, z nicości w nicość”, powiedział inny niemiecki mistyk z XIV wieku, Mistrz Eckhart[33].

„Widzieliśmy dowód, że zachodzi proces neurologiczny – napisali Newberg i D’Aquilli[34] – który wykształcił się po to, aby umożliwić nam, ludziom, wykroczenie poza egzystencję materialną, uznanie istnienia głębszej, bardziej duchowej cząstki nas samych i połączenie się z nią”. Na pytanie, czy ta cząstka nas samych znajduje się w mózgu, czy poza nim, nie potrafili odpowiedzieć. „W naszych badaniach osiągnęliśmy ten właśnie punkt –

stwierdził Newberg – i dalej nauka nas obecnie nie zaprowadzi. Tak więc mamy dwie wzajemnie wykluczające się możliwości: albo doświadczenie duchowe to nic więcej niż konstrukcja neurologiczna stworzona przez mózg i w nim się zawierająca, albo rzeczywiście istnieje stan absolutnego zespolenia, który opisują mistycy, a umysł rozwinął zdolność jego postrzegania. Nauka nie proponuje żadnego jasnego sposobu rozwiązania tej kwestii”.

Kolejne badania przeprowadzone przez montrealskiego neurobiologa Mario Beauregarda, polegające na obrazowaniu mózgu sióstr karmelitanek[35] za pomocą urządzenia fMRI, pokazały wyraźne wzorce aktywacji kilku obszarów mózgu, co pozwoliło odrzucić pojęcie „boskiego miejsca”, a poza tym potwierdziły odkrycia Newberga, który utrzymywał, że podczas przeżycia mistycznego mózg *robi coś zupełnie innego* niż wtedy, kiedy zapamiętujemy, śnimy lub coś sobie wyobrażamy. To naprawdę istotny punkt. Cokolwiek się tam dzieje, nie jest to podobne do innych stanów emocjonalnych czy psychologicznych i nie jest to po prostu produkt uboczny przypadkowej niewydolności neuronalnej. Ujmijmy to w inny sposób: jest całkiem prawdopodobne, że przeżyciu mistycznemu może uutorować drogę jakiś uraz, tak jak dziura w rufie Tytanica ułatwiła wlanie się do środka statku wody morskiej. Ale nie znaczy to przecież, że morze jest urojeniem.

Możemy powiedzieć, że z punktu widzenia osoby stykającej się z numinotycznością, słowo „halucynacja” nie bardzo nadaje się do opisu sensorycznej, emocjonalnej, moralnej i psychicznej złożoności tego, co się odbywa.

– To jak pierwszy skok do oceanu – mówi Kason. – Odczuwamy mnóstwo rzeczy. Czujemy, że jest mokry, czujemy że jest zimny, czujemy prądy. Można poczuć wodorosty, można poczuć sól. Chodzi mi o to, że odczuwa się wiele rzeczy naraz, które być może później uda się nazwać słowami. To było coś takiego, miało wiele aspektów. Światło, miłość, wyższa moc. Nie miałam *wątpliwości*, że zostałam... hm... jakby *objęta* przez wyższą moc. Skąd się to wie? Nie wiem, po prostu się wie. W objęciach tej miłości, tego światła, tej inteligencji po prostu wiedziałam, że dzieje się to, co się ma dzieć, właśnie tam. I naprawdę nie miało to znaczenia. Przepełniała mnie absolutna radość, absolutna miłość, absolutne zadowolenie.

Podobnie jak medytujący mnisi, którzy pozostawali na tyle świadomi, żeby pociągnąć za sznurek i uruchomić proces badania SPECT, tak i Kason była jednocześnie zorientowana zarówno na Światło, jak i na jezioro, śnieżycę oraz na pilota i pielęgniarkę, płynących gdzieś obok niej, a także na grożące jej niebezpieczeństwo fizyczne.

– Powiedziałabym, że część mojego umysłu pozostawała wciąż w ciele, ale większość mojej świadomości była poza nim. Przemieszczała się tam i z powrotem. To tak jak wtedy, kiedy gotujemy obiad, obserwujemy dzieci oglądające telewizję, rozmawiamy przez telefon i przez cały czas zdajemy sobie sprawę ze wszystkich tych trzech spraw.

Ten opis uzmysławiania sobie dwóch światów zgadza się z tym, co pielęgniarki i członkowie rodzin obserwują czasami w hospicjach. Pielęgniarka Maggie Callanan[36] wypowiedziała się na ten temat niedawno w wywiadzie radiowym:

– Na pewnym poziomie rozumieją oni, że to dziwne, to, że stoją jedną nogą w dwóch światach. Pamiętacie stare aparaty fotograficzne Brownie Hawkeye, gdzie, jeżeli nie przewinęło się filmu, wychodziły dwa zdjęcia na jednej klatce? Dwa obrazy na jednym filmie. Sądzę, że na tym polega to doświadczenie. Siedziałam i obserwowałam to godzinami, i uważam, że to jak dwa obrazy na jednej klatce. Część z tego, co mówią, dotyczy tego świata, a część świata, którego my nie widzimy.

– To było coś takiego jak poliekran w telewizji, to najlepszy opis, jaki potrafię wymyślić – powiedziała Kason. – Duży obraz to światło, a mały obrazek to ciało płynące do brzegu, przy czym światło było o wiele bardziej interesujące. – Roześmiała się. – Przez cały czas wiedziałam, że moje ciało tam jest, ale świadomość wędrowała do światła. W pewnym momencie, kiedy to ciało zaczęło tonąć, skierowałam na nie więcej uwagi. Pamiętam to, ponieważ byłam niezwykle spokojna, myśląc: „O tak, toniesz po raz trzeci”. – Przystawiwszy się znów na swój miotający się fizyczny kształt, Kason zobaczyła, tym razem na poziomie tafli jeziora, że prąd szybko unosi ją w kierunku zwałonej sosny. Jeżeli zdoła wykonać jeszcze dwa zamachy, prąd doniesie ją do drzewa (i tak się stało). – I dzięki temu przeżyłam, bo nie miałam już siły, żeby przepłynąć ostatnie kilka metrów do brzegu. – Do brzegu doniósł ją prąd.

Przez następne pół godziny Kason i pilot Gerry Kruschenske leżeli omdlewający na skraju jeziora w okolicy Devil's Elbow, gdy tymczasem pielęgniarka Sally Irwin, szczęśliwie nadal żywa, wciąż przebywała w wodzie, kurczowo trzymając się dryfującego drewna. Ich sygnał SOS został przyjęty przez przelatujący nad nimi odrzutowiec i piloci przekazali wiadomość do pobliskiego miasteczka Kenora. Podjęto skomplikowaną i bohaterską akcję ratowniczą z wykorzystaniem helikoptera, w wyniku której dwaj jego piloci otrzymali nagrodę za męstwo i to oni de facto znaleźli się w centrum relacji medialnych, a bardzo osobiste, duchowe doświadczenie Kason umknęło z pola widzenia. W drodze do szpitala Kason na zmianę traciła i odzyskiwała przytomność i wciąż unosiła się ponad swoim ciałem. Była w stanie poważnej hipotermii. Pielęgniarki z izby przyjęć najpierw okryły ją lekkim kocem.

– Nagle – powiedziała mi – przemówiło moje ciało. Ja sama nie miałam zamiaru się odzywać. „Oj, przydałoby się gorąca kąpiel”, wyartykułowało. Ewidentnie to coś wyższego przemówiło moimi ustami, radząc im, co mają robić. Jakim sposobem moje ciało to powiedziało, kiedy ja nawet o tym nie pomyślałam? – Kason nie była wyszkolona w zakresie leczenia hipotermii. – Obecne tam pielęgniarki stwierdziły, że, kto wie, może to pomoże, i zabrały nas na oddział fizjoterapii na hydromasaż. Kiedy wsadziły mnie do wanny, poczułam się jak dzin wsysany z powrotem do butelki. Nagle wróciłam, w pełni. To było jak poznanie zakończenia opowieści, bo do tej pory nie wiedziałam, jak się to skończy.

Skończyło się życiem, oświeconym.

ROZDZIAŁ 6

Pochłonięty:
Dokąd idą umierający?

Nie ufam morzu. Razem z siostrą spędziłyśmy kiedyś Boże Narodzenie w domku letniskowym na najbardziej na zachód wysuniętym krańcu wyspy Vancouver, niedaleko Tofino. Odnosiłam wrażenie, że ryczący Pacyfik w czasie zimowego sztormu, kiedy woda wyrzucała na plażę piętnastometrowe kłody, miał niemal siłę tornada. W tym oceanie tonął swego czasu David Bennett[1].

Bennett pochodzi z Syracuse w stanie Nowy Jork. W 1983 roku miał dwadzieścia siedem lat i pracował jako główny inżynier okrętowy na statku badawczym Aloha, którego właścicielem była firma International Underwater Contractors z Kalifornii. Pewnego dnia na początku marca pogoda pod wieczór zaczęła robić się coraz bardziej sztormowa, a morze coraz bardziej niespokojne. Załoga Alohy spędziła ten dzień, testując zdalnie sterowany podwodny pojazd w towarzystwie jego producenta, ale teraz stwierdzono, że morze jest zbyt wzburzone, żeby bezpiecznie doprowadzić statek z powrotem do portu w Ventura. Poproszono Bennetta, aby odwiózł producenta i kilku członków załogi na brzeg pontonem marki Zodiac, łodzią na tyle elastyczną, że wytrzymała uderzenia fal. Na morzu zrobiło się bardzo ciemno. Bennett, stojąc na dziobie, rozglądał się w poszukiwaniu przystani, ale wiatr nawiewał słoną wodę wprost w jego twarz, a tymczasem olbrzymie fale Pacyfiku wytrąciły Zodiaka z kursu i popychały go w stronę ławicy piasku położonej półtora, może dwa kilometry na południe od portu Ventura. Rozbijając się o mieliznę, woda tworzyła tam potężne grzywacze.

Zanim zdołali powrócić na pełne morze, żeby okrążyć piaszczystą łacę, podniosła się fala, po czym wywinęła się i runęła wprost na nich, składając Zodiaka na pół i roztrzaskując podłogę z włókna szklanego. Bennetta wyrzuciło w gargantuiczną morską kipieli.

– To była najbardziej zaciekle, najbrutalniejsza siła, jaka kiedykolwiek zaatakowała moje ciało – powiedział później.

Ocean go pochłonął i Bennett nie miał pojęcia, w którą stronę ruszyć, żeby wydostać się na powierzchnię. Stara, płócienna kamizelka ratunkowa nasiąkała wodą jak gąbka, uniemożliwiając mu wypłynięcie.

– Wieloletnie doświadczenie w nurkowaniu nauczyło mnie, że nie wolno wpadać w panikę, bo jeżeli spanikujesz, na pewno umrzesz. Zdążyłem się też zorientować, że w niebezpiecznych sytuacjach zawsze dzieje się ze mną coś dziwnego. Spływa na mnie poczucie spokoju, jasność myśli, co pozwala radzić sobie z niebezpieczeństwem. Wiedziałem więc, że nie powinienem próbować wypływać na powierzchnię, bo mógłbym płynąć w złym kierunku. Ciśnienie w uszach mówiło mi, że jestem głęboko pod wodą, za mielizną. – Zaczęło mu brakować tlenu. – W szkole nurkowania musiałem doświadczyć, co to znaczy brak tlenu, ale w bezpiecznym i kontrolowanym środowisku. Instruktor powoli zmniejszał ilość tlenu dochodzącą do hełmu nurkowego, tak że oddychając, jedynie zwiększało się ilość dwutlenku węgla. – Pamiętając, jak to było na szkoleniu, Bennett zaczął uświadamiać sobie, że może umrzeć. – Nie mogłem już dłużej wstrzymać oddechu i nie potrafiłem odnaleźć drogi na powierzchnię. Dokładnie pamiętam pieczenie, dławienie się i ból w płucach, kiedy wdychałem słoną wodę i przeżywałem agonię. Ale ta agonia szybko się rozplynęła, wtopiła w ciemność.

Z ciemnością przyszła cisza albo, jak to trafniej określił Bennett, „wstrząsająca nieobecność hałasu”. Biorąc pod uwagę to, przez co przed chwilą przeszedł, niemal ogłuszający ryk fal i szaleńcze dudnienie jego tętna, ten brak jakichkolwiek dźwięków musiał być niezwykle. Zauważył też, że przestało mu być tak zimno. Zastanawiał się, czy to kolejne stadium odczuwania braku tlenu, z jakim nie zetknął się na szkoleniu. Czy to był sen? Przez cały ten czas nie stracił przytomności.

Nagle Bennett zaczął „wyczuwać powiązanie” z ciemnością. To było jakby coś więcej niż zwyczajna ciemność i cisza; to coś miało zabarwienie emocjonalne. Jak to możliwe?

– Chociaż nie do końca potrafiłem uchwycić znaczenie tego, co odbierałem, czułem, że coś się wokół mnie dzieje. – Uświadomił sobie, że widzi pole światła, które robiło się coraz jaśniejsze i zaczęło go otaczać, aczkolwiek nie potrafił powiedzieć, czy to on ruszył w jego kierunku, czy może ono przysunęło się do niego.

– W miarę jak zbliżałem się do światła, zaczynałem je *czuć*. – To całkowicie niespodziewane doznanie wciąż się nasilało, kiedy poświata, sama z siebie, stawała się coraz bardziej promienista. – To Światło było jaśniejsze niż

jakiegokolwiek światło, które kiedykolwiek widziałem. Jako główny inżynier na statku miałem wielokrotnie okazję używać spawarki łukowej. Światło emitowane przez łuk jest tak jasne, że trzeba wkładać okulary ochronne, żeby móc na nie patrzeć i nie poparzyć oczu. To obecne światło było jeszcze jaśniejsze, a mimo to mogłem w nie patrzeć bez problemu.

(Taką uwagę powszechnie przekazują osoby mające tego rodzaju doświadczenia. Na to światło, które powinno zmuszać do mrużenia oczu lub cofnięcia się, jak to ma miejsce w wypadku światła słonecznego odbijającego się od śniegu, można patrzeć bez bólu).

Na tym etapie podwodnej przygody, kiedy nie miał już powietrza i wdychał ocean, Bennett powinien był stracić przytomność, umrzeć albo przynajmniej wpaść w stan poważnego splątania. On natomiast odkrył, że widzi wyraźniej niż kiedykolwiek dotychczas (na co dzień nie widział dobrze bez okularów) i co więcej, mógł jednocześnie patrzeć w wielu kierunkach, co uznał za fascynujące.

W pewnym momencie uświadomił sobie, że zlewa się w jedno z tym światłem – że sam stał się światłem. Zaakceptował tę transformację, czując głębokie wewnętrzne poruszenie i podziw.

– Zawsze kiedy tłumaczę to, czego doświadczyłem w świetle, czuję dotyk miłości, która temu towarzyszyła. Wciąż wywołuje to we mnie niewiarygodne emocje, nawet po tylu latach. – Zastanawiał się nad różnicą pomiędzy takim numinotycznym doświadczeniem miłości a tym, co czujemy na co dzień. – W świetle, bez ciała, umiałem poradzić sobie z tym poziomem miłości, ponieważ fizyczną stronę uczuć pozostawiłem za sobą... W naszym fizycznym ciele czujemy podniecenie w żołądku, miłość przyprawia o zawroty głowy. W świetle czułem miłość, radość, namiętność i podniecenie bez sensacji fizycznych. Nie miałem żadnej fizycznej reakcji, która skłaniałaby do powiedzenia: „Od tego czegoś chciałbym się zdystansować”, „Nie jestem gotów” albo „Nie jestem godzien”.

Inna reakcja, jakiej można by oczekiwać, to oczywiście strach przed zatraceniem się w tym zespole, przed wyrzeczeniem się swej niezależności i tożsamości. To z tego powodu najbardziej dystopijna proza, od Orwella przez Koestlera po Madeleine L'Engle, rozwodzi się na temat

perspektywy przymusowego konformizmu i gromado-myślenia. Stać się mrówką w kolonii, rybą w morzu, kroplą w oceanie światła – to dla nastawionych wielce indywidualistycznie ludzi Zachodu przerażające pomysły. Jednak w *unio mystica* zatracenie się nie jest odczuwane jako coś przerażającego. Wprost przeciwnie, nagle staje się zrozumiałe, że odrębność to złudzenie, z którym żyliśmy przez całe swoje życie.

Dziennikarz Ptolomy Tompkins[2] opisał to niedawno z perspektywy buddyzmu: „Bez względu na to, czy znajdujemy się aktualnie w ciele fizycznym (człowieka, zwierzęcia albo istoty nadprzyrodzonej), czy też – według wierzeń buddystów – w czterdziestodzieściomiodniowym okresie dzielącym jedną inkarnację od następnej, wszyscy zapominamy o absolutnie podstawowej sprawie: nikt – ani my, ani jakiś inny człowiek, ani żadna rzecz, właściwość czy sytuacja w całym wszechświecie – nie ma jakiegokolwiek ukrytej, odrębnej egzystencji”. Tompkins przyrównuje tę egzystencjalną amnezję do swego powracającego snu, w którym znajduje się on w szkole średniej, przerażony, że ma właśnie pisać sprawdzian, a nie jest do niego przygotowany. To uczucie jak najbardziej odpowiada sytuacji, klasa jest przyszykowana, cały scenariusz się zgadza poza tym, że już od trzydziestu lat Ptolomy nie chodzi do szkoły. To podstawowa brakująca informacja. Możemy bez reszty uwierzyć w rzeczywistość, nie zdając sobie w ogóle sprawy, że pomijamy jakiś absolutnie oczywisty fakt, bez względu na to, co to za fakt. W naszych rozważaniach tym brakującym ogniwem jest to, że jesteśmy nierozzerwalnie połączeni. Jak pisze Sogyal Rinpoche[3] w swej *Tybetańskiej Księdze Życia i Umierania*: „pamięć o naszej wewnętrznej naturze, z całym jej blaskiem i wiarą w siebie, zaczyna do nas powracać”.

Alan Ross Huguenot, inżynier z San Francisco, który miał doświadczenie śmierci (NDE)[4] po wypadku motocyklowym, doszedł do wniosku, że przeżycie to pozwoliło mu zrozumieć, dlaczego ludzie wolno umierający w hospicjach najwyraźniej „wiedzą”, kiedy umrą. To nie jest przeczucie. „To twoja decyzja – zawyrokował, mając na myśli umierających przemieszczających się tam i z powrotem między światami. – Zaczynasz odczuwać spokój, wiedząc, że idziesz do domu i świadom spokoju, który ma dopiero nadejść, przestajesz podejmować wyczerpujące wysiłki służące podtrzymaniu złudzenia (odrębności)”. Interesująca myśl. Jeżeli chcemy zrozumieć, co umierający nam pokazują albo co nam przekazują, to

oczywiście nie zaszkodzi posłuchać tych, którzy doświadczyli NDE.

Do doświadczenia własnej śmierci (NDE) przyznaje się 12 do 18 procent amerykańskiej populacji. Przypadki te różnią się od tego, co przydarzyło się Ivonne Kason o tyle, że mają one miejsce *fizycznie* na pograniczu śmierci[5], czyli podczas tonięcia, zatrzymania akcji serca, śpiączki. Warto odnotować, że 90 procent osób, które przeżyły nagłe zatrzymanie krążenia, nie pamięta, co wydarzyło się przed resuscytacją i po niej z powodu urazu mózgu, a zatem prawdziwa częstość występowania NDE pozostaje nieznana. Interesujące przeżycie miał Tony Cikes, czterdziestodwuletni pośrednik w handlu nieruchomościami z Vancouver, który nie pamięta, że jego serce zatrzymało się na dwie minuty podczas rutynowej operacji w 2011 roku. Ale kiedy odzyskał przytomność, „wiedziałem, że coś ocaliło mi życie. To było dziwne uczucie. Spadałem i zupełnie nie potrafiłem tego wytłumaczyć. Czułem, że ktoś ocalił mi życie, chociaż nie wiedziałem, co się stało. Nie miałem pojęcia, że moje serce przestało pracować”. Po przebudzeniu odkrył w sobie nagły przypływ litości i nie mogąc znaleźć innej nazwy, określił to, co czuł jako energię. Pielęgniarka, która się nim opiekowała, kiedy dochodził do siebie, była pierwszą odbiorczynią tego jego nowego daru. „Chciałem jej pomóc. Przebudziłem się jako człowiek pełen współczucia. Czułem w sobie miłość. Lekarze byli zaskoczeni”.

Psycholog Carlos Alverado[6], który napisał szereg prac na temat doświadczenia śmierci, ustalił, że częstotliwość występowania NDE wynosi 17 procent. Aby zdecydować, które przypadki uznać za autentyczne doświadczenie śmierci[7], wykorzystał specjalną skalę opracowaną przez psychiatrę z Uniwersytetu Wirginii, Bruce’a Greysona, szefa Zakładu Badań nad Percepcją (Division of Perceptual Studies) i wieloletniego wydawcę kwartalnika „Journal of Near-Death Studies”. Skala ta składa się z szesnastu elementów, takich między innymi jak uczucie spokoju, wrażenie, że jest się otoczonym przez światło, doświadczenie kosmicznej jedności, odczucie, że wkracza się w inny świat, w inny krajobraz, spotkanie innych istot, dokonanie przeglądu życia i nowe postrzeganie świata, nowa wiedza. Doświadczenie śmierci uważane jest za klasyczne, kiedy występuje więcej niż siedem z szesnastu elementów. Im więcej ich się pojawi, tym doświadczenie jest głębsze. U Davida Bennetta, którego pochłonął ocean, było ich dziesięć.

Po wtopieniu się w światło Bennett napotkał jakieś postacie, które potrafił opisać tylko z grubsza jako sylwetki, jako coś, co było tam obecne i co emitowało „fale miłości i współczucia”. Chociaż nie rozpoznał nikogo konkretnego, odbierał te „obecności” jako rodzinę, a w każdym razie jako kogoś bardziej mu znanego niż ludzie, z którymi był związany w swym codziennym życiu. Jako rodzinę duchową.

– Wiedziałem, że jestem w domu i nie podlegało to wątpliwości – powiedział, powtarzając to, co mówili przed nim inni – i było to wyjątkowo wspaniałe uczucie.

W towarzystwie tych istot Bennett dokonał następnie przeglądu swojego życia.

– Czy zajęło to dwadzieścia siedem lat? – zapytałam go, kompletnie nie potrafiąc sobie wyobrazić, czego może wymagać taki przegląd.

– Czas nie istnieje (w tym doświadczeniu) – odparł. – To jedna z tych rzeczy, które trudno mi było pojąć. Nie spotkałem się (w literaturze) z niczym, co należycie opisywałoby poczucie ponadczasowości. Szczegóły (z mojego życia) były bardziej soczyste i barwne niż w samym życiu. To były moje interakcje, a także interakcje innych osób. Nie ogranicza nas nic. Byłem w stanie wyobrazić sobie różnorodne strumienie doświadczeń.

Czasami czuł się zażenowany tym, co miały okazję zobaczyć otaczające go istoty przyglądające się jego życiu – tym, jak to niejednemu nadeptał na odcisk, żeby w tak młodym wieku zostać głównym inżynierem, tym, jak traktował niektórych ludzi, tym, jak twarde było jego wychowanie w rodzinie zastępczej. Ale te istoty nie wydawały żadnych sądów.

– Komunikowały się, emitując pełną zrozumienia, dodając otuchy energię, przekazując więcej informacji w milisekundzie niż w naszych (normalnych) myślach gromadzi się w ciągu całego dnia. – Najbardziej fascynującą częścią tej analizy życia była możliwość spojrzenia na nie z perspektywy tych, których uraził. Podał mi przykład baru, gdzie ponoć był, o czym ledwie pamiętał, i gdzie wdał się w bójkę z jakimś źle do niego usposobionym przeciwnikiem, którego szyderstwem sprowokował do walki. Brał udział w wielu burdach, ale teraz, patrząc na to, poczuł energię psychiczną, jaką

wyzwalala jego agresja i poczul tez rozgoryczenie, jego gorzki, przykry zapach.

Bennett miał w pewnym sensie szczęście, bo w ciągu swoich dwudziestu siedmiu lat wymierzył jedynie parę ciosów, pełną parą wspinał się po szczeblach kariery i od czasu do czasu zachowywał się jak dupek. Pewien mężczyzna, handlarz bronią z Kalifornii, który sprzedawał swój towar w Ameryce Łacińskiej, miał doświadczenie śmierci, kiedy w 1984 roku trafił go piorun[8]. Dokonując przeglądu życia, czuł ból każdej rodziny, która straciła kogoś, kogo zamordowano jego bronią. Po NDE został wolontariuszem w hospicjum.

Podczas takiej analizy życia pojawiają się również drobne uprzejmości[9], co pozwala nam uzmysłwić sobie, że miłość i współczucie są tym, co neurochirurg Eben Alexander, który miał NDE w 2008 roku, nazwał „absolutną kwintesencją”. Bennett nie pamiętał już swoich relacji z pewną kobietą, która pokazała się w jego obrachunku z życiem.

– Kiedy byłem młody – powiedział – bywałem bezczelny. Pracowałem kiedyś w sklepie rzeźniczym i polubiłem pewną panią, a była to najgorsza zrzęda w okolicy. Ale z jakiegoś powodu przypadła mi do gustu. Przez wiele miesięcy miała u mnie specjalne względy. – Przeważnie starał się nakłonić ją do uśmiechu, po to tylko, żeby zobaczyć, czy mu się uda, taka mała gierka. – Ale kiedy miałem okazję powtórnie się temu przyjrzeć, przekonałem się, jak wzruszały ją wszystkie moje drobne próby przypodobania się.

Minął milion lat, a może nie minęła nawet jedna chwila, dwadzieścia siedem lat albo może pięć sekund, kto wie, kiedy Bennett nagle usłyszał „czysty wyraźny głos, który nie emanował z moich (istot)”.

– Czuję, że wychodzi z samego Światła. Przestałem zwracać uwagę na swoje przeżycia i na towarzyszącą mi grupę. Uważnie słuchałem niewiarygodnie czułego głosu, który powiedział mi: „To nie twój czas; musisz wrócić”.

Bennett był już wówczas od kilku minut głęboko pod wodą. Jego ręka zaplątała się w cumę dziobową zwisającą ze zniszczonego Zodiaka, kołyszącego się na powierzchni oceanu. Kiedy fala popchnęła ponton, wciąż

przyczepiona do niego lina szarpnęła Bennetta w górę, powodując zwichnięcie barku i kciuka, ale jednocześnie wyciągając go powyżej tafli wody. Obserwował to spoza swojego ciała, a potem zobaczył jeszcze, jak kolejna fala cisnęła nim o ponton z taką siłą, że nastąpiło gwałtowne wyrzucenia wody z jego płuc – podobna sytuacja może mieć miejsce, kiedy na przykład po ciosie zapiera nam na chwilę dech w piersiach, po czym raptownie wypuszczamy powietrze. W tym momencie poczuł „nagły przepływ brzęczącej wibracji” i zorientował się, że odzyskał przytomność w swoim zimnym, gęstym, poranionym, dyszącym ciele. Był to również szok psychiczny.

– Oddzielenie się od Światła i ponowne wstąpienie we własne ciało było najtrudniejszym zadaniem, jakie kiedykolwiek kazano mi wykonać. To było bardziej bolesne niż tonięcie.

Podróżni, którzy byli razem z Bennettem w pontonie – wszyscy przeżyli – przegrupowali się i zaczęli razem z nim płynąć do brzegu, trzymając się kawałka łodzi i kopiąc nogami. Byli zbyt wstrząśnięci i wyczerpani, żeby ze sobą rozmawiać, zarówno kiedy leżeli na piasku wyzuci z sił, jak i potem, kiedy szli w stronę szosy, żeby zatrzymać jakiś samochód, który dowiozłby ich do przystani, gdzie czekała furgonetka Bennetta. (Jeden z członków załogi nastawił Bennettowi bark). Bez słowa dojechali do Santa Barbara. Było już po północy. Żona Bennetta, o czym on nie wiedział, obudziła się właśnie z koszmarne snu, w którym jej mąż zginął. Kiedy pojawił się w mieszkaniu, przemoczony i cały w piasku, domyśliła się z grubsza, co musiało się wydarzyć: albo jakiś człowiek znalazł się za burta, albo wywrócił się statek.

– Próbowала mnie wypytywać, uzyskać jakąś relację. Nie odpowiadałem, ponieważ nie mogłem przestać myśleć o swoim przeżyciu. W końcu powiedziałem: „Hon, myślę, że umarłem tego wieczoru”. To wyznanie przstraszyło ją tak bardzo, że mnie uderzyła. Później mówiła, że zrobiła to, bo myślała, że wciąż jestem w szoku.... – Ale Bennett uznał to za gest dezaprobaty, natychmiastowej i absolutnej. Za próbę zatrześnięcia puszki Pandory.

– Zamknąłem się na jedenaście lat – powiedział. – To było dla mnie za wiele, to było przytłaczające. Nie potrafiłem stawić temu czoła. – To stwierdzenie

przywołało mi na pamięć kolejny fragment poezji T.S. Eliota: „A myśmy, w wieńcach, które boginki starannie / Wiły z glonów, w komnatach morza spali, niemi, / Aż nas zbudziły ludzkie głosy, i toniemy...^[6][10].

*

Te ludzkie głosy potrafią być bardzo donośne, kiedy ich właściciele podejmują próby znalezienia czysto naukowego wytłumaczenia doświadczenia śmierci. Od czasu, kiedy zostało ono po raz pierwszy formalnie opisane w 1975 roku w książce psychiatry Raymonda Moody'ego *Życie po życiu*, przedstawiono wiele różnych teorii, podobnie jak na wiele sposobów próbowano wyjaśnić zjawisko „trzeciego człowieka”, od kiedy Shackleton opisał swój pobyt na Antarktydzie na początku XX wieku. NDE przypisywano psychopatologii, zaburzeniom gazometrii krwi, zakłóceniom snu i zmianom aktywności mózgu w obliczu zbliżającej się śmierci. Każda teoria, bez względu na to jak niepewna, niezmiennie trafia do mediów z nagłówkiem: „Tajemnica NDE wyjaśniona”. Teraz, kiedy to piszę, do mojej skrzynki listonosz wrzuca właśnie numer „Guardiana” z artykułem zatytułowanym „Doświadczenie śmierci: ostatnie hura mózgu”[11], opisującym nowe badania, które pokazują, że po sztucznym wywołaniu zawału serca u szczurów aktywność elektryczna mózgu[12] tych gryzoni trwa jeszcze przez trzydzieści sekund po śmierci. „Aha! – żartuje Eben Alexander. – No więc w końcu to odkryliśmy!”

Niewielka liczba naukowców, którzy dogłębnie angażują się w badania nad NDE i pilnie śledzą osiągnięcia w tej dziedzinie, jest na ogół źle nastawiona do daleko idących, zbyt ogólnikowych wniosków. Badacze ci twierdzą, że siła i złożoność NDE nie zostały jak dotychczas wyjaśnione w satysfakcjonujący sposób. Wokół ludzkiej świadomości roi się od tajemnic.

„Najważniejsze zastrzeżenie co do trafności wszystkich tych hipotez – pisze

psychiatra Bruce Grayson – dotyczy faktu, że jasność umysłu, żywe obrazy sensoryczne, pamięć o tym przeżyciu i przekonanie, że było ono bardziej realne, niż to, co podsuwa nam zwyczajna świadomość, są w wypadku NDE normą”[13]. Doświadczenia te zdarzają się w stanach mózgu, które nie powinny ani trochę sprzyjać jakiegokolwiek spójnemu procesowi myślowemu, niezależnie od tego, czy nazwiemy ten proces snem, wspomnieniem czy wymyślnymi halucynacjami. Nauka musi nas dopiero przekonać, jak to wszystko jest możliwe. Poważne uszkodzenia mózgu związane z niedotlenieniem czy głębokim uspokojeniem polekowym nie stwarzają właściwych warunków dla formułowania trafnych sądów.

Jane Smyth[14], emerytowana nauczycielka z Pensylwanii, miała doświadczenie śmierci w 1952 roku, zanim w ogóle takie pojęcie się pojawiło.

– Myślałam, że jestem jedyną osobą na całym świecie, której coś takiego się przytrafiło – powiedziała – i nie mogłam zrozumieć dlaczego. – Jane jest atrakcyjną, elegancko ubraną kobietą i wypowiada się bardzo rzeczowo.

Było to podczas porodu jej drugiego dziecka.

– Używano wtedy, w tamtych odległych czasach, specjalnego urządzenia do znieczulania trichloroetylenem. Była to bransoletka zakładana na nadgarstek ze stożkowatym aplikatorem w kształcie otworu nosowego. Kiedy bóle porodowe robiły się tak silne, że trudno je było znieść, rodząca wprowadzała aplikator do nosa, brała wdech i na kilka sekund traciła przytomność. Pamiętam, że po szczególnie bolesnym skurczu sama włożyłam go sobie do nosa i wciągnęłam tyle powietrza, ile byłam w stanie, a kiedy już wykonałam tę inhalację[15]... – Okazało się, że przyjęła zbyt dużą dawkę środka znieczulającego, podobnie jak Michael Jackson. Nastąpiło zatrzymanie akcji serca i lekarze przystąpili do natychmiastowej resuscytacji.

Ale nie tego doświadczyła Jane Smyth.

– Czułam, czułam, że wychodzę ze swego ciała, przez czubek głowy i unoszę się w górę. Byłam w totalnych ciemnościach. Nie widziałam tunelu. Pomyślałam, że coś jest nie tak, że powinnam być nieprzytomna, a wciąż nie zasnęłam. Coś się nie udało; nie wiem, co to jest. I wtedy w mgnieniu oka

znalazłam się w jakiejś szarej mgle i od razu wiedziałam, co się stało.

Głos Smyth nabrał w tym momencie melodyjności, pobrzmiwało w nim zdumienie, a może zachwyty, kiedy wspominała tę chwilę.

– Pamiętam dokładnie, że pomyślałam: „Wiem, co to jest, *umarłam*. Umarłam”. I ogarnęła mnie wielka radość, ponieważ nie zostałam unieczniona. „To ciągle ja, ciągle tu jestem”, uświadomiłam sobie i poczułam głęboką wdzięczność.

Uderzające w opisach NDE jest to, że opowiadania o tymże doświadczeniu są spójne, poczynając od fazy świadomości aż do utraty przytomności. Smyth wiedziała, że rodzi, że jest na porodówce, że aplikuje sobie gaz, a potem zaczęła się zastanawiać, dlaczego nie czuje już bólu, chociaż nie jest nieprzytomna. W dalszym ciągu zachowała resztki świadomości, tak jak to było w przypadku Davida Bennetta.

– Pamiętam radość wylewającą się z mojego wnętrza – powiedziała – i kiedy to się działo, szara mgła rozproszyła się i wszystko stało się olśniewającym białym światłem.

W czasie, kiedy doświadczyła śmierci, czyli w latach pięćdziesiątych XX wieku, lekarze przekonywaliby, że miała halucynacje wywołane środkiem znieczulającym. Wiadomo obecnie, tłumaczy anestezjolog Stuart Hammeroff z Uniwersytetu Arizony, że około dwóch procent pacjentów doznaje halucynacji na krótko przed wybudzeniem się ze znieczulenia ogólnego, ale treść ich przywidzeń jest chaotyczna i przypadkowa. Utrata przytomności pod wpływem środków znieczulających, co zarejestrowano za pomocą EEG, jest „związana z poważnym zmniejszeniem aktywności mózgu...”.

Entuzjastyczna reakcja Smyth na otaczającą ją miłość zrobiła się tak intensywna, że kobieta zaczęła się obawiać, że za chwilę może się rozpaść. Jakby to wyczuwając, światło przyciemniło się troszeczkę, po czym ukazało jej albo może odkryło przed nią cudowną łąkę mieniącą się barwami, jakich nigdy przedtem nie widziała.

– Kolory były niezwykle – stwierdziła. Na grani powyżej łąki zobaczyła jakieś postacie, do których podeszła i z którymi nawiązała kontakt bez słów.

– Był tam blok wiedzy – kontynuowała, ponownie dotykając elementu, który najwyraźniej pojawia się w przypadkach głębszego doświadczenia śmierci – albo jak później podejrzewałam, było to pole jakiegoś rodzaju, które weszło we mnie i ulokowało się tam w całości, i nagle wiedziałam, że jestem wieczna, że jestem niezniszczalna, że istniałam zawsze i że zawsze będę istniała. Nie było *końca*, nie było końca.

Smyth doszła do siebie po NDE, urodziła zdrową córeczkę i nic nikomu nie powiedziała o swoim doświadczeniu śmierci przez dwadzieścia pięć lat. Kiedy słuchałam jej relacji, minęło już ponad pięćdziesiąt, a i tak w miarę jak rozwijała opowieść, wyraz jej twarzy stopniowo się odmieniał, promieniła radością. Jej historia był pierwszą, jaką usłyszałam po śmierci mojego ojca i mojej siostry i poczułam się tak bardzo podniesiona na duchu, że uściskałam Smyth. (Odwzajemniła uścisk ze zdziwieniem i rozbawieniem). Byłam jedynie zawiedziona, że nie znalazło się w jej opowiadaniu nic o spotkaniu z siostrą, która odeszła przed nią.

Im bliżej końca są osoby przeżywające NDE – jeżeli na przykład znajdują się w stanie śmierci mózgowej[16] lub doszło u nich do nagłego zatrzymania krążenia – tym bardziej prawdopodobne jest ich spotkanie ze zmarłymi w trakcie tego niezemskiego przeżycia, jak pokazują wyniki badań Emily Kelly, psychiatry z Uniwersytetu Wirginii. Wydaje się, że podobną rolę odgrywają zmarli w wizjach na łożu śmierci: pojawiają się, aby zabrać ze sobą umierającego. De facto umierającym mogą przytrafić się oba te zjawiska. Śmiertelnie chorzy na oddziałach opieki paliatywnej miewają NDE na wiele dni, a nawet tygodni przed zgonem. Zdarza się, że napotykają osoby, o których śmierci w ogóle nie wiedzą. A zatem nie chodzi tu po prostu o oczekiwanie takiego widzenia. Dziewięcioletni chłopiec chory na zapalenie opon mózgowych[17] wybudził się ze śpiączki i powiedział rodzicom, że widział swoją kilkunastoletnią siostrę, która w rzeczywistości właśnie zginęła w wypadku samochodowym – o czym nie miał pojęcia ani chłopiec, ani rodzice. Stwierdzono, że zwłaszcza dzieci po NDE spontanicznie rozpoznają zmarłych krewnych na fotografiach[18] w albumie rodzinnym, co opisano ze szczegółami w wielu badaniach. „Kolejne uderzające odkrycie – mówi holenderski kardiolog Pim van Lommel – dotyczy tego, że istnieje znacznie większe prawdopodobieństwo, iż ludzie z głębokim NDE[19], a tym bardziej ci z bardzo głębokim NDE, umrą w ciągu trzydziestu dni od zatrzymania

akcji serca, choć pod względem medycznym niczym nie różnią się od innych pacjentów. Nie potrafię podać zadowalającego wytłumaczenia tego zjawiska”.

Okolo 56 procent mieszkańców Zachodu, którzy mieli NDE, przeżyli je, opuściwszy swoje ciało[20]. Pewien mały chłopiec doznał w wypadku samochodowym ciężkich obrażeń głowy i spędził wiele miesięcy w śpiączce[21], a kiedy się wybudził i odzyskał świadomość, okazało się, że ma zaburzenia mowy i jest permanentnie upośledzony umysłowo. Mimo wszystko pamiętał swój pobyt w szpitalu i tak go wspominał: „Czułem, że moje wnętrze, czułem, że moje wnętrze było w górze jak duch i czułem, że moje wnętrze zostało ze mnie wyjęte. Czułem, jakbym wychodził, jakby moje wnętrze wychodziło ze mnie i czułem się, czułem się prawie jak manekin, że moje ciało było jak manekin, a ja byłem na zewnątrz”. (Dwa lata po wypadku, kiedy zaszedł na OIOM, gdzie był leczony, zanim wywieziono go w inne miejsce na okres śpiączki, pomaszerował od razu we właściwym kierunku, wprost do konkretnego łóżka).

Inne cechy doświadczenia śmierci są bardziej zróżnicowane. Na przykład ludy tubylcze nigdy nie mówią o przechodzeniu przez coś, co przypominałoby tunel. Odbywają natomiast podróże w niezemskich światach, bardzo podobne do tych, w jakie udają się ich szamani. Oto relacja Maoryski[22]: „Byłam już tak bardzo chora, że mój duch wyszedł z mojego ciała. Rodzina sądziła, że umarłam, ponieważ przestałam oddychać. Zabrali mnie do marae^[7], położyli tam moje ciało i zaczęli zwoływać ludzi na tangi^[8]. Ja tymczasem, w postaci duchowej, unosiłam się nad swoją głową, a potem opuściłam to miejsce i poszybowałam na północ w stronę Tail of the Fish”. Leciła ponad rzekami i górami, „aż w końcu dotarłam do Te Rerenga Wairua, gdzie duchy skaczą ze skały”^[9]. W relacjach z Hawajów mówi się o wędrówce do Pele’s Pit[23], wulkanu, do którego wnętrza rzucają się zmarłe dusze. Australijski Aborygen[24] opisał NDE, w którym wyruszył w podróż[25] swoim kanu, aż dopłynął do wyspy, gdzie spotkał duchy z tradycyjnych wierzeń oraz zmarłych krewnych. Podobne wyprawy lądem i wodą odbywają mieszkańcy Afryki i Ameryki Południowej. Występują w nich różnice kulturowe, ale najwyraźniej wszystkie mają wspólną cechę, a mianowicie w pewnym miejscu podróżującego zatrzymuje jakiś krewny lub duch i każe mu wracać, mówiąc, że jego czas jeszcze nie nadszedł.

Poza tym opowieści tubylców są jednakowe co do tego, *czego w nich brakuje*. Nie ma żadnej relacji przedstawiciela kultur myśliwych-zbieraczy, „prymitywnych hodowców” czy pasterzy, w której mówiono by o przeglądzie życia opisanym przez Davida Bennetta. Dla mieszkańców kosmologicznych światów, w których poczucie wspólnoty i współzależności znajduje pełen wyraz w życiu codziennym, los pojedynczego człowieka (i osobista odpowiedzialność) jest być może mniej istotny. Jak zauważa socjolog Allan Kellehear: „Odpowiedzialność jednostki nie jest większa niż odpowiedzialność świata”[26].

To, czego doświadczył Bennett, a więc ponowne przeżycie swojego życia i wyciągnięcie wniosków z niektórych (albo i wszystkich) swoich działań, występuje natomiast w relacjach z Indii, Chin, Tajlandii, Tybetu, Ameryki Północnej i Europy. Podczas badań pacjentów z poważnym uszkodzeniem mózgu, cierpiących na amnezję pourazową[27], przeprowadzonych w Guangzhou w Chinach w 2013 roku, stwierdzono, że trzech z osiemdziesięciu sześciu pacjentów miało NDE. Jeden z nich doświadczył przeglądu życia, w którym pojawiła się „forma skonstruowana z wielu zwierząt” i w którym to nieprawdopodobne stworzenie, „wysyłając promienie światła przesywające jego klatkę piersiową i wytwarzające olbrzymie fale uczuć negatywnych, takich jak strach, smutek i gniew, przypominało mu o złych czynach, jakich się dopuścił w swym życiu”. W Indiach[28] podczas NDE ludzie często natykają się na duchowe odpowiedniki rozdrażnionych biurokratów, którzy mówią im, że to nie o nich chodzi, że towarzyszący im yamtoot (posłaniec śmierci) przyprowadził niewłaściwą osobę. To pewnie ten sam yamtoot, który pokazuje się również na salach szpitalnych w Indiach w wizjach z łoża śmierci. „Osoby przeżywające NDE ewidentnie spotykają rozmaite istoty społeczne[29], a ich wcześniejsze doświadczenia kształtują *interpretację* tożsamości i znaczenia tych istot oraz funkcji, jaką mają do spełnienia”, napisał Kellehear. Można by tu doszukać się analogii do postaci dr Ellie Arroway[30] z powieści science fiction *Kontakt* Carla Sagana. Ellie udaje się w podróż, chcąc znaleźć nieznaną cywilizację pozaziemską, która wysłała sygnał na ziemię. Ląduje na plaży przypominającej miejsce kojarzące się jej z dzieciństwem na Florydzie i spotyka tam kosmitę, który, aby jej nie przerazić, ukazuje się jako projekcja jej ukochanego, zmarłego ojca.

Czy spotykamy jedynie to, co może nas emocjonalnie i intelektualnie dotyczyć? Nie wydaje się to prawdą, gdy mamy do czynienia z potwornymi i przygnębiającymi doświadczeniami śmierci, rzadkimi, ale jednak stanowiącymi niewielki procent wszystkich opisanych przypadków. Nancy Evans Bush[31], młodej amerykańskiej kongregacjonistce z Connecticut, która miała NDE podczas porodu, ukazały się czarne i białe kręgi przelatujące tam i z powrotem, klik-klik-bang, klik-klik-bang. Wmawiały jej, złośliwie, że nie istnieje i nigdy nie istniała oraz że nie istnieje jej dziecko i nigdy nie istniało. Dopiero wiele lat później Bush natknęła się na takie kręgi w książce Carla Junga *Człowiek i jego symbole* i uświadomiła sobie, że są to taoistyczne symbole yin i yang. „Ogarnęło mnie przerażenie w najczystszej postaci i moją pierwszą myślą było: »Mój Boże! Ktoś jeszcze o tym wie!«. Byłam tak przerażona, że po prostu rzuciłam książkę i uciekłam”. Dopiero po kolejnych kilku latach poczuła, że jest gotowa poznać znaczenie tych taoistycznych symboli. Dowiedziała się, że reprezentują współzależności we wszechświecie: światło istnieje w powiązaniu z ciemnością, wysokie wiąże się z niskim, śmierć łączy się z życiem. Zaprezentowano jej swoistą duchową naukę, ale ponieważ nie zdawała sobie sprawy, o co chodzi, totalnie ją to przeraziło.

Nie ma wątpliwości, że treść uczuciową doświadczenia śmierci pamięta się wyjątkowo wyraźnie, bez względu na symboliczną czy kulturową zawartość NDE. Neurolog Steven Laureys[32] z Coma Science Group przy Szpitalu Uniwersyteckim w Liège w Belgii weryfikował ostatnio hipotezę psycholożki Susan Blackmore, która utrzymywała, że ludzie jedynie wyobrażają sobie to, co przedstawiają jako przeżyte przez nich NDE. Badacze porównali prawdziwe i wyimaginowane wspomnienia trzech grup osób, które wybudziły się ze śpiączki – tych, którzy mieli NDE; tych, którzy nie przeżyli NDE, ale zachowali jakieś wspomnienia z okresu śpiączki, na przykład to, że przemawiali do nich członkowie rodziny; i tych, którzy nic nie pamiętali – oraz grupy kontrolnej, która w ogóle nie zapadła w komę. Wszystkich poproszono o przywołanie na pamięć pięciu rodzajów zdarzeń z przeszłości: rzeczywistego nowego i starego wspomnienia, takiego jak pierwszy pocałunek; nowego i starego wspomnienia dotyczącego zdarzenia wyimaginowanego, a więc snu na jawie czy marzenia; i jednego wspomnienia celowego – NDE w wypadku tych, którzy je przeżyli; wspomnienia o tym, co do nich mówiono, kiedy byli w śpiączce w przypadku

tych, którym to właśnie się przydarzyło; i wspomnienia z dzieciństwa w przypadku grupy kontrolnej.

Badacze odkryli, że wspomnienia NDE były zdecydowanie najbardziej wyraziste, klarowne i szczegółowe. Doświadczenie śmierci „jest, jak się wydaje, czymś wyjątkowym, niezrównanym”[33]. Wykazano, że intensywne uczucia wypalają piętno w naszych mózgach. Zawód miłosny, urodzenie dziecka, huragan – takie przeżycia pamiętamy bardziej szczegółowo niż nudną, mozolną pracę. Neurolodzy nazywają te wspomnienia fleszowymi[34], mając na myśli, że „wysoce emocjonalne, ważne pod względem osobistym i zaskakujące wydarzenia korzystają z kodowania preferencyjnego, co sprawia, że zapamiętujemy je bardziej szczegółowo i na dłużej...”. W przypadku NDE najwyraźniej uruchamiają one kodowanie najbardziej preferencyjne z możliwych.

Nie ma żadnych dowodów na to, że z upływem czasu dochodzi do konfabulowania na temat doświadczenia śmierci. Nawet dzieci przez wiele lat zachowują w pamięci szczegóły NDE. „Co ciekawe – odnotowali belgijscy badacze – w tym badaniu wspomnienia NDE miały więcej cech charakterystycznych niż wspomnienia ze śpiączki, co sugeruje, że NDE jest »jedyne w swoim rodzaju« nie dlatego, że to przeżycie z pogranicza śmierci, ale raczej z powodu sposobu percepcji samego doświadczenia”. Właśnie to miał na myśli Rudolph Otto, gdy mówił o spotkaniu ze Świętością. Tylko Bóg – majestat duchowy, podstawa bytu, bez względu na to, jak go nazwiemy – wywołuje taką reakcję emocjonalną.

Badacze zakończyli stwierdzeniem, że NDE można jedynie wytłumaczyć, przynajmniej z materialistycznego punktu widzenia, przyjmując, że są to rozbudowane halucynacje, ponieważ halucynacje postrzega się – i reaguje się na nie emocjonalnie – tak, jakby były czymś realnym. Tymczasem Penny Sartori[35], niegdyś pielęgniarka oddziału intensywnej terapii medycznej, odbierając doktorat na Uniwersytecie w Cardiff w Walii, porównała opisy doświadczenia śmierci z halucynacjami wywołanymi lekami[36] i pokazała charakterystyczne różnice między nimi, co zauważono również odnośnie do wizji na łożu śmierci. Halucynacje mające związek z morfiną i innymi lekami stosowanymi w opiece paliatywnej „są na ogół przypadkowe i nieswoiste”, powiedziała. (Sartori w czasie swych pięcioletnich studiów nad NDE badała

również gazometrię krwi i nie znalazła żadnej korelacji między zmniejszeniem nasycenia krwi tlenem a tym, czego doświadczali pacjenci).

Jak zauważyli Andrew Newberg i Eugene D'Aquilli, „kiedy osoby halucynujące wracają do normalnego stanu świadomości, natychmiast dostrzegają fragmentaryczną i oniryczną naturę[37] swych halucynacyjnych przywidzeń i rozumieją, że była to intelektualna pomyłka”. Nie dotyczy to tych, którzy napotkali na swej drodze numinotyczność. Teresa z Ávili działająca w szesnastowiecznej Hiszpanii napisała: „Bóg nawiedza duszę w taki sposób, że nie mogą pojawić się żadne wątpliwości co do tego, że odbyło się to w Bogu i że był w tym Bóg, a dusza jest tak mocno przekonana o tej prawdzie, że choć może upłynąć wiele lat, zanim ten stan się powtórzy, dusza nigdy tego nie zapomni i nigdy nie zwątpi w realność”[38] takiego spotkania.

Trudno zrozumieć, co to oznacza w sensie empirycznym. Może jest to kwestia kontrastu, może chodzi o to, że zaczyna się odczuwać ten świat jako mniej realny, podobnie jak sen wydaje się mniej realny niż świadomość na jawie, ale dopiero kiedy się obudzimy. Oto, co napisał psycholog Carl Jung po doświadczeniu śmierci, które miał podczas ataku serca w Szwajcarii w 1944 roku: „Widok miasta i gór z mojego szpitalnego łóżka wydawał mi się pomalowaną zasłoną z czarnymi dziurami albo poszarpaną gazetą pełną nic nieznaczących fotografii. Rozczarowany pomyślałem: »Muszę znów wrócić do tego pudełkowego systemu«. Albowiem miałem wrażenie, jakby za horyzontem wszechświata zbudowano sztucznie trójwymiarowy świat, w którym każda osoba siedziała samotnie w małym pudełku. Będę teraz musiał przekonać sam siebie, że to ważne!”[39].

Po NDE ludzie opisują otaczający ich świat jako płaski, nudny, dwuwymiarowy, pełen patyczkowych ludzików i „wyciętych z papieru lalek”[40]. Na proste pytanie, czy zgadzasz się z opinią, iż w królestwie NDE wrażenie rzeczywistości jest „tysiąc razy silniejsze” niż w naszej rzeczywistości, 56 procent pytanych odpowiedziało „tak”. Nawet ci, których doświadczenie śmierci było przerażające, wierzą, że było ono prawdziwe. Nancy Evans Bush mogła zignorować swoje spotkanie z bezdusznymi kręgami yin-yang, mówiącymi jej, że nie istnieje w tym świecie, uznać tę wizję za traumatyczny sen, a zamiast tego *przez wiele lat* czuła się tym

zdruzgotana.

*

Osoby oplakujące zmarłych mogą czuć się speszone, wręcz powątpiewać w siebie po telepatycznych widzeniach czy spotkaniach z wyczuwanymi „obecnościami”, natomiast ludzi, którzy mieli NDE, coś – czyżby przytłaczająca intensywność przeżytego doświadczenia? – pcha do zerwania więzów z Kościołem, ze swym zawodem, czasami z małżonkiem lub małżonką. Ich życie wywraca się do góry nogami, a społeczeństwo nie wie, jak na to zareagować. Jeszcze niedawno byli całkowicie normalnymi obywatelami, zajmowali się własnymi sprawami, bez względu na to, co to były za sprawy: chemik pracował w laboratorium, nastolatek pojechał na wycieczkę samochodową, wietnamskiego weterynarza leczono na raka płuc. Ci ludzie niczego się nie spodziewali jak nieświadomi niewinni z filmów grozy – wszystko świetnie się układało i nagle BUM! Ich świat zmienił się radykalnie i nieodwracalnie. Tyle że nie zaatakował ich potwór, lecz jakieś wcielenie Boga.

Przez kilka dni po wstrząsającym przeżyciu, kiedy to niemal utopił się w oceanie, David Bennett[41] miał w głowie totalny zamęt. Wystąpiły u niego pewne objawy synestezji[42], niezwyklego sposobu postrzegania udzielającego się niewielkiej liczbie ludzi, w którym następuje tak zwane skrzyżowanie zmysłów, tak że można „widzieć” muzykę albo „słyszeć” kolory. Dla Bennetta było to doznanie kompletnie dezorientujące.

– Widziałem energię życiową w swoim otoczeniu. Wszystkie rośliny i kamienie na klombach otaczała aureola światła. Czułem je i dotykałem, nie dotykając ich rękami. Mój umysł inżyniera próbował to zrozumieć. Jak to możliwe? Słyszałem rytmy, nuty.

Wzmoczona i skrzyżowana percepcja występuje dość często u ludzi, którzy

przeżyli NDE i inne numinotyczne doświadczenia. Dziennikarka z Nowego Jorku Maureen Seaberg, synestetka przez całe swoje życie – alfabet to dla niej sekwencja świecących kolorów – nazywa to „boskim kacem”. Seaberg urodziła się z synestezją, podobnie jak skrzypek Itzhak Perlman i pisarz Vladimir Nabokov (prawdopodobnie), ale czuje, że jest w tym darze coś transcendentnego i znalazła odpowiednie wzmianki na ten temat w starych tekstach religijnych. Aluzje do skrzyżowania zmysłów są na przykład w Starym Testamencie. Kiedy Mojżesz wspiął się na górę Synaj, gdzie otrzymał Dziesięć Przykazań, obecność Boga wstrząsnęła ludźmi zgromadzonymi pod górą: „Lud cały widział głosy i lud cały słyszał wizje” (Księga Wyjścia 20:18)^[10][43]. Dziwny to fragment Pisma Świętego, jeżeli celem nie było opisanie stanu zbiorowej synestezji w ścisłym tego słowa znaczeniu.

W Nowym Testamencie mamy z kolei opis nagłego duchowego pozyskania wiedzy, czego doznała Jane Smyth w swoim doświadczeniu śmierci. Oto fragment z Dziejów Apostolskich:

„Kiedy nadszedł wreszcie dzień Pięćdziesiątnicy, znajdowali się wszyscy razem na tym samym miejscu. Nagle dał się słyszeć z nieba szum, jakby uderzenie gwałtownego wiatru, i napełnił cały dom, w którym przebywali. Ukazały się im też języki jakby z ognia, które się rozdzieliły, i na każdym z nich spoczął jeden. I wszyscy zostali napełnieni Duchem Świętym, i zaczęli mówić obcymi językami, tak jak im Duch pozwalał mówić... Zdumiewali się wszyscy i nie wiedzieli, co myśleć: Co to ma znaczyć? – mówili jeden do drugiego”^[11].

Przypomniało mi to opowieść o wymieszaniu języków przekazaną mojej koleżance dziennikarce Marii Coffey przez hiszpańskiego himalaistę Carlosa Carsolio[44]. W 1985 roku Carsolio wraz z polską wyprawą wspiął się na Nangę Parbat południowo-wschodnim filarem flanki Rupal, jednej z największych ścian skalnych na świecie. Warunki były straszne, a zamiecie tak gęste, że wspinacze często tracili siebie nawzajem z oczu. W czasie podejścia komunikowali się przez radiotelefon, a ich rozmowy były nagrywane przez kolegów w bazie. Zanim dotarli na wierzchołek, wyczerpały się zapasy żywności i paliwa. Podczas rozpaczliwego zejścia wszyscy byli bliscy śmierci.

Po powrocie do bazy, kiedy doszli do siebie po ciężkiej próbie, przesłuchali nagrania rozmów. Byli w szoku. Polscy wspinacze nie znali hiszpańskiego, a Carsolio nie mówił po polsku, więc normalnie porozumiewali się po angielsku. Jednak w końcowej fazie wspinaczki i podczas zejścia z góry wszyscy mówili w swoich ojczystych językach. Słuchając taśm, Polacy nie rozumieli Carsolio, a on nie rozumiał ich. „Ale kiedy byliśmy na górze, rozumieliśmy się doskonale – powiedział Carsolio. – Odblokowaliśmy jakieś kanały, weszliśmy na inny poziom komunikacji”.

Żydowski mistyk z XIII wieku Abraham Abulafia[45] odprawiał modły, w wyniku których litery alfabetu stawały się jednocześnie nutami. To ćwiczenie zwiększania i krzyżowania świadomości percepcyjnej nazywał „łamanie pieczęci duszy”[46]. W badaniach prowadzonych na Uniwersytecie Kalifornijskim przez psychiatrę Rogera Walsha ustalono, że synestezji doświadcza 86 procent osób medytujących na poziomie zaawansowanym, podczas gdy w przypadku normalnych medytacji dotyczy to 35 procent, a gdy chodzi o ogół społeczeństwa procent ten jest bardzo niewielki. David Bennett[47], mówiąc o chwilach spędzonych pod wodą, powiedział: „Moja percepcja nie miała granic”. Czy coś, co tkwi w istocie doświadczenia numinotycznego – bez względu na to, czy dochodzi do tego poprzez modlitwy lub medytacje, czy też w wyniku nagłego przerażenia i niebezpieczeństwa – może złamać pieczęć ograniczonej, ucieleśnionej świadomości?

W badaniach nad NDE australijska socjolożka Cherie Sutherland stwierdziła, że 83 procent ludzi, którzy mieli doświadczenie śmierci, doznało tego rodzaju synestetycznych efektów następczych[48], między innymi podwyższonej, pozazmysłowej percepcji, jak w przypadku telepatii czy jasnowidztwa. Natomiast Willoughby Britton[49] z Uniwersytetu Browna odkryła, że ci, którzy przeżyli NDE, wykazują różnice w aktywności lewego płata skroniowego, co sugerowałoby, że doświadczenie zmienia w jakimś stopniu układ obwodów neuronalnych. Co ciekawe, synestezję wiąże się ze zwiększeniem „hiperpołączeń”[50] neuronalnych w płacie skroniowym. Mamy tu zatem wskazówkę co do tego, jak mózg być może dostosowuje się do stanu zwiększonej świadomości (albo go generuje, w zależności od punktu widzenia osoby analizującej).

Większość ludzi „była zaskoczona i rozstrojona” z powodu zmian w swoim postrzeganiu świata[51]. Architektka z Toronto, która doświadczyła opuszczenia ciała, kiedy niemal wykrwawiła się na śmierć podczas porodu w 1990 roku, powiedziała mi, że po tym przeżyciu ludzie wokół wydawali się jej brzęczącym dzwonkiem. „Szłam ulicą i uderzały mnie wszystkie te emocje, czułam to, co czuła każda mijająca mnie osoba – dzyń, dzyń, dzyń! To było tak trudne, że unikałam zgromadzeń towarzyskich. Pamiętam, że sześć miesięcy później znalazłam się w pomieszczeniu pełnym ludzi na przyjęciu biznesowym i było to nieomal *unicestwiająca*”. Nie łączyła tego ze swoim wyjściem z ciała (*OBE*, out-of-body experience). Sądziła, że ma to coś wspólnego z depresją poporodową. Amerykański biznesmen japońskiego pochodzenia, który przeżył NDE w wyniku wypadku motocyklowego, odczuwał potem empatycznie ból psychiczny innych ludzi i uczucie to potrafiło nim ovlądnać w środku spotkań handlowych.

To spotęgowane dostrajanie się można zapewne nazwać rezultatem wykroczenia świadomości poza cielesne ramy, a potem niemożności wtłoczenia się z powrotem na miejsce. „Stajemy się ponadwymiarowi – powiedział Alan Ross Huguenot, który miał NDE po wypadku motocyklowym[52]. – Musiałem wypracować strategię obrony przed uczuciami innych ludzi”. Aby to zademonstrować, skierował ku mnie zgiętą rękę, jak ktoś, kto chce odeprzeć atak wampira. Nagle poczułam się winna tego, że siedziałam tam przed nim z Bóg wie jak wielkim bagażem psychicznym. Zastanawiałam się, ale nie chciałam wiedzieć, co wychwytywał albo czego próbował nie wychwycić.

Yvonne Kason[53] odkryła, że wie, iż jej znajoma ma zapalenie opon mózgowych, zanim jeszcze chora dowiedziała się o tym. Taka wizja nagle mignęła jej przed oczami, kiedy jechała samochodem do domu koleżanki. To widzenie – anatomiczny obraz mózgu w stanie zapalnym – było wielce niepokojące. Nie mogąc wymyślić, jak to przekazać i nie wyjść na wariatkę, zakłopotana Kason poradziła koleżance, aby monitorowała ból głowy, który ta rzeczywiście miała. Nie minął dzień i przyjaciółka została przyjęta do szpitala na leczenie.

Zdarza się czasami, że ktoś wraca do życia po doświadczeniu śmierci z nieznanymi przedtem umiejętnościami. W 2009 roku neurolog

współpracujący z tygodnikiem „New Yorker”, Oliver Sacks, chciał wykorzystać historię ortopedy ze stanu Nowy Jork, Tony’ego Cicorii[54], którego nagle ogarnęła obsesja na punkcie nauki gry na pianinie i kompozycji. Wcześniej Cicorię trafił piorun, w wyniku czego doszło do zatrzymania akcji serca. Zainteresowanie Sacksa musiało mieć związek z muzykalnością, nie z doświadczeniem śmierci. Lekarz-ortopeda postawił sprawę jasno – powiedział, że żąda, aby w zamian za opowieść nie proponowano mu żadnych, ale to żadnych wyjaśnień, które zmniejszyłyby głębię przeżycia, jakim było dla niego NDE. Tak – zgadza się, żeby Sacks opowiedział o jego zadziwiających muzycznych uzdolnieniach, które wzięły się nie wiadomo skąd, ale nie – nie życzy sobie, żeby wrzucić go do mechanistycznego śmietnika jak rozklekotanego, przeprogramowanego robota.

Sacks postanowił przypodobać się czytelnikom, wtrącając krótkie zdanie w nawiasie (NDE, powiedział, „bez wątpienia spowodowane niedoborem tlenu”). Cicoria zagrał później na kilku koncertach i uważał, że zawdzięcza to Sackswi, dzięki któremu zwrócono uwagę na niespodziewany dar ortopedy. Kiedy spotkałam się z Cicorią, wyznał, że wciąż próbuje zrozumieć, czemu ma służyć ten muzyczny talent – myślał tu o leczeniu ludzi. Nie miał poczucia, że muzyka była przeznaczona dla niego samego, żeby sobie grał i czerpał z tego radość, coś takiego chyba nawet nie przeszło mu przez myśl.

Kiedy po doświadczeniu śmierci następuje takie odwrócenie perspektywy, zmiana hierarchii ważności, trzeba nauczyć się z tym żyć, a to może być dla niektórych sporym wyzwaniem. W jednym z badań pokazano, że ponad połowa osób, które doznały NDE, ma „umiarkowane, a nawet poważne” problemy z zapanowaniem na nowo nad swoim życiem. Siedemnaście procent rozważało samobójstwo po to, żeby wrócić tam, gdzie już byli, a jedna z badanych tuż po NDE, które przeżyła w szpitalu[55] w Holandii, wręcz przegryzła rurkę intubacyjną, pogrążając się ponownie w stanie śmierci klinicznej, jako że spowodowała powtórne zatrzymanie akcji serca. Siedemdziesiąt procent badanych odczuwało izolację i depresję, jako że nie mogli z nikim podzielić się tym, co, jak uważali, wiedzą teraz o równoległej albo wyższej rzeczywistości. „To smutne, że nie można mówić o tym otwarcie – stwierdziła pewna kobieta. – Czuję się, jakby trzymano mnie w zamknięciu. Jestem pełna entuzjazmu, ale nie mam nikogo, kto chciałby

mnie wysłuchać”[56]. Podobnie jak umierający i umarli, ci, którzy doświadczyli śmierci, również mają nam coś do powiedzenia, ale któż ich słucha?

Ponadto są oni w pewnym sensie uwięzieni między światami – żywi, ale zawieszani między życiem a śmiercią. David Bennett powiedział mi bez najmniejszego śladu niepewności: „Wiesz, że kiedy kończy się życie, idziesz do domu. A to budzi tęsknotę. To trudne pod względem emocjonalnym”. Cóż za niezwykle stwierdzenie u osoby niebędącej w depresji! Optymistyczne pragnienie śmierci? W następstwie NDE ludzie zaczynają naprawdę tęsknić za tą numinotyczną rzeczywistością, którą przez moment ujrzeli. Hiszpański mistyk, święty Jan od Krzyża[57], lamentował: „Ja już nie żyję w sobie / Bez Boga żyć nie mogę! / Bez niego i bez siebie / Jakąż odnajdę drogę? / Miast życia – tysiąc śmierci! / W głębię życia się wdzieram / Umieram, bo nie umieram!”.

Dla weteranów wojennych, którzy przeżyli uraz powybuchowy – coraz powszechniejszy przypadek – zasadniczym wyzwaniem jest kontrast pomiędzy ich doświadczeniem śmierci a codzienną rzeczywistością. Ze strasznego piekła walki trafiają do krainy radości i spokoju, a potem raptownie wracają do militarystycznych realiów. Pewien dowódca plutonu[58] twierdzi, że nie potrafił zapanować nad żołnierzami po swoim NDE. „Jedyne, czego pragnąłem, to objąć ich ramieniem i zapewnić, że »wszystko będzie okej«. Armia to nie miejsce na uściski, nie tak narzuca się dyscyplinę. Wierzcie mi”. Musiał wystąpić z wojska.

Jak utrzymuje pułkownik Diane Corcoran, która zaczęła doradzać żołnierzom z NDE[59], kiedy była młodą pielęgniarką w Wietnamie, wielu weteranów w ogóle nie może rozmawiać o swoich doświadczeniach, ponieważ uznaje się ich wówczas za niosących zagrożenie z powodów psychicznych. Przyznanie się do rozmowy ze Świetlistym Bytem oznacza natychmiastową diagnozę: psychotyk. Delikwenta albo poddaje się działaniu silnych środków uspokajających, albo się go zwalnia. (Jak na ironię, badania porównawcze ludzi, którzy doznali załamania nerwowego z tymi, którzy mieli NDE, wykazują, że zdrowie psychiczne obu tych grup różni się diametralnie: grupa po NDE jest radosna, nastawiona altruistycznie i mniej podatna na przygnębianie, podczas gdy psychotycy stają się bardziej strachliwi

i zamknięci w sobie).

Po obu wojnach światowych pojawiły się znakomite, wnikliwe utwory literackie poruszające temat okropności, o których nie wolno było mówić żołnierzom. Pisano o tym, że nie przystoi im ujawniać swego przerażenia, poczucia winy, lęku, a także o tym, że ich doświadczeniami uważnie zajmowano się w sanatoriach, umniejszając ich wartość i prezentując je społeczeństwu jako „shell shock”, szok wywołany wybuchem, stan zwany też nerwicą frontową. Odpowiednia literatura na temat współczesnego doświadczenia duchowego w warunkach bojowych będzie musiała dopiero powstać. Kiedy żołnierze mają przeczucia, kiedy wyczuwają czyjąś obecność, kiedy doznają NDE, przyjmuje się, że cierpią na PTSD, zespół stresu pourazowego. To powrót do shell shocku, tyle że w nieco innej formie.

W przypadku NDE na polu walki mamy do czynienia z jeszcze jednym niespodziewanym aspektem: w wyniku eksplozji często cała grupa żołnierzy doznaje urazu jednocześnie – razem – i czasami wychodzą oni z ciała – też *razem*. Widzą siebie wzajemnie w stanie astralnym, jak dowiedziała się Corcoran. To zjawisko nazwano wspólnym doświadczeniem śmierci[60] i można o nim usłyszeć również w innych kontekstach. De facto stało się ono nowym centrum zainteresowania Raymonda Moody’ego, psychiatry, który zapoczątkował prekursorski kierunek badań; pewnego dnia może to rzucić inne światło na to, czym w istocie jest NDE. A tymczasem zagadnień tych z reguły zwyczajnie się nie omawia. Po raz pierwszy usłyszałam o tym od psycholożki Joan Borysenko[61], która opisała własne doświadczenie tego rodzaju. Kiedy była wykładowczynią na Harvardzie, w Beth Israel Deaconess Medical Centre, szpitalu klinicznym w Bostonie, umarła jej osiemdziesięcioletnia matka. Pokój wypełnił się olśniewającym światłem i wówczas oboje, Borysenko i jej nastoletni syn, widzieli, jak jej matka opuszcza spektralnie swoje ciało. Nie trzeba dodawać, że było to całkowicie niespodziewane. Raymond Moody[62] nieczęsto słyszał o takich przypadkach, kiedy zaczął gromadzić historie o NDE. Przez wiele dziesięcioleci to raczej lekarze i pielęgniarki, a nie członkowie rodziny byli obecni w momencie śmierci i dopiero kiedy zmieniły się zwyczaje, kiedy czuwanie przy umierających podjęła rodzina, zaczął dowiadywać się o tych ciekawych doświadczeniach od zwykłych ludzi.

Oto przykład:

– Kiedy umarł mój piętnastoletni syn – powiedziała mu kobieta nieznana z nazwiska – byłam z nim w pokoju. Miał cukrzycę od wczesnego dzieciństwa, co oczywiście bardzo komplikowało mu życie. Kiedy umierał, trzymałam go za rękę i czułam, jak uchodzi z niego energia życiowa, tak jakbym wyczuwała przepływ prądu albo może właściwszym określeniem byłyby wibracje. Kształt pokoju zmienił się nagle i z sali szpitalnej stał się polem intensywnego światła, nieporównanie jaśniejszego niż cokolwiek, co mógłby sobie wyobrazić ktoś, kto tego osobiście nie widział. W miejscu, gdzie był pokój szpitalny ze sprzętem medycznym, objawiło się to wszystko, czego mój syn dokonał w swym krótkim życiu. On znajdował się pośrodku tej wizji i promieniał radością. Wiem, że to niepojęte dla innych, ale mimo że było mi bardzo smutno, ponieważ go traciłam, cieszyłam się, że uwolnił się od ciągłych dolegliwości i obaw, jakie towarzyszą diabetekom. To był jego czas, tak to rozumiałam i lepiej nie potrafię tego opisać.

W trakcie badań Moody zauważył kilka elementów łączących wspólne doświadczanie śmierci, choć nie wszystkie one występują w każdym przypadku. Jest to między innymi dostrzeganie zmiany kształtów geometrycznych, co wydaje się dość dziwne. „Trudno przedstawić tę cechę – pisze Moody – ponieważ przyjmuje ona wiele różnych form”. Ponadto nie znajdujemy jej w normalnym doświadczeniu śmierci. Kobieta, która czuwała przy łożu brata powiedziała, że miała poczucie, iż nastąpiło jakieś przesunięcie i kwadratowy pokój przyjął inny kształt. Pewien mężczyzna, nauczyciel, opisał to jeszcze inaczej: „To jakby pokój się zawalił, a jednocześnie rozciągnął”.

W trakcie wspólnego doświadczania śmierci często słyszy się dźwięki muzyki. Kobieta, która siedziała przy umierającym mężu powiedziała: „To była najpiękniejsza i najbardziej wyszukana muzyka, jaką kiedykolwiek słyszałam”. Niektórzy, na przykład żołnierze, z którymi rozmawiała pułkownik Corcoran, przeżywają wspólne OBE, wyjście z ciała, czyli inaczej eksterioryzację. Oto relacja kobiety z Wirginii:

– Tej nocy, kiedy zmarł Jim, siedziałam obok niego, trzymając go za rękę. Niespodziewanie oboje opuściliśmy swoje ciała i zaczęliśmy unosić się w powietrzu. To było niesamowite, napawające strachem i zagadkowe.

Ponad nami widzieliśmy jasne światło i kierowaliśmy się wprost w jego stronę. To było piękne światło, wibrujące, potężne. – W tym momencie kobieta została „wessana z powrotem” do swojego ciała.

Około 50 procent ludzi, którzy mają NDE, wykracza[63] poza samo spotkanie ze światłem i dostrzega również miejsca – miasta lub ogrody. Czasami, zaobserwował Moody, zdarza się to również we wspólnym doświadczaniu śmierci. Oto opowieść kobiety, która towarzyszyła przyjaciółce, kiedy ta umierała:

– Nagle zaczęłam iść z Marthą pod górę i otoczyło nas światło. Nie jakieś zwyczajne światło, wszystko wokół nas, rośliny, ziemia, nawet niebo, promieniało własnym światłem. To było niewiarygodnie piękne. Jestem pewna, że to musiało być niebo albo jakieś inne miejsce tego rodzaju, bo czuło się w tym coś cudownego. Naprawdę miałam wrażenie, jakby ubyło mi pięćdziesiąt lat.

Ponadto we wspólnym doświadczaniu śmierci, jak twierdzi Moody, występuje coś takiego jak granica, której nie mogą przekroczyć żywi, podążając za najbliższymi. Bywa ona postrzegana jako most, rzeka albo drzewo, a czasami jest to słowna komenda „wracaj”. Moody pisze: „Od kiedy zacząłem prowadzić badania nad śmiercią, słyszę też o mgłę emitowanej[64] przez ciało umierającego. Ludzie czuwający przy łożu śmierci opisują to różnie, jako biały dym lub parę, a niekiedy ta mgiełka przyjmuje określony kształt, to jakby duch zmarłego. Bez względu na formę, zwykle unosi się i zawsze znika dość szybko”.

A oto, co opowiedział pewien lekarz:

– Dwukrotnie w ciągu sześciu miesięcy widziałem mgiełkę wychodzącą ze zmarłych pacjentów i wzlatającą w górę. W chwili śmierci ci pacjenci rozświetlali się od wewnątrz, ich oczy błyszczały srebrzystym światłem. Mgiełka formowała się w okolicy klatki piersiowej i tam pozostawała, unosząc się nad nią. Kiedy przyglądałem się temu, co się dzieje, czas się dla mnie zatrzymał. Przypatrywałem się bardzo uważnie, maksymalnie się koncentrując. Mgła miała głębię i złożoną strukturę. Wydawało się, że ma warstwy, w których odbywa się ruch energii. Wiem, to kiepski opis, ale proszę sobie wyobrazić coś tak subtelnego jak woda poruszająca się

w wodzie. Za drugim razem wyczułem obecność kogoś, kogo nie widziałem, jakby ktoś stał koło mnie i czekał, aż pacjent umrze. Nie mam pojęcia, kim lub czym była ta „obecność”, ale gdybym musiał zgadywać, powiedziałbym, że to ktoś, kto kochał pacjenta. Takie było moje odczucie.

Te doznania, rzecz jasna, bez względu na przyczynę, wymagają naukowych wyjaśnień zupełnie innego rodzaju niż te, które proponuje się, próbując tłumaczyć NDE. Nie wymagają natomiast dodatkowych wyjaśnień w świetle relacji o wizjach telepatycznych i wyczuwaniu obecności. Być może w bardzo napiętej atmosferze panującej w pomieszczeniu, gdzie umiera człowiek, nasza empatia i współczucie wprowadzają nas w stan pewnego rodzaju wspólnej świadomości. Krytyk filmowy Roger Ebert[65] (zmarł na raka w 2013 roku) opowiedział o przeświadczeniu swojej żony, że jest wciąż żywy i obecny, kiedy doszło u niego do zatrzymania akcji serca. Oto, co napisał na portalu Salon: „Po pęknięciu tętnicy lekarze sądzili, że to już koniec. Moja żona Chaz oświadczyła, że wyczuwa, iż nadal żyję i właśnie przekazuję jej informację, że jeszcze nie umarłem. Powiedziała, że nasze serca biją zgodnie, choć bicie mojego nie wyczuwano. Przekonała lekarzy, że żyję, a oni zrobili to, co robią lekarze i oto jestem, wciąż żywy. Czy jej wierzę? Absolutnie. Wierzę dosłownie – nie symbolicznie, nie w przenośni, nie w sferze duchowej. Wierzę, że rzeczywiście uświadomiła sobie moje wołanie i wyczuwała bicie mojego serca. Wierzę, że robiła to w realnym, fizycznym świecie, jaki opisałem, tym samym, w którym znajduję się i ja, i mój zegarek. Nie widzę żadnego powodu, żeby sądzić, iż taki rodzaj komunikacji nie może mieć miejsca. Nie mówię o telepatii, zjawiskach psychicznych czy cudach. Jedyne cud to to, że moja żona była tam, gdzie była, kiedy się to wydarzyło, tak jak była przy mnie przez wiele długich dni i nocy. Mówię o tym, że stała tam i coś wiedziała. Czy aby wielu z nas nie doświadczyło czegoś podobnego? No, śmiało, ktoś przecież musiał przeżyć coś takiego. To, o czym mówię, odbywa się na poziomie niedostępnym dla naukowców, teologów, mistyków, fizyków, filozofów czy psychiatrów. To po prostu sprawa ludzka”.

*

Znane są przypadki NDE, które można by bezpośrednio powiązać, opierając się na obserwacjach pacjenta, z okresem, kiedy zapis EEG wykazuje płaską linię izoelektryczną, ale nigdy nie będzie to dostatecznie przekonujące dla sceptyków. Kardiolog Pim van Lommel opisuje przypadek – na podstawie swoich holenderskich badań – w którym po nagłym zatrzymaniu krążenia ofiara[66] leżała na polu w stanie śpiączki i z objawami sinicy przez 30 minut, zanim przewieziono ją na ostry dyżur; jednak kiedy pacjent wyzdrowiał, był w stanie dokładnie opisać okoliczności resuscytacji. Sceptycy przekonują, że te „obserwacje” to fałszywe wspomnienia wywołane skojarzeniami z serialami, takimi jak *Dr House* czy *Chirurdzy*. Aby zweryfikować tę hipotezę, amerykański kardiolog Michael Sabom przeprowadził rozmowy z pacjentami, którzy informowali o przeżyciu NDE oraz pacjentami kardiologicznymi, którzy NDE nie mieli, prosząc obie grupy o opisanie procedury resuscytacji krążeniowo-oddechowej, tak jakby na nią patrzyli[67]. Sabom stwierdził, że 80 procent badanych niemających żadnych wspomnień o doświadczeniu śmierci popełniło przynajmniej jeden poważny błąd w opisie, podczas gdy pacjenci z NDE nie pomylili się ani razu. To badanie porównawcze zostało powtórzone w 2008 roku przez doktorantkę Penny Sartori, która przedtem przez pięć lat prowadziła badania[68] nad pacjentami oddziałów intensywnej opieki medycznej. Badani wspominający wyjście z ciała, kiedy doszło do zatrzymania akcji serca, odtwarzali resuscytację bezbłędnie, podczas gdy wszyscy pacjenci, którzy przeżyli nagłe zatrzymanie krążenia, ale nie opuścili ciała, niewłaściwie opisywali sprzęt lub procedury.

Ponadto Sabom odkrył, że grupa z NDE „przekazywała dokładne szczegóły charakterystycznych, indywidualnych reakcji i niespodziewanych zdarzeń podczas resuscytacji”[69]. Jeden z badanych powiedział:

– Znajdowałem się ponad sobą i patrzyłem w dół[70]. Pracowali nade mną, próbując przywrócić mi życie. Na początku nie zdawałem sobie sprawy, że to moje ciało. Nie sądziłem, że umarłem. To było niezwykle uczucie. Widziałem, jak nade mną pracują, ale dopiero po chwili uświadomiłem sobie, że to mną się zajmują. Nie czułem żadnego bólu, natomiast odczuwałem niezwykle spokój. Śmierci nie trzeba się bać. Nic nie czułem. Zrobili mi

zastrzyk w pachwinę. – Ten zastrzyk to nakłucie w celu pobrania krwi tętniczej z lewej tętnicy udowej w związku z koniecznością sprawdzenia poziomu tlenu we krwi. (Był on powyżej normy).

W innym przykładzie z badań Saboma „pacjent opisał, jak po opuszczeniu ciała obserwował kardiochirurga, który »wymachiwał rękami, jakby chciał latać«[71]. Chirurg potwierdził ten szczegół, tłumacząc, że po umyciu się do operacji, chcąc uniknąć zanieczyszczenia rąk przed rozpoczęciem zabiegu, siłą nawyku kładzie ręce na klatce piersiowej i wydaje szybkie instrukcje, pokazując łokciami, o co mu chodzi”.

W przeprowadzonej niedawno analizie 93 opublikowanych relacji o potencjalnie wiarygodnych epizodach wyjścia z ciała (OBE)[72] wykazano, że w 43 procentach przypadków badacze uzyskali potwierdzenie od niezależnego informatora (zwykle od pielęgniarek i lekarzy). Z tego 88 procent to relacje w pełni rzetelne.

– Zjawisko wyjścia z ciała jest interesujące – mówi dziennikarz naukowy Jeff Warren[73] – ponieważ ta niewiarygodnie szczegółowa percepcja zdarza się u ludzi, u których pozornie ustała jakakolwiek aktywność mózgu. Nie powiedziałbym, że to ostateczny dowód istnienia umysłu poza ciałem – głupio jest uznawać za ostateczne cokolwiek, co dotyczy rzeczywistości – ale jeżeli zajmujemy się udowadnianiem lub podważaniem hipotez, jest to bez wątpienia dowód wart poważnego rozważenia.

Na te „prawdziwe” (rzekomo oparte na dowodach) doświadczenia śmierci, najczęściej natykają się oczywiście pracownicy służby zdrowia i dlatego tak wiele badań nad NDE zostało zapoczątkowanych przez kardiologów, anestezjologów, pielęgniarzy z oddziałów intensywnej opieki medycznej i chirurgów, skonsternowanych i zaintrygowanych tym, co widzą na swoich oddziałach. Sam Parnia[74], dyrektor Szpitala Klinicznego przy Uniwersytecie Nowojorskim w Stoneybrook, zaczął badać NDE w kontekście resuscytacji krążeniowo-oddechowej i wkrótce usłyszał wiele opowieści na ten temat od kolegów lekarzy. Brytyjski kardiolog Richard Mansfield[75], wspominając wczesny okres wprowadzania usprawnionych metod resuscytacji w latach sześćdziesiątych XX wieku, opowiedział Parnii o pacjencie, który zmarł i został zostawiony bez ducha na stole na piętnaście minut. Kiedy Mansfield wrócił na salę, aby sprawdzić, ile fiolek adrenaliny

podał podczas tej bezowocnej próby resuscytacji, co było mu potrzebne do sporządzenia aktu zgonu, odkrył, że mężczyzna samorzutnie ożył i co więcej, potrafił opisać szczegóły podjętych działań.

– Opowiedział mi o wszystkim, co mówiłem i robiłem, a więc na przykład o sprawdzeniu tętna, decyzji o zaprzestaniu resuscytacji, wyjściu z sali, powrocie, spojrzeniu na niego, podejściu do niego, ponownym sprawdzeniu tętna i ponownym podjęciu resuscytacji. Zapamiętał dobrze wszystkie szczegóły, co było niemożliwe, ponieważ nie dość, że był w stanie asystolii i nie miał tętna, kiedy ustało krążenie, to na dodatek przez następne mniej więcej piętnaście minut nie była nawet prowadzona resuscytacja. To, co powiedział, naprawdę mnie przeraziło. – Parnia zareagował podobnie, też poczuł się wystraszony. Od tamtej pory usłyszał wiele tego rodzaju opowieści z pierwszej ręki od zdumionych lekarzy.

Dr Tom Aufderheide[76] na przykład opowiedział Parnii i innym uczestnikom konferencji z 2012 roku na temat chorób układu krążenia o swoim pacjencie, u którego nastąpiło nagłe zatrzymanie krążenia – był to de facto pierwszy taki przypadek w jego lekarskiej karierze. Chorego pobudzano do życia, po czym akcja serca ponownie ustawała i tak przez osiem godzin. Po początkowym poruszeniu w związku z koniecznością natychmiastowego podjęcia akcji ratowniczej (kod niebieski) wyżsi stopniem lekarze pozostawili niekończące się próby resuscytacji doktorowi Aufderheide, który pomyślał z wściekłością: *Jak mogliście mi to zrobić?*

– W pewnym momencie na salę weszli pracownicy roznoszący lunch. Byłem głodny. No więc zjadłem lunch pacjenta. Nie mogłem przecież wyjść z pokoju, a on i tak nie mógł jeść. – Pacjent, wciąż w śpiączce, został ustabilizowany dopiero kilka godzin później i przebywał jeszcze w szpitalu przez miesiąc. Przed wyjściem do domu powiedział młodemu doktorowi Aufderheide, że miał NDE – światło, tunel, wszystkie związane z tym wstrząsające niezwykłości – a potem dodał żartobliwie:

– Wie pan, myślę, że to było bardzo śmieszne... umierałem na pańskich oczach, a pan myślał sobie: *Jak mogliście mi to zrobić?* A później zjadł pan mój lunch. (Pobrzmiwa tu echo nagany udzielonej przez alpinistę z XIX wieku przewodnikowi, który wypił jego maderę i zjadł kurczaka).

„Wspólną cechą wszystkich tych relacji – napisał później Parnia – było to, że pacjenci po zatrzymaniu akcji serca wracali do zdrowia i opowiadali lekarzom z niewiarygodnymi szczegółami o rozmowach i zdarzeniach z okresu, kiedy byli z pozoru martwi. Wszyscy utrzymywali, że to, co działo się w związku z ich stanem, obserwowali z góry, spod sufitu”[77].

Żadna z tych relacji nie zdziwiłaby tybetańskich mnichów, którzy siadają obok nieboszczyków i czytają na głos *Księgę Umarłych*, ponieważ zakładają, że słowa te do nich docierają; nie zaszokowałoby to również naszych sędziwych przodków, którzy wymyślali różne sposoby pomagania duchom w odnalezieniu drogi z tego świata do innego królestwa. Ale rozmowa doktora Mansfielda miała miejsce u zarania ery nowoczesnej resuscytacji w latach sześćdziesiątych XX wieku, przed której nastaniem o doświadczeniu śmierci w warunkach medycznych słyszało się o wiele, wiele rzadziej. Od tamtej pory odgrywanie Boga i wskrzeszanie Łazarza stało się coraz bardziej rozpowszechnioną i efektywną formą interwencji medycznej, a jednym z rezultatów tej zmiany jest wzrost liczby NDE. Wielce intrygujący przypadek przedstawiła pielęgniarka z oddziału intensywnej opieki medycznej w Holandii. Kobieta pracowała na nocną zmianę, kiedy pogotowie przywiozło czterdziestoczteroletniego mężczyznę w stanie śpiączki[78]. Godzinę wcześniej został on znaleziony w parku, gdzie para dobrych samarytan próbowała go reanimować, ugniatając i masując klatkę piersiową. Kiedy znalazł się w szpitalu, wciąż bez tętna, podłączono go do respiratora i poddano defibrylacji.

– Zabieram się do intubowania pacjenta – powiedziała pielęgniarka – a tu okazuje się, że pacjent ma sztuczną szczękę. Przed zaintubowaniem go wyjmuję górną protezę i kładę ją na wózku medycznym. Przez cały czas prowadzimy ekstensywną resuscytację. – Dopiero po półtorej godziny udało się ustabilizować bicie serca mężczyzny i ciśnienie krwi. Pozostał w śpiączce i przewieziono go na OIOM. – Po ponad tygodniu w stanie śpiączki – kontynuowała pielęgniarka – pacjent wraca na oddział intensywnej opieki kardiologicznej i spotykam go tam przy okazji rozdawania leków. Ujrzawszy mnie, mówi: „No tak, pani będzie wiedziała, gdzie jest moja proteza”. Stoję jak osłupiała, a on mówi dalej: „Tak, tak, była tam pani, kiedy mnie przywieźli i wyjęła mi pani z ust protezę, i położyła ją pani na wózku; były na nim wszystkie te buteleczki i wysuwana szuflada pod spodem i tam

włożyła pani moje zęby”. Byłam totalnie zdumiona, ponieważ pamiętałam, że odbywało się to, kiedy ten mężczyzna był w stanie głębokiej śpiączki, a my prowadziliśmy resuscytację. Po kilku kolejnych pytaniach okazało się, że pacjent widział siebie leżącego na łóżku i że patrzył z góry, jak pielęgniarki i lekarze uwijali się przy nim. Był również w stanie dokładnie, ze szczegółami, opisać salkę, w której prowadzono akcję ratowniczą, a także wygląd obecnych tam osób.

„Przypadek z protezą” jest obecnie często omawiany przez badaczy, podobnie jak „przypadek Reynolds”[79]. W 1991 roku piosenkarka Pam Reynolds poddała się w Atlancie w stanie Georgia operacji usunięcia tętniaka mózgu, który mógł pęknąć i zabić ją w każdej chwili. Z powodu jego umiejscowienia, czterdzieści czy pięćdziesiąt lat wcześniej operacja taka spowodowałaby śmierć. Teraz jednak możliwe było hipotermiczne zatrzymanie krążenia pacjentki z obniżeniem temperatury jej ciała do 15 stopni, tak żeby nie dopuścić do krwawienia tętniaka podczas operacji. Kiedy kobietę wychłodzono, odsączono z jej mózgu całą krew. Z jakiegoś powodu w trakcie tej indukowanej śmierci klinicznej mózgu, Reynolds uświadomiła sobie, że jest przytomna i że znajduje się poza ciałem. Absolutnie nie była oszołomiona – wręcz przeciwnie, czuła się bardziej bystra i czujna niż kiedykolwiek w życiu. (W jednej z analiz dokumentacji medycznej dotyczącej zgłoszonych przypadków NDE stwierdzono, że ludzie, którzy przeżyli doświadczenie z pogranicza śmierci, opisywali zwiększenie wydolności umysłowej znacznie częściej[80], kiedy byli fizjologicznie bliscy śmierci niż wtedy, kiedy w takiej sytuacji nie byli. Interpretacja jest sprawą indywidualną. Owens, 1990).

Będąc poza ciałem, Reynolds widziała niezwykle piłą do cięcia kości, którą posługiwali się neurochirurdzy, otwierając jej czaszkę (ponad i za oczami, które były zaklejone taśmą). Reynolds poinformowała później, że piła emitowała niealterowany dźwięk D. Piosenkarka zauważyła też dziwaczny wzorek, jaki wygolono w jej blond włosach, i słyszała kobiecy głos, który mówił, że jej naczynia udowe są zbyt wąskie, aby wykorzystać je do utworzenia bajpasu sercowo-płucnego. Reynolds opowiedziała również, że – po powrocie z niezwyklego spotkania ze Światłem i zmarłymi krewnymi – zobaczyła, jak jej ciało dwukrotnie „podskoczyło”. (Po operacji doszło do nagłego zatrzymania krążenia i została poddana defibrylacji). Powrót do ciała

„był jak skok do stawu z lodowatą wodą”. (Jeżeli ludzie czują euforie związaną z uwolnieniem endorfin, co czasami proponuje się jako wyjaśnienie NDE, efekt chemiczny nie powinien kończyć się raptownie, a w dodatku dziwnym zbiegiem okoliczności dokładnie w tym momencie, kiedy osoby te doznają psychicznego doświadczenia powrotu do ciała. Wykazano, że endorfiny krążą przez wiele godzin). Reynolds rozpoznała też piosenkę *Hotel California*, której słuchali lekarze i zażartowała, że fragment „Możesz wymeldować się w każdej chwili, ale nigdy stąd nie wyjedziesz”[81] był niewiarygodnie nie na miejscu, zważywszy na jej przygnębienie z powodu konieczności powrotu do swojego leżącego na brzuchu ciała.

Wszystko, co widziała i słyszała, okazało się prawdą. Neurochirurg, który operował Reynolds, Robert Spetzler, powiedział później w wywiadzie dla BBC:

– Nie sądzę, żeby spostrzeżenia, jakie poczyniła, były oparte na tym, czego doświadczyła, kiedy wwożono ją na salę operacyjną. To było dla niej po prostu niedostępne. Na przykład wiertarka i tak dalej, wszystkie te sprzęty były przykryte. Są niewidoczne; były w opakowaniach. Naprawdę otwiera się je dopiero, kiedy pacjent jest całkowicie uśpiony. Chodzi o utrzymanie sterylności.

Keith Augustine[82], młody filozof i zdeklarowany sceptyk, rozbudził na nowo zainteresowanie sprawą Reynolds i przekonywał, że mogła zobaczyć różne rzeczy po fakcie i opisać je, kojarząc retroaktywnie; mogła usłyszeć muzykę, piłowanie i rozmowę w normalny sposób, wybudzając się z narkozy, czego jakimś dziwnym trafem nie dostrzegły monitory śledzące jej fale mózgowie. Odpowiedziała na to psycholożka Janice Miner Holden:

– Mózg pani Reynolds[83] był monitorowany na trzy różne sposoby, aby lekarze mieli pewność, że jest odpowiednio głęboko znieczulona. Jednym z tych sposobów było monitorowanie funkcjonowania mózgu na najbardziej podstawowym poziomie przez stymulowanie słuchu za pomocą słuchawek dousznych. Augustine nie poinformował, że słuchawki, dopasowane do uszu Reynolds, przez cały okres narkozy emitowały trzaski o natężeniu dziewięćdziesięciu do stu decybeli w tempie jedenaście do trzydziestu trzech sygnałów na sekundę. To głośność kosiarki do trawy, jak podano w opisie.

Ogłuszający warkot kosiarki w uszach podczas otwierania czaszki miał służyć monitorowaniu reakcji pnia mózgu na bodźce. Zastosowano taki poziom hałasu, żeby mieć pewność, iż pacjentka jest *głęboko nieprzytomna*. Wyobraźmy sobie, że jesteśmy w narkozie, pod wpływem silnych anestetyków, że mamy zatkane uszy, do których doprowadzany jest bezpośrednio dźwięk wydawany przez kosiarkę, ale i tak jesteśmy zbyt nieprzytomni, żeby go zarejestrować – a mimo wszystko słyszymy lekarzy mamroczących coś o żyłach tętniczej. Nie jest to zupełnie niemożliwe – jak zauważył mój mąż muzyk, głusi potrafią przecież grać, wyczuwając wibracje. Można wszakże śmiało stwierdzić, że grupa Eagles nie grała tego dnia na żywo na sali operacyjnej, więc wibracje musiały dochodzić z radia i od mrujących lekarzy.

Jest tylko jedno alternatywne wytłumaczenie tego zdarzenia – pacjentka poznała całą procedurę w szczegółach już po fakcie i z jakiegoś powodu postanowiła przepleść fałszywe wspomnienia z wyimaginowanym spotkaniem ze świętością.

*

Psycholożka Susan Blackmore[84], która poświęciła się podważaniu istnienia doświadczeń duchowych, rozpowszechniła wielce wpływową teorię o tym, co dzieje się podczas NDE, nazywaną „hipotezą o umierającym mózgu”. Postrzeganie świata spoza własnego ciała, przekonuje Blackmore, „to sposób, w jaki mózg radzi sobie z rozpadem zarówno obrazu ciała, jak i modelu rzeczywistości” w obliczu zbliżającej się śmierci. Może to być spowodowane bólem, urazem, a „możliwe, że mózg nie jest już w stanie zbudować dobrego obrazu ciała, nawet gdy ma odpowiednie informacje, ponieważ przestaje funkcjonować właściwie”. Aby w tym stanie skonstruować cielesne ego, mówi Blackmore, sięgamy do wspomnień i ustawiamy się tak, żeby widzieć siebie z „ptasiej perspektywy”[85]. „Pamięć może dostarczyć wszystkich informacji o ciele, o tym, jak wygląda, jak odczuwa i tak dalej. Może też

podsunąć dobry obraz świata. »Gdzież to ja byłam? A tak. Leżałam na ulicy po tym, jak potrącił mnie samochód«”.

Aby dowieść słuszności tezy, że pamięć mogłaby z jakiegoś powodu działać w ten sposób, Blackmore wykorzystwała dwa badania doświadczalne – jedno nad halucynacjami i drugie na temat tego, jak konstruuje wspomnienia studenci – w żadnym z nich w rzeczywistości nie wyciągnięto wniosku, że ludzie posługują się „ptasią perspektywą”, patrząc na swoje doświadczenia. Jest bardziej prawdopodobne, że pamiętają to, co widzieli z miejsca, gdzie się wówczas znajdowali – takim punktem obserwacyjnym mogłaby na przykład być jezdnia, na której człowiek potrącony przez samochód leży na plecach. Zastanówmy się. Czy ktoś w ogóle pamięta jakiś epizod ze swojego życia z perspektywy sufitu? Blackmore, chociaż zarzucono jej marną argumentację, wciąż trwa przy swym lekceważącym stosunku do zagadnienia: „Mamy w końcu prostą teorię[86] tłumaczącą eksterioryzację. Normalny model rzeczywistości ulega rozpadowi i system próbuje wrócić do normy, budując nowy model na podstawie wspomnień i wyobrażeń. Jeżeli ten model ujrzymy z lotu ptaka, odbywa się wyjście z ciała”.

Niefrasobliwe lekceważenie przez Blackmore wciąż niezbadanej tajemnicy eksterioryzacji jest w rzeczy samej mylące. Jak dotąd nie ma zgodnej opinii na temat tego, co dzieje się w ludziach doświadczających pobytu poza ciałem; nie wiadomo nawet, czy wszyscy odczuwają to samo.

Szwajcarski neurobiolog Olaf Blanke[87], który badał zjawisko wyczuwania obecności, wykonał też w swoim laboratorium skan mózgu kilku pacjentom neurologicznym i zasugerował, że eksterioryzacja, podobnie jak wyczuwanie obecności, jest rezultatem „nagłej dysfunkcji obszaru mózgu, gdzie łączą się płaty skroniowy i ciemieniowy”. Jednak inni naukowcy podeszli krytycznie do prac Blankego. „Interpretacja wniosków z badań empirycznych Blankego i jego kolegów jest kontrowersyjna”[88], pisze amerykański neuropsychiatra Michael Kelly. Główne zastrzeżenie budzi fakt, że u osób, które miały spontaniczne OBE, nie wykazywano objawów tej szczególnej dysfunkcji mózgu. To samo zastrzeżenie jest wysuwane co do uznawania OBE za symptom napadu padaczkowego. Austriacki neurolog Ernst Rodin[89], który przed przejściem na emeryturę specjalizował się w epilepsji, powiedział: „Mimo iż w czasie trzydziestu lat pracy zawodowej widziałem setki

pacjentów z napadami skroniowymi, nigdy nie spotkałem się z tym objawem (NDE) jako częścią napadu padaczkowego”.

Wszystko to sprowadza się do konstatacji, że jak dotychczas nie ma po prostu żadnej jasności co do tego, na czym właściwie polegają te zjawiska. „Ludzie przekraczają wszelkie granice i popadają w skrajność, próbując jakoś to zaszukować”[90], zauważył dr Sam Parnia. Skoro to coś nie może być duchowe, to jeżeli uda się nam z grubsza zbliżyć do tego w ten czy inny sposób, w warunkach laboratoryjnych, uznajemy to za ten czy inny proces neuronalny. Podaje za przykład badanie przeprowadzone na studentach-ochotnikach[91] wyekwipowanych w specjalne gogle, które pokazywały im obraz rzucany przez kamerę ustawioną za nimi. Innymi słowy, widzieli oni w tychże okularach własne plecy[92]. Ochotników pozostawiono w goglach przez pewien czas. „Po chwili tak przywykli do tego obrazu, że wydawało im się, iż patrzą na siebie od tyłu. Wówczas badacze sfingowali atak na kamerę, zamierzając się na nią młotkiem. Badani przestraszyli się, ponieważ przez moment poczuli się, jakby ktoś atakował ich od tyłu”. „Badacze wysnuli z tego wniosek – utyskuje Parnia – że udało im się odtworzyć eksterioryzację w warunkach laboratoryjnych. Oczywiście nie jest to nawet zbliżone do tego, co przeżywa osoba poważnie chora, u której nastąpiło zatrzymanie akcji serca, która została poddana resuscytacji, a potem opisała to, co słyszała i widziała, przebywając poza ciałem... Zastanawiam się wręcz, czy badacze w ogóle kiedykolwiek spotkali się i rozmawiali z ludźmi, którzy doświadczyli wyjścia z ciała”[93].

OBE w związku z zatrzymaniem krążenia jest dość rzadkie, a w każdym razie rzadko pamiętane. Parnia stwierdził na podstawie własnych, wciąż trwających badań, prowadzonych w kilku współpracujących ze sobą szpitalach w Stanach Zjednoczonych i Europie, że wyjście z ciała zgłosiło mniej niż 1 procent wszystkich chorych, którzy przeżyli zatrzymanie akcji serca. Po części może to być rezultatem urazu mózgu związanego z zatrzymaniem krążenia. Komórki hipokampu[94], obszaru mózgu uważanego za podstawowy w procesie kształtowania pamięci, są szczególnie podatne na uszkodzenia. Zarówno urazy głowy, jak i deficyt tlenowy, zwany anoksją, zazwyczaj powodują pourazową amnezję. *Nie pamiętam upadku... Ostatnie, co pamiętam...*

Parnia jest ostrożny, gdy chodzi o powszechne przypisywanie doświadczeń z pogranicza śmierci niedoborowi tlenu[95]. W badaniach nad chorymi po zatrzymaniu krążenia, prowadzonych przez niego przez rok w szpitalu w Southampton w Anglii, zanim przeniósł się do Stanów Zjednoczonych na Uniwersytet Cornell, pacjenci, którzy mieli NDE, wykazywali lekko podwyższone nasycenie krwi tlenem w stosunku do osób, które nie przypominały sobie przeżycia NDE. „Nasza próbka wyraźnie nie potwierdzała teorii, że NDE jest powodowane brakiem dopływu tlenu do mózgu – napisał. – Z medycznego punktu widzenia brak tlenu jest bardzo powszechnym problemem w szpitalach. Wielu lekarzy pracujących przy nagłych przypadkach styka się z tym regularnie, zwłaszcza u pacjentów, których płuca lub serce nie pracują prawidłowo – na przykład przy poważnej astmie lub niewydolności serca... Kiedy spada poziom tlenu we krwi, pacjenci stają się niespokojni i ostro zdezorientowani. Ten »ostry stan splątania«, jak nazywa się go w medycynie, jest czymś zupełnie innym niż doświadczenie śmierci. U chorych w tym stanie pogłębia się »zmęcenie świadomości«, czemu towarzyszy znaczne pomieszenie myśli i słaba pamięć zdarzeń albo jej całkowity brak... Gdyby teoria umierającego mózgu była prawidłowa, spodziewałbym się, że w miarę spadku poziomu tlenu we krwi pacjenta stopniowo rozwijałaby się iluzja tunelu i/lub światła. W praktyce pacjenci z niskim poziomem tlenu nie wspominają o spotkaniu ze światłem czy tunelem ani o innych zdarzeniach typowych dla NDE”.

W 2005 roku neurolog z Uniwersytetu Kentucky, Kevin Nelson, wysunął tezę, że doświadczenie śmierci to coś zbliżonego do snu na jawie[96]. Twierdził, że osoby, które miały NDE, wydają się bardziej podatne na tzw. intruzję REM, czyli napadowe pojawienie się fazy snu REM podczas czuwania, po uruchomieniu się u nich mechanizmu walcz lub uciekaj, co jest zakłóceniem snu podobnym do występującego u ludzi doświadczających koszmaru paraliżu nocnego. Osoby w tym stanie nie mają wrażenia, że śpią, wydaje się im, że czuwają, podczas gdy w rzeczywistości są w stanie snu zwanym fazą REM, w której występują szybkie ruchy gałek ocznych (Rapid Eye Movement). Teoria ta wzbudziła duże zainteresowanie mediów i pamiętam, że w lokalnej audycji radiowej słyszałam, jak po wydaniu książki o swych odkryciach Nelson ją tłumaczył. Pamiętam również, że w czasie programu poproszono o komentarz dwie osoby, które doświadczyły własnej śmierci, a one powiedziały tylko: „Odczepcie się od mojego NDE”. Nelson

okazał pełne zrozumienie dla tego odczucia i publicznie określił NDE jako „doświadczenie duchowe”. Dodał tylko, iż sądzi, że można je wyjaśnić naukowo.

W reakcji na rewelacje Nelsona radiolog Jeffrey Long i psycholożka Janice Holden zauważyli, że 40 procent badanych przez niego osób, które przeżyły NDE, odpowiedziało „nie” na jego pytanie, czy doznali intruzji REM[97]. „Jeżeli 40 procent badanych twierdzi, że nie doznało w całym swoim życiu choćby jednego epizodu intruzji REM, pomyśl, że intruzja REM »leży u podłoża« NDE albo »predysponuje« daną osobę do NDE[98], kiedy jest ona w sytuacji zagrożenia życia, wydaje się w najlepszym razie wątpliwy”, przestrzegają Long i Holden. Z kolei Willoughby Britton, naukowiec z Uniwersytetu Browna, odkryła – w badaniu poświęconym innemu zagadnieniu – że ludzie po NDE wchodzą w fazę REM[99] średnio niemal sześćdziesiąt minut później niż inni. Dziennikarce próbującej wszystko to jakoś uporządkować, ręce same podnoszą się do góry.

*

Zatoczyliśmy koło i wracamy teraz do qualiów – subiektywnej percepcji – doświadczenia śmierci. Jest ono tak głębokie i tak wyraziste jak podróż bohatera, tak skomplikowane i tak pouczające jak mit^[12]. I co więcej, odczuwa się je jako absolutnie prawdziwe. Dlaczego sfera numinotyczna miałyby być bardziej prawdziwa niż nasza rzeczywistość, tysiąckrotnie bardziej prawdziwa? Czy dlatego, że wszystkie zmysły są wyostrzone, uczucia nasilone, a świadomość prawdy jakimś sposobem radykalnie spotęgowana? Nie wiemy tego. Tak po prostu jest.

– Zarabiam na życie jako psychiatra kliniczny i mam do czynienia z ludźmi, którzy nie mogą poradzić sobie z odpowiedzią na pytanie, co jest prawdziwe, a co nie jest prawdziwe, co jest lub nie jest urojeniem – mówi psychiatra Bruce Greyson[100]. – Spędziłem trzydzieści lat, zajmując się ludźmi, którzy

mieli doświadczenie śmierci i którzy powiedzieli mi, że być może ten świat jest rzeczywisty, ale TAMTEN jest bardziej rzeczywisty. Tak więc dużo myślałem nad tym, „co to jest ta rzeczywistość”. Nie używamy jako kryterium tego, co dzieje się w naszym mózgu. Ludzie zastanawiają się, czy to doświadczenie subiektywne, czy obiektywne. Ale de facto nie tak rozmawiamy o rzeczywistości. O odczuciach wszyscy mówimy, że są prawdziwe albo udawane. Czy to ból prawdziwy, czy fałszywy? To nie jest sprawa obiektywna. Ból, miłość, nienawiść, arogancja są to kwestie subiektywne, ale nazywamy je prawdziwymi lub nieprawdziwymi. – Nie możemy po prostu rozciągnąć tego na doświadczenie rzeczywistości duchowej, ponieważ tak *nie można*.

Kiedy Nancy Bush[101], kobietę, która wystraszyła się swojego NDE, zapytano, które z zadawanych jej pytań jest według niej najbardziej irytujące, powiedziała:

– Chyba najbardziej nie lubię, gdy mnie pytają: „Czy wierzy pani w te doświadczenia śmierci? Czy one są prawdziwe? Czy pani naprawdę w to wierzy?”. To równie denerwujące jak mały uprzykrzony komar, ponieważ wskazuje na brak myślenia. To są przeżycia! Nie można pytać ludzi: „Czy twoje przeżycie jest prawdziwe?”. Tak samo jak nie można pytać kogoś, kto ma ropiejący ząb, czy jego ból jest prawdziwy. Coś przeżywasz; oczywiście, że jest to prawdziwe – to przeżycie autentyczne. Ale co to znaczy? To już inna sprawa. Czy wierzę w te doświadczenia? Oczywiście, że w nie wierzę. Czy wierzę, że są prawdziwe w ścisłym tego słowa znaczeniu? To inne pytanie, a odpowiedź jest dużo bardziej skomplikowana.

Pozostaje nam wyjątkowość i siła przeżycia duchowego. W 2008 roku podczas odbywającej się w Nowym Jorku i sponsorowanej przez ONZ konferencji na temat dylematu psychofizycznego, Bruce Grayson, rozwodząc się nad naturą rzeczywistości, powiedział: „Nie mamy wskaźników mierzących poziom oświecenia we krwi, ale możemy badać jego następstwa”[102]. Systematycznie stwierdza się na przykład, że ludzie, którzy doświadczyli własnej śmierci, są wyraźnie odmienieni. Stają się mniej dogmatycznie religijni – jeżeli w ogóle byli religijni – a jednocześnie bardziej aktywnie uduchowieni. Z badania Cherie Sutherland wynika, że spośród Australijczyków, którzy doświadczyli śmierci, 46 procent twierdzi, że przed

NDE nie miało żadnej przynależności religijnej; procent ten podskoczył do 84 po NDE. Innymi słowy, NDE przekonało większość ludzi, którzy przeżyli to doświadczenie, że wyznawana przez nich doktryna – wszystko jedno jaka – była błędna[103]. Badania Holendra Pima van Lommela[104] pokazały, że uczęszczanie do kościoła spadło o 42 procent w grupie po NDE, podczas gdy uduchowanie prawie się podwoiło. Natomiast w grupie kontrolnej pacjentów, którzy przeżyli zatrzymanie krążenia, ale nie mieli (albo nie pamiętali) NDE, wykazano po ośmiu latach czterdziestodwuprocentowy spadek zainteresowania duchowością. (Przysłowie mówi wprawdzie, że „w okopach nie ma ateistów”, ale wielu powraca do tej filozofii, kiedy już minie niebezpieczeństwo – chyba że zetknęli się z numinotycznością)[105].

Jak zatem wygląda aktywne uduchowanie? Według badań van Lommela współczucie i empatia wzrosły po upływie ośmiu lat o 73 procent, przy czym w grupie kontrolnej o 50 procent. Zainteresowanie statusem materialnym spadło o 50 procent, podczas gdy w grupie kontrolnej to samo zainteresowanie – pogoń za pieniędzmi, dążenie do sukcesu – wzrosło o 33 procent. Uduchowanie to pielęgnowanie miłości, znajomość celu i zaakceptowanie faktu, że ego jest zupełnie nieistotne.

*

W maju 2013 roku spotkałam się ponownie z Davidem Bennettem w Syracuse, gdzie zorganizował on prelekcję neurochirurga Ebena Alexandra na temat własnego NDE. Bennett – z biało-siwymi włosami ostrzyżonymi na modłę wojskową, w okularach bez oprawek – wyglądał zadziornie i przypomniał mi aktora Jamesa Gandolfiniego. Zwykły facet z klasy robotniczej stanu Nowy Jork, tyle że z lekko udreńczonym wyrazem twarzy. Ci, którzy przeżyli głębokie NDE, potrzebują przeciętnie dwunastu lat, żeby wcielić „radikalną zmianę w odbiorze rzeczywistości” w dalsze życie i z pewnością dotyczyło to Bennetta. Dopiero kiedy w 1994 roku przyjaciele zaprosili go na pustynię w Arizonie, gdzie mógł zagłębić się w medytacjach,

udało mu się stawić czoło temu, co mu się przydarzyło. W trakcie medytacji przeżył ponownie całe doświadczenie śmierci, a skończyło się to płaczem i ogólnym roztrzęsieniem na półce skalnej arizońskiego płaskowyżu.

– To było, jakby mi ktoś przywalił kantówką – powiedział – i chciało mi się krzyczeć: „Okej, już dobrze, dobrze, wszystko rozumiem”. Będę teraz musiał zacząć żyć od nowa, wiedząc to, co wiem. – Kiedy odnalazł go znajomy, Bennett po raz pierwszy opowiedział mu swoją historię, a ostatecznie zorganizował i poprowadził grupę wsparcia dla, jak ich nazywam, przypadkowych mistyków z północnej części stanu Nowy Jork.

W Syracuse Bennett[106] wystąpił w marynarce, ale bez krawata i wydawał się nieco przytłoczony liczbą ludzi, którzy przybyli na prelekcję. Normalnie jego grupa ściąga na spotkania dziesięć, dwadzieścia osób, ale Alexander[107] był od wielu miesięcy na liście bestsellerów. Tak więc pojawiło się mnóstwo ludzi i sala pękała w szwach. Były tylko miejsca stojące. Moja siostra Anne zamówiła książkę Alexandra, kiedy opowiedziałam jej, że nawołuje on do rozrachunku nauki z duchowością. Nie jestem pewna, co w szczególności przyciągnęło jej uwagę, jako że ja książki o doświadczeniu śmierci czytam już od kilku lat, ale było coś w Alexandrze, co ją zainteresowało. I właśnie to skłoniło ją do towarzyszenia mi w drodze na jego wykład w Syracuse, dokąd dojechałyśmy wschodnią częścią autostrady międzystanowej nr 90 prowadzącą na północ od Finger Lakes.

Podobnie jak większość spotkanych przeze mnie ludzi, którzy doświadczyli transformacji duchowej, tak i Alexander, wchodząc na mównicę, miał w sobie spokój. Spokój i skromność. Przypuszczam, że kiedy człowiek dowie się, że Bóg go kocha i że zawsze będzie go kochał, przestaje mieć tremę dręczącą całą resztę rodzaju ludzkiego.

Nie można jednak powiedzieć, że po Alexandrze nie widać żadnego skrepowania. Nosi wprawdzie charakterystyczną muszkę i zachowuje się z pewnością siebie, której należałoby się spodziewać po chirurgu będącym od lat potentatem finansowym i intelektualnym, ale to nie Franciszek z Asyżu, który, odkrywszy Bo-ga, odrzucił cały swój ziemski dobytek. Zamiast tego Alexander odrzucił swój światopogląd, a w każdym razie pozycję racjonalisty w sferze medycznej. (Tony Cicoria po NDE powiedział, że dla chirurga „obnoszenie się z nowo nabytą wiedzą, opowiadanie, że widziało się

i słyszało rzeczy, których nie ma, nie wróżyłoby niczego dobrego w kręgach zbliżonych do Ministerstwa Zdrowia. Opowiadanie kolegom o moich przeżyciach było na samym końcu listy spraw do załatwienia”).

Alexander był zapracowanym neurochirurgiem w Wirginii, kiedy jesienią 2008 roku zachorował nagle na rzadkie bakteryjne zapalenie opon mózgowych. Atak był tak silny, że mężczyzna zapadł w siedmiodniową śpiączkę. Dawano mu z grubsza 3 procent szans na przeżycie, a jeszcze mniej na wyjście z choroby bez urazu mózgu. A jednak Alexander przeżył i wyszedł z tego stanu bez szwanku. Co więcej, niczym święty Paweł w drodze do Damaszku doznał oszałamiającego duchowego objawienia. Jego NDE było niezwykle głębokie, a zaczęło się od doznania, które nazwał spojrzeniem dżdżownicy.

– Upływ czasu w tej krainie jest zupełnie inny, więc nie wiem, jak długo przebywałem w mrocznym podziemiu – powiedział. – Jakbym był zanurzony w brudnej galarecie i słuchał jakichś łomotów, jakiegoś walenia. To brzmi przerażająco, ale jako że nie pamiętałem nic z normalnego życia, zaakceptowałem to. – Ten opis przypomina egipską *Księgę Umarłych*, gdzie życie po śmierci zaczyna się od skoku w głąb mrocznej krainy Duat, w której łatwo się zagubić; dopiero potem można wznieść się do sfer wyższych. Ta księga to w istocie papirus wtykany wraz z mumią do grobowca, mający służyć za przewodnik czy mapę drogową w innym życiu. To podobieństwo niewątpliwie przyszło do głowy również ghostwriterowi Alexandra, dziennikarzowi Ptolomy’emu Tompkinsowi, który pisał o starożytnych wierzeniach dotyczących życia po śmierci. Dla mnie wskazywało to również na to, co może dziać się ze świadomością, kiedy zapada się na tak beznadziejną chorobę jak zapalenie opon mózgowych.

Doświadczenie śmierci Alexandra było o tyle niezwykle, że przemieszczał się on tam i z powrotem między trzema różnymi krainami – mrocznym podziemiem, piękną doliną i jakimś wyższym boskim królestwem. Być może wychodził ze swego schorowanego ciała i na powrót do niego wchodził, tak jak się to dzieje z umierającymi, ale kto wie? Co do doliny, lekko drżącym głosem, który stał mi się dobrze znany, kiedy Alexander przedstawiał swoje doświadczenia, stwierdził, że „była *piękna*. Bardzo trudno to ująć w kilku słowach”. Natomiast o nieskończonym boskim królestwie i o swoim

przeżyciu w ogóle nie powiedział:

– Nie potrafię opisać, jak *totalnie* uspokajająca jest ta bezwarunkowa miłość. To było absolutnie czyste i doskonałe... nawet kiedy badałem to doświadczenie jako zjawisko neurologiczne, wciąż byłem zniewolony potęgą tej miłości. – (Początkowo założył, że było to doświadczenie biologiczne wymagające lepszego wytłumaczenia, ale... ta zniewalająca miłość. I oto naukowiec nie był ostatecznie w stanie odwrócić się plecami do numinotyczności. Jednak jako tenże naukowiec czuł się jednocześnie w obowiązku obstawać przy tym, że jego mózg był całkowicie nieaktywny i że nie ma innego wyjaśnienia. Mistycy powiedzieliby: „Chrzań to, co za różnica? Wiesz to, co wiesz. Dowiedziałeś się tego, czego się dowiedziałeś”).

Czytając po raz pierwszy w swej karierze dominujące obecnie teorie na temat tego, co dzieje się podczas NDE, Alexander był „zaskoczony tym, jak są mętne, nieprzekonujące”. Wyjaśnił, że nie zamierzał nadać swojej książce tytułu *Dowód*^[13].

– Nikt nigdy nie zdobędzie naukowego dowodu na istnienie tego królestwa – powiedział – więc ten tytuł wprowadza w błąd. To królestwo jest dla nas niepojęte. Bóg to malusieńkie ludzkie słowo. Nie ma takiej możliwości, żeby stworzony mózg kiedykolwiek w pełni zrozumieć stwórcę. – Chciał też wyraźnie zaznaczyć, że nie uważa tego królestwa za niebo w sensie chrześcijańskim. Choć został wychowany po chrześcijańsku, nic w jego doświadczeniu śmierci nie przekonało go, że Jezus Chrystus jest jedynym prorokiem czy zbawicielem.

– W ciągu czterech i pół roku od mojego NDE starałem się znaleźć światopogląd, który ma sens. Musimy znieść sztuczne granice między religiami oraz między religią a nauką.

Moja siostra kiwała głową z aprobatą, „mhm”. Jest profesorem religioznawstwa i bahaitką. Bahaici wierzą, że wszyscy prorocy pochodzą od tego samego Boga i że ludzkość zwycięży, jeżeli religie i nauki się połączą. *Unio mystica*. Następnego dnia poszliśmy rano na spacer nad jezioro. Nowa wiosenna zieleń, słońce, błękit nieba – pogoda jak z dziecięcych książeczek: spokojna i łagodna, cudowna i doskonale niebieskozielona. W tych książeczkach wszyscy zawsze są radośni. Udałyśmy się w kierunku

ogromnego centrum handlowego Factory Outlet Mall, żeby Anne i moja siostrzenica Kira zapolowały na tanie torebki i okulary przeciwsłoneczne. Siostra potrafi w sposób według mnie godny podziwu balansować między głębokim zaangażowaniem religijnym a słabością do łowienia okazji. Na pogrzebie ojca zażartowała: „Najpierw oświecenie, a potem pranie”.

W drodze do domu siostrzenica zastanawiała się cała zatroskana, jak odnaleźć swoje miejsce w świecie, przy tej gospodarce, w tych czasach. Bezrobocie wśród młodych jest bardzo wysokie, nawet wśród tych z dyplomem magistra. Jej niepokój wzbudziły też słowa Ebena Alexandra na temat przeglądu życia – że czuje się wtedy ból, który zadało się innym ludziom. Przerażało ją to, chociaż jest jedną z najłagodniejszych, najbardziej uroczych młodych kobiet, jakie znam. Skrzywdziła może co najwyżej kilka mrówek. Ale nawet myśląc o tym, była przygnębiona, a Anne – wyrozumiała i opiekuńcza jak wszystkie matki – uspokajała ją, zapewniając, że nie ma się czym martwić. Jeszcze nie.

Jest to podstawowy dylemat naszej kultury – jak podejść do duchowej rzeczywistości, na którą spoglądamy przez pryzmat tego, co dzieje się, kiedy umieramy. Życie jest dostatecznie skomplikowane bez wszystkich niejasności i zawiłości związanych z tym, co może nastąpić potem. Chcemy albo szybkiego zapewnienia, że jest to coś niebiańskiego, albo błyskawicznej egzekucji – światło gaśnie, mózg umiera. Tak jest prościej. Pamiętam, jak mniej więcej dziesięć lat temu jechałam z matką samochodem i nie wiedzieć czemu, podjęłyśmy temat życia po śmierci. Mama z ufnością zacytowała jakiegoś starożytnego rzymskiego myśliciela: „Tam, gdzie jest śmierć, mnie nie ma; tam, gdzie ja jestem, nie ma śmierci”[108]. Brzmiało to dobrze. To było przed Katharine i tatą, zanim wszystko się nam pomieszało. Teraz wolę cytować indyjskiego laureata Nagrody Nobla, Rabindranatha Tagore: „Śmierć nie gasi światła; wyłącza tylko lampę, ponieważ nadchodzi świt”[109].

ROZDZIAŁ 7

Zaczarowana granica

Im bardziej dominuje krytyczny rozum, tym uboższe staje się życie[1]. Ale im bardziej to, co nieuświadomione i co jest mitem umiemy sobie uświadomić, tym więcej wnosimy do naszego życia. Nadmiernie stawiany na piedestale umysł ma coś wspólnego z politycznym absolutyzmem – pod ich rządami jednostka jest zubożona.

Carl Jung

(tłum. z j. ang. Sławomir Rzyżyk)

Zbliża się Halloween. W Rhinebeck, miejscu położonym około półtorej godziny jazdy na północ od Nowego Jorku, panuje wspaniała amerykańska jesień, jak na zdjęciach z magazynu Marthy Stewart: białe płotki ze sztachet, czyściutkie chodniki z pomysłowo ozdobionymi dyniami, powietrze przesycone zapachem dębów i klonów w płomiennych brawach. Na murawie hobbystycznych gospodarstw pasą się zadbane konie. W Halloween zmarli są tu mile widziani tylko w ładnych strojach albo jako upiorne, ale drogie ozdoby trawników, natomiast w Omega Center, kompleksie relaksacyjno-kontemplacyjnym ulokowanym w lasach niedaleko Rhinebeck, poważnie podchodzi się do ich przywoływania. Ośrodek prowadzi weekendowe warsztaty na temat sztuki medytacji, praktyki reiki, uzdrawiania dźwiękiem. Ten weekend jest w całości poświęcony „przetrwaniu duszy” i wszystkie bilety na to wydarzenie zostały sprzedane.

W głównym audytorium ośrodka, otoczonym sosnowym lasem i organicznymi ogrodami z późno dojrzewającymi odmianami owoców i warzyw, na drewnianym podium, na tle czerwonej kotary, siedzi w fotelu-uszaku Raymond Moody[2] z nogami założonymi jedna na drugą, lekko poruszając stopą w czarno-białym adidasie z neonowozielonymi sznurówkami. To nieco dziwne obuwie jak na podstarzałego dżentelmena z Południa. Czyżby chodziło mu o absolutną wygodę, o komfort psychiczny, podobnie jak trzystu osobom, które przybyły tu wolnym krokiem ze swych spartańskich letnich domków rozrzuconych po całym terenie tego starego

przerobionego obozu letniego? Przyszli tu, żeby go posłuchać, wielu wciąż w szoku po niedawnej śmierci kogoś bliskiego. Jest tu młoda kobieta, która dwa tygodnie temu straciła narzeczonego – zginął w wypadku motocyklowym w Brooklynie – zrozpaczona, bo nie dotarła do niej informacja, że zmarł i kontynuowała pracę w restauracji jeszcze przez trzy godziny po jego śmierci. Jest kobieta, schludnie ubrana w kaszmirowy bliźniak, która widziała swojego ojca unoszącego się po śmierci z łóżka, tak jakby jego ciało zostało ożywione przez jakąś tajemną siłę. Wśród zgromadzonych siedzi też Rosjanin, który pochłonął pierwszą książkę Moody’ego, kiedy natknął się na jej egzemplarz w oficjalnie ateistycznym Związku Radzieckim. Jest również mężczyzna ewidentnie bogaty, który miał doświadczenie śmierci po wypadku na nartach w Aspen, a teraz czuje się zagubiony, stojąc „w dwóch światach”. Krótko mówiąc, prawie wszyscy tu obecni własnymi siłami poszukują odpowiedzi na dręczące ich pytania natury duchowej. Odtrąceni przez środowiska naukowe i medyczne oraz media, a również przez wiele Kościołów, które krzywo patrzą na spontaniczne duchowe spotkania ze zmarłymi, koniec końców zbierają się właśnie tutaj.

– Wszechświat jest zainteresowany tylko tym, czy nauczyliście się kochać. – Moody zapewnia słuchaczy, którzy, siedząc na przeróżnych poduszkach i krzesłach, trzymają w rękach notatniki i filiżanki z kawą. Ze swym śpiewnym południowym akcentem i wysokim głosem przypomina nieco pisarza Trumana Capote’a. Drobny, bystry, outsider. Opisał to, co w ciągu trzydziestu lat, kiedy zgłębiał tajemnice NDE, usłyszał od tysięcy ludzi i przemawia teraz niczym prawdziwy mędrzec.

– Bez względu na to, za czym się wcześniej uganiali, za sławą, władzą, pieniędzmi, wracają stamtąd, wiedząc, że liczy się tylko miłość – wyjaśnia. Mówi o tym, jak trudno żyć z tą nowo nabytą wiedzą i jak zwodnicza może być ścieżka, po której kroczą. – Ci ludzie znają cel. – Niestety, niekoniecznie wiedzą, jak go osiągnąć. – Trudno przetrwać zwykły, przeciętny dzień, nie chcąc udusić przynajmniej jednego człowieka. – Słuchacze chichoczą, ale to śmiech przez łzy.

Każdy ma problem z osiągnięciem celu, jakim jest kochać doskonale, ale ludzie, którzy przeżyli NDE, nabierają przynajmniej pewnego rodzaju odwagi, twierdzi Moody. Widział, jak niektórzy z nich umierali wiele lat

później, wciąż mając w sobie „absolutny brak strachu przed śmiercią”. Zastanawia się nad innymi cechami charakterystycznymi, z którymi się zetknął i przytacza niezwykle przypadki „łabędziego śpiewu”, kiedy to ludzie, umierając, śpiewają albo recytują poezję.

– Jej twarz robiła się szara – wspomina pacjentkę, którą jeszcze w szkole medycznej próbował ratować. – Moja resuscytacja nie działała, a kobieta i tak recytowała poezję.

(Wygląda to na przedśmiertną jasność umysłu, która z kolei odzwierciedla podwyższoną percepcję i spotęgowaną zdolność odczuwania podczas przeżyć mistycznych i NDE. Kiedy umiera mózg, możliwości zmysłów stają się nieograniczone).

Choć jest psychiatrą, Moody zachowuje się obecnie jak ksiądz, w czym przypomina Ebena Alexandra. Tyle że Alexander jest charyzmatycznym kaznodzieją, zaś Moody to towarzyski wiejski proboszcz służący radą i dodający otuchy – czego spragnieni są ludzie, którzy zetknęli się z numinotycznością – oferujący im mądrość badacza, dzięki której czują się mniej napiętnowani, mniej naiwni, mniej szaleni.

– Moje doświadczenie psychiatry pokazuje, że każdy jest szalony – mówi uspokajająco. – Kiedy ludzie po NDE pytają mnie, czy są normalni, odpowiadam: „A co to znaczy normalny?”. Normalny jest ktoś, kogo zbyt dobrze nie znamy. – Chichot słuchaczy zmienia się w gromki śmiech. – Ci, którzy doświadczyli śmierci, są często najmniejszymi neurotykami wśród znanych mi ludzi.

Moody poprosił zebranych, aby podnieśli rękę, jeżeli zdarzyło im się doświadczyć śmierci wspólnie z innymi. Ręce dwudziestu trzech osób zakołysały się w powietrzu, mniej więcej jedna dziesiąta obecnych na sali.

– Dlaczego ludzie siedzący przy łożu umierającego mieliby doświadczać tego samego co on? To nie ma sensu – mówi Moody. Jedna ze słuchaczek opowiedziała swoją historię. Była w szóstym miesiącu ciąży, kiedy jej matka leżała w ciężkim stanie na OIOM-ie. Przez całą noc siedziała skulona na jej łóżku szpitalnym i w pewnym momencie zaczęła wspólnie z matką oglądać panoramiczny przegląd jej życia. Myślała, że ma halucynacje, ale kiedy kilka

dni później matka wybudziła się ze śpiączki, opisała to samo przeżycie, te same szczegóły.

– Zajmujemy się tu sprawami bardzo trudnymi do wyjaśnienia. Kiedy dotrze to do świadomości publicznej – oświadczył Moody – zmieni się formuła debaty. Za pięć lat będzie to zupełnie inna dziedzina.

Być może. Niełatwo zmienić ton debaty, a jeszcze trudniej ulokować się w świecie, który znów staje się bardziej zaczarowany po niemal stu latach materializmu. Musimy być świadomi tego, że poruszamy się wzdłuż tak zwanej zaczarowanej granicy. To teren, w którym trudno nawigować, trudno dostrzec, gdzie kończy się to, co jest prawdą, co jest możliwe, a zaczyna się to, co prawdą nie jest i co nie jest możliwe, jako że granica między sceptycyzmem a wiarą jest rozmazana i rozedrgana.

Innym gościem Omega Center był sympatyczny bostończyk John Holland, znane medium, człowiek błyskotliwy i aż nazbyt skromny. Opowiadał nam historie ze swojego trudnego dzieciństwa, kiedy to widział różne rzeczy, których w ogóle nie powinien móc widzieć, miał wszystkie „te nielegalne doświadczenia”, był lekceważony i odrzucany przez inne dzieci. Wyjaśnił, że ignorował te zdolności przez wiele lat, ponieważ jedyne, co mu przynosiły, to drwiny. Pracował w Los Angeles jako barman i od czasu do czasu dawał upust zgorzknieniu, pretensji do świata, który się z niego naśmiewał, zaczynając ni stąd, ni zowąd czytać w myślach gości siedzących przy barze. Dosłownie zwał ich ze stołków, odsłaniając tajemnice, mówiąc na przykład: „Dopiero co umarła twoja ciotka”. Był to pewnego rodzaju psychiczny wandalizm. Znajomy przekonał go, żeby jednak zaprzestał tych praktyk, dorósł i popracował nad swoim darem. Holland udał się więc do Anglii, gdzie uczęszczał do kolegium dla osób ze zdolnościami mediumicznymi.

W Omedze przygotował się do sesji grupowej. Najpierw zaproponował, abyśmy poszli pospacerować do lasu i poprosili naszych bliskich, żeby przybyli, jeżeli chcą, i przemówili, jeżeli tego potrzebują; ostrzegł nas, że nie możemy zwracać się do naszych zmarłych ze swoimi potrzebami, mamy do nich podejść z miłością. Spacerując w jesiennym słońcu wzdłuż zaczarowanej granicy, poprosiłam zmarłą siostrę, żeby przyszła, jeżeli ma ochotę, i zapytałam ją, czy chce, żeby napisała tę książkę, czy może raczej

powinnam z tego zrezygnować i po prostu żyć dalej. Czy mam zostać, czy odejść? Nie miałam przekonania, że to, co właśnie robię, ma jakiś sens. Miałam wrażenie, że to wszystko jakaś gra na niby. Ale jednocześnie czułam, że chodzi o moją ukochaną siostrę, moją przyjaciółkę. A jeżeli naprawdę tu *jest*, a ja jestem zbyt dumna, żeby ją usłyszeć?

Kiedy znów cała grupa się połączyła, Holland wyjaśnił, że odczytując przekazy od duchów, będzie się podczas seansu przemieszczał do różnych części sali. W pewnym momencie sesji podszedł do mojego sektora i powiedział:

– To dla kogoś tutaj, w tym sektorze. Widzę staroświeckie radio.

Siedząca za mną kobieta w średnim wieku z rozczochranymi ciemnymi włosami krzyknęła natychmiast, że zgłosiła się na ochotnika do jednej ze stacji radiowych.

– Okay – kontynuował Holland. – Moja lewa strona zapada się. Widzę raka piersi, po lewej stronie, mastektomia.

– Miałam taki moment, kiedy prześladował mnie lęk przed rakiem! – znów krzyknęła kobieta.

– To nie był lęk – powiedział Holland. – To było śmiertelne.

Na sali zapadła cisza. Nie miałam zamiaru podnosić ręki i brać udziału w tych spekulacjach.

– Okay, mam Paryż – ciągnął Holland i chociaż Katharine urodziła się w Paryżu, a ja niedawno byłam tam w związku z moją książką, milczałam dalej. Kobieta za mną zawołała:

– Myślę o wyjeździe do Francji w następne lato, na południe!

– To nie jest południowa Francja – upierał się Holland. – To Paryż. – Zamilkł na chwilę, jakby wsłuchiwał się w jakiś bezcielesny głos. – Widzę chorobę tarczycy.

Tuż przed śmiercią Katharine zdiagnozowano u mnie niedoczynność

tarczycy. Była to w istocie jedna z ostatnich rzeczy, jakich się moja siostra o mnie dowiedziała. Nie odezwała się.

– Okay – powiedział Holland ewidentnie sfrustrowany z powodu niedopasowania przekazu do osoby, ale podjął jeszcze jedną ostatnią próbę. – Kiedy wychodzi książka?

– Mój wuj wkrótce wydaje swoje wspomnienia – oznajmiła kobieta, ale Holland zdecydował, że wiadomość nie była dla niej i ruszył dalej.

Siedziałam tam i czułam, jak huczy mi w głowie, kiedy nagle przypomniałam sobie ostatnią rozmowę z Katharine, zanim poszła do hospicjum. Rozmawiałyśmy o książce *Przejście*, którą obie przeczytałyśmy, napisanej przez autorkę fantasy Connie Willis. Głównymi bohaterami są naukowcy badający doświadczenia z pogranicza śmierci, wywołując takiż stan u siebie nawzajem i obserwując efekty. Jedna z badaczek przekracza próg i umiera. Odnajduje się na pokładzie Titanica, konstrukcji będącej metaforyczną wizją miejsca, w którym jest w rzeczywistości – jak plaża na Florydzie, gdzie znalazła się Ellie Arroway w *Kontakcie* – skąd przez radiostację pokładową rozpaczliwie próbuje wysłać sygnał do kolegów badaczy.

Staroświeckie radio.

Byłam w szoku. Czułam przypływ adrenaliny. Czekałam w kolejce, żeby porozmawiać z Hollandem, który podpisywał swoją książkę.

– Chciałam tylko o coś zapytać – powiedziałam, kiedy przyszła moja kolej. – Dostał pan wiadomość od kogoś, kto zmarł na raka piersi po mastektomii lewej piersi i było to związane z Paryżem, radiem i tarczycą. Moja siostra urodziła się w Paryżu. Zmarła na tego rodzaju raka, ja mam problemy tarczycowe i właśnie piszę książkę o niej, i obiecałyśmy sobie komunikować się, używając starego radia. Czy ta wiadomość mogła być dla mnie?

Popatrzył na mnie jakby rozbawiony, zaniemówił, a jego krzaczaste brwi wygięły się ze zdziwienia.

– Dlaczego *nie podniosła pani ręki*?

– Jestem nieśmiała – zażartowałam. Ale prawda była taka, że nie potrafiłam się w to odpowiednio zaangażować. A teraz została mi tylko ta szalona dwuznaczność i krew tętniąca w żyłach.

– Chodź już – powiedziała koleżanka, która przyjechała tu ze mną na weekend. – Chodźmy na drinka. – Ale nie potrafiłam tak zwyczajnie wzruszyć ramionami i dać sobie spokój. O Boże, to mogła być Katharine, to mogła być Katharine.

Podobny dylemat opisał Carl Jung w książce zatytułowanej *Wspomnienia, sny, myśli*[3].

„Pewnej nocy nie mogłem zasnąć. Leżałem, snując myśli o nagłej śmierci przyjaciela, którego pogrzeb odbył się poprzedniego dnia. Wciąż o tym myślałem. Nagle doznałem uczucia, że zmarły jest w moim pokoju. Miałem wrażenie, że stoi w nogach łóżka i prosi, żebym gdzieś z nim poszedł. Nie czułem się tak, jakbym ujrzał widmo; była to wewnętrzna wizualizacja zmarłego, którą uznałem za fantazję. Gwoli uczciwości musiałem jednak zadać sobie pytanie: »Jaki mam dowód, że to fantazja? A jeśli to nie fantazja, jeśli mój przyjaciel naprawdę stoi w nogach mojego łóżka, to czy nie jest to niestosowne, że biorę go za wytwór fantazji?«. Nie dysponując dowodem na to, że mam do czynienia z fantazją, nie miałem też dowodu, że stoi on przede mną jako widmo – »naprawdę«. Wtedy powiedziałem sobie: »Wóz albo przewóz!«. Zamiast wmawiać sobie, że chodzi o wytwór wyobraźni, równie dobrze mógłbym uznać, że to widmo, przyznając tym samym całemu zjawisku realny charakter, tak na próbę. W chwili, gdy to pomyślałem, przyjaciel podszedł do drzwi i skinął na mnie – miałem ruszyć za nim. Tego nie przewidziałem! Musiałem zatem utwierdzić się w mej argumentacji i dopiero potem za nim podążyłem”.

Jung wyobraził sobie, że idzie za swym przyjacielem, niedawno zmarłym fizykiem Wolfgangiem Paulim, do jego domu oddalonego o kilkaset metrów. Weszli do gabinetu fizyka, gdzie Pauli wdrapał się na drabinkę i wskazał mu książkę, „drugi z pięciu czerwono oprawnych tomów stojących na przedostatniej półce regału, tuż pod sufitem”. Zrobiwszy to, Pauli zniknął, podobnie jak i jego gabinet. Następnego dnia Jung zapytał wdowę po Paulim, czy nie pozwoliłaby mu rozejrzeć się po bibliotece zmarłego. „Istotnie, koło regału, który ujrzałem w fantazji, stała drabinka. Już z daleka zobaczyłem

pięć czerwono oprawnych tomów. Wszedłem na drabinę, aby odczytać tytuły. Były to przekłady powieści Emila Zoli. Tytuł drugiego tomu brzmiał *Życzenie zmarłej*^[14].

*

Kiedy wracałam z Omegi z powrotem do Toronto, doszło do kolizji – pod pociąg, którym jechałam, wpadł samochód. Było to w poniedziałek o wpół do jedenastej rano. Przepisywałam właśnie z notatnika do laptopa komentarze Moody’ego na temat wspólnego doświadczania śmierci. Nagle usłyszałam jakiś stłumiony huk czy łoskot. Znajdowałam się w tylnej części pociągu, więc był to odgłos daleki. Czyżbyśmy potrącili jelenia? Pociąg zahamował z piskiem, a ja podniosłam głowę znad komputera i spojrzałam przez okno na pole kukurydziane, już po zbiorach, tonące w srebrzystym świetle. Jak się okazało, miał to być mój jedyny widok przez następne pięć godzin.

Chwilę po zatrzymaniu pociągu poczułam zapach dymu i palącej się gumy i pomyślałam, że może trzeba będzie zachować się zgodnie z instrukcją postępowania w nagłych wypadkach, którą dostałam rano od konduktora, czyli zbić młotkiem szybę w oknie przeznaczonym na wyjście ewakuacyjne. Czy w pociągu wybuchł pożar? Wow. To dopiero przygoda. Ale nie. W rzeczywistości, o czym pasażerowie nic nie wiedzieli, na torach za nami dopalał się całkowicie zniszczony, zgnieciony i powyginany czarny ford escape. Na polu kukurydzy natomiast leżał martwy dwunastoletni chłopiec, a jego matka walczyła o życie, z trudem oddychając z powodu połamanych żeber.

Szlaban na przejeździe kolejowym nie zadziałał prawidłowo, nie opuścił się; kobieta zauważyła nadjeżdżający pociąg i gwałtownie wcisnęła hamulec, ale o ułamek sekundy za późno. Dowiedziałam się o tych szczegółach, przeszukując lokalne strony na swoim laptopie. My, pasażerowie, oficjalnie wiedzieliśmy tylko tyle, że pociąg stoi i że wyczuwamy pożar. Zatrzeszczał

głośnik i urzędnik kolejowy poinformował, że należy spodziewać się opóźnienia.

O cholera, opóźnienie. Telefony komórkowe poszły w ruch, przesuвано godziny spotkań w Toronto albo co najmniej zawiadamiano o tym, co się stało. Kobieta siedząca obok mnie po drugiej stronie przejścia zadzwoniła do agenta, u którego ubezpieczyła się na wypadek odwołania wycieczki, żeby dowiedzieć się, jakie ma opcje, jeżeli nie zdąży na lot charterowy do Punta Cana, gdzie zakupiła wczasy all inclusive.

Ludzie wzdychali, opowiadali kawały o kolei, przewracali oczami.

Pojawiła się obsługa pociągu z kawą i przekąskami. Kelner wyglądał na wystraszonego i zachowywał się irracjonalnie. Niektórym sprzedawał kanapki, a innym mówił:

– Teraz wydajemy tylko soki, tylko napoje. Jedzenie będzie później.

Czy był na przodzie pociągu i gadał z konduktorem, kiedy nagle obaj zobaczyli nadjeżdżający samochód, nacisnęli bezużyteczny dzwonek alarmowy, a potem ujrzeli dziecko wylatujące przez przednią szybę auta?

Możliwe, że tak było, ponieważ kelner, francuskojęzyczny Kanadyjczyk, zlokalizował wszystkich pasażerów z naszego wagonu z jaką taką znajomością francuskiego, po czym zaczął rozprawiać o tym, co już widział w swojej pracy – samobójstwa, wypadki, lekkomyślne próby przebiegania przez tory przy zamkniętym szlabanie.

– C'est fou – oznajmił. To głupie. Nie, głupie było natomiast to, że, dziecko które żyło, kiedy wsiadaliśmy do tego pociągu, leżało teraz zmiażdżone, bez życia, pięćdziesiąt metrów dalej na torach, a my nie mogliśmy o tym porozmawiać, musieliśmy się o tym dowiadywać z naszych komputerów, nie pomyśleliśmy o wspólnej chwili ciszy czy krótkiej ekumenicznej modlitwie za rodzinę albo za jego duszę. Siedzieliśmy tam przez pięć godzin, najpierw czekając na pogotowie i policję, potem na koronera i przez wszystkie te godziny nikt nie zaproponował, żeby wysiąść z pociągu i uszanować pamięć zmarłego albo w jakikolwiek inny sposób wyrazić swój żal, żeby zrobić coś poza rozpatrywaniem zakłóceń w harmonogramie dnia.

Kiedy znów ruszyliśmy, mężczyzna siedzący po drugiej stronie przejścia powiedział:

- Nie sądzi pani, że ludzie byli zadziwiająco cierpliwi co do tego opóźnienia?
- Może dlatego, że zdają sobie sprawę, iż opóźnienie jest czymś trywialnym w porównaniu ze śmiercią pod kołami pociągu – odparłam.

I wtedy on uśmiechnął się przepaszająco.

- No tak, pewnie ma pani rację.

O siedemnastej trzydzieści dojechaliśmy wreszcie do Toronto. Musiałam udać się wprost na uniwersytet, na zajęcia, które tam prowadziłam. Zapytałam studenta, praktykującego muzułmanina z Pakistanu, jak zachowano by się w podobnych okolicznościach w Lahore, wtedy kiedy jeszcze tam mieszkał.

- Co by się stało, gdyby ktoś został zabity na waszych oczach, czy zignorowałibyście tę śmierć, westchnęli i zajęli się przesuwaniem wylotu do Punta Cana na wczasy all inclusive?

- Nie – powiedział, śmiejąc się ze zdziwieniem – pobieglibyśmy czym prędzej powiedzieć o tym imamom i wszystkie meczety w okolicy byłyby w dzwony.

Jeżeli w naszej świeckiej północnoamerykańskiej kulturze nie potrafimy nawet spojrzeć śmierci w oczy, jak można oczekiwać, że zrozumiemy i uszanujemy niesłuchaną jej głębię i zaczniemy odróżniać targi ezoteryczne od doznań prawdziwie mistycznych, od doświadczenia śmierci, od wyczuwania obecności? Albo wszystko negujemy, albo bezwzględnie akceptujemy, ale nie mamy żadnego punktu odniesienia, żadnej mądrości. *Gdzie jest mądrość? Zagubiła się w wiedzy. A gdzie wiedza? Utonęła w morzu informacji*[4].

*

Nastał deszczowy i mglisty tydzień, wgłębiałam się w intrygujące nauki opisane w *Tybetańskiej Księdze Życia i Umierania* Sogyala Rinpoche, którą wypożyczyłam z biblioteki. W kamiennych klasztorach u stóp Himalajów wierzy się powszechnie, że kiedy umieramy, wkraczamy w jeden z tak zwanych stanów bardo. Buddyjscy mnisi pracowicie przygotowują się do wejścia w bardo, ponieważ stany – albo królestwa – bardo mogą być skrajnie niesamowite. Potrafią wprowadzać w ekstatyczne uniesienie, ale można też przeżyć istne piekło. Jeżeli wędrowiec nie umie zachować zimnej krwi, spotykając demony, gniewne bóstwa i monstrualne wilki, rzuca się do ucieczki do najbliższego wyjścia – a wówczas może odrodzić się jako patyczak albo aloes. Upraszczam. Ale w każdym razie chodzi o to, że trzeba wiele znieść, pod względem psychicznym, zanim dotrze się do nieba.

Któregoś dżdżystego wieczoru wyprowadziłam psa na spacer. Powietrze pachniało nasiąkniętymi deszczem dębowymi liśćmi. Rozmyślałam z niepokojem nad tym, co to wszystko oznacza dla Katharine i ojca. Opowieści o NDE są wielce uspokajające: umieramy i nagle przenosimy się w najlepsze miejsce, w jakim kiedykolwiek byliśmy, kiedykolwiek. Ale Tybetańczycy upierają się, że to zbyt proste i zbyt łatwe. Ich zdaniem doświadczamy po śmierci czegoś znacznie bardziej skomplikowanego i potencjalnie przerażającego, docieramy do miejsca, w którym trudno odnaleźć drogę, jeżeli nie rozwinęło się odpowiednich umiejętności dzięki starannym, zawansowanym ćwiczeniom. Zgadza się, mówią, odczucia są wielokrotnie spotęgowane, ale są to nie tylko dobre odczucia. A jeżeli poddamy się emocjom, a przynajmniej tym negatywnym, zostaniemy szybko doprowadzeni tam, gdzie będzie na nas czekał zupełnie nowy strój patyczaka, odesłani do ogródka na tyłach czyjegoś domu, kompletnie zignorowani.

Zastanawiam się nad tym wszystkim, idąc aleją Bellwoods w centrum Toronto. Moja Sheltie, „panienka” w średnim wieku, kroczy dostojnie tuż za mną pochłonięta światem zapachów otaczających ją w danej chwili. Mocz, trawa, kawałek pizzy, każdy krok to cudowna informacja. W moim kierunku podąża młody mężczyzna, mija mnie, ma jakby rozmydlony wzrok, jest skupiony na tym, czego słucha na swoim iPodzie. Jest obecny, ale nieobecny;

korzysta z tego, że jego otoczenie jest, jak uważa, na tyle bezpieczne, że pozwala mu oderwać się od rzeczywistości, marzyć o swojej muzyce. W królestwie bardzo nie odrywamy się od rzeczywistości. Jesteśmy już od niej oderwani, dosłownie. I musimy się koncentrować.

Jak dostać się tam z naszego świata? Jeżeli Tybetańczycy mają rację, to tylko oni wiedzą, jak przygotować się do doświadczenia, jakim jest śmierć, a to oznacza, że olbrzymia większość ludzkości zostanie natychmiast stamtąd wymieciona przez portal, za którym odradzamy się jako chrząszcze.

Jaki to ma sens?

Czy któryś z tych mnichów nie mógłby przekazać nam jakiejś wiadomości?

Mijam ładny kościółek anglikański pod wezwaniem św. Mateusza. Moje dzieci dorastały na trawiastym dziedzińcu tego kościoła, grając w piłkę i ucząc się, jak robić gwiazdę. Clara uczestniczyła nawet kilka razy w zajęciach szkółki niedzielnej, ale trudno jej było zaangażować się w takie tematy jak „Hiob a drzewo figowe” z ich archaicznym językiem i nieistotnymi w tym kontekście owocami. To nie była formuła odpowiednia dla niej. Ale przecież powinny być jakieś ramy, w które można by wtłoczyć wszystkie te strzępy informacji; nie mając ich, nie wiemy, jak z tym żyć, jak połączyć to w jedną całość, a potem prześlizgujemy się przez zaczarowaną granicę i nagle widzimy anioły dokładnie pod własnym nosem.

Nancy Bush, kobieta, która przez wiele lat rozpamiętywała swoje NDE o taoistycznych czarnych i białych kręgach, które tak bardzo ją przeraziły, napisała: „Musimy zrozumieć, że świat składa się zarówno z ciemności, jak i ze światła i byłoby dobrze, gdybyśmy zwracali uwagę na to, co z tego wynika”. Nie jest tak, że po prostu mamy niebo albo że światło gaśnie i koniec. Wszyscy mistycy i święci, wszyscy bohaterowie musieli w czasie swej wędrówki znieść znacznie większą udrękę. Wiemy o tym, w pewnym sensie. „Największym wyzwaniem dla istot ludzkich jest nauczyć się żyć z tym, w co wierzymy. To trudne zadanie”[5].

Tak, to prawda, ale to również niedopowiedzenie.

*

Któregoś dnia, cztery lata po śmierci ojca i Katharine, zabrałam dzieci do naszego „czarodziejskiego, celtyckiego letniego domku”, gdzie ściany ostrzegają przed duchami i upiorami. Dla mnie i dla mojego klanu ten dom to opoka, miejsce, z którego pochodzimy i do którego zdążamy, z którego czerpiemy energię. Pierwszego ranka obudziłam się, bo zdawało mi się, że ktoś mnie woła, a w każdym razie usłyszałam „Pat”. Jako że mój syn Geoffrey często tak właśnie nazywa mnie w żartach, przyjął, że to on próbuje wyciągnąć mnie z łóżka. Podniosłam się i wyszłam na werandę, gdzie znalazłam go całkowicie pochłoniętego grą w szachy z komputerem.

Nic nie mówił. Hm. No, no.

Kilka godzin później obudziła się moja córka Clara. Odsypiała kilka poprzednich nocy, kiedy nie mogła spać z powodu infekcji oddechowej. Okazało się, że była przykryta dodatkowym kocem.

– To ty mi go przyniosłaś? – spytała.

– Nie – odparłam.

Oho!

Po południu, kiedy Clara drzemała, ktoś jakby delikatnie złapał ją za stopę. Wyczuła jakąś „obecność”, chociaż tego określenia nie znała.

Około północy siedziałam na osłoniętej werandzie. Owady wirowały i brzęczały, objając się o siatkę. Przez gałęzie sosny przyglądałam się księżycowi w pełni, pnącemu się po niebie wśród ciemnych chmur w całym swym chłodnym majestacie. Słuchałam muzyki chóralnej i myślałam o siostrze, która kochała Clarę i chętnie otuliłaby ją kocami. Dokładnie coś takiego mogłaby zrobić Katharine. Podczas nabożeństwa żałobnego Clara zaśpiewała pieśń. Dumna z jej wyjątkowej muzykalności, namawiałam ją,

żeby powtórzyła występ w czasie stypy, a ona najwyraźniej uznała mnie za idiotkę. To było święte. Niepowtarzalne. Wyszła z pokoju. To było dla *cioci Katharine*.

W ciemnościach, w swojskim spokoju naszego domku porzuciłam chłodne, defensywne rozważania i swój dziennikarski dystans i rozmyślałam o siostrze szczerze, bez zahamowań. Czyż nie przyszła do mnie? Kiedy kilka tygodni po jej śmierci leżałam w łóżku skołowana i cierpiąca i prosiłam o znak, że wszystko z nią w porządku, znalazłam pojedynczy jaskraworóżowy kwiat – nie pąk, ale absurdalny kwiat, którego czas już przeminął – na od dawna uschniętej roślince w holu. Kiedy w Omega Center poprosiłam ją, żeby przyszła, medium przekazało szczegóły dokładnie pasujące do mnie, chociaż ich nie potwierdziłam. A teraz słyszałam pukanie i szepty.

Pamiętam szpital w Montrealu, kiedy onkolog zostawił nas same po przekazaniu wiadomości, że przenosi ją na oddział opieki paliatywnej. Trzymając się za ręce, oglądałyśmy z jej łóżka relację z prawyborów w Stanach Zjednoczonych, w których Obama w szybkim tempie wysuwał się przed Hilary Clinton.

– Patricia – odezwała się ostrożnie, kiedy doktor wymknął się dyskretnie, a my podjęłyśmy nieudolną próbę skupienia uwagi na telewizji – jak sobie poradzić z tymi wszystkimi sprawami psychofizycznymi, no wiesz, to pozytywne myślenie, kiedy dostaje się... takie wiadomości?

Nie wiem. Tak więc improwizujemy, leżąc na wąskim łóżku, głowa przy głowie, noga przy nodze, sącząc przez słomkę lemoniadę, obmyślając przyszłość Katharine za pomocą naszej siostrzanej wyobraźni, rozmawiając przyciszonym głosem jak na przyjęciu piżamowym.

– Czytałam naprawdę cudowne opisy doświadczenia śmierci.

– Na przykład? – zachęca mnie z zamkniętymi oczami. – Opowiedz mi coś.

Opowiadam jej. Pamiętam niektóre historie. Opowieści o niespodziewanym przeniesieniu się w krainę radości podczas zatrzymania krążenia albo po wypadku samochodowym. Świetlane istoty. Ogrody niewysłowionej piękności. Chcę, żeby wyobraziła sobie podróż, przygodę. Nie koniec. Nie

otchłań. A ona, dzięki Bogu, jest w stanie to zrobić, po tym, czego doświadczyła w nocy, kiedy umarł nasz ojciec.

– Możesz nie wiedzieć, dokąd idziesz, ale nie będziesz sama, wiesz, co mam na myśli? – przypominam jej. – O to właśnie w tym wszystkim chodzi. Są tam już tata i babcia.

Kiwa głową, zaciskając powieki.

– Mnóstwo ludzi przeszło przez to przede mną – szeptem.

Leżymy przez chwilę w ciszy, głaszcząc się nawzajem po rękach, wsłuchując się w nieustanne szpitalne brzdęki i piski, w odgłosy bieganiny spowodowanej ogłoszeniem kodu niebieskiego. Później w domu mojej siostry Hilary w Westmount wychodzę do ogrodu i w deszczu dzwonię do męża, ale kiedy dochodzi do mnie jego głos, tylko szloch wydziera mi się z piersi.

Co więc – kiedy jest już po wszystkim – pozostaje ludziom, którzy się kochali? Możemy jedynie wyciągać do siebie ręce i mimo że dzieli nas czas i przestrzeń, próbować jakoś utrzymać kontakt. I robimy to, raz po raz. Nad tym właśnie rozmyślałam w ciemnej jadalni naszego domku – nad tym, że Katharine pozostała mi prawdziwie wierna, chociaż ją straciłam – kiedy nagle marker leżący obok mojego laptopa poturlał się po stole.

Niemal natychmiast zaczęłam wątpić w to, co widziałam. Albo może inaczej: widziałam, że marker się potoczył, nie miałam co do tego wątpliwości, ponieważ, widząc to, przestraszyłam się. Wypuściłam z płuc powietrze, żeby sprawdzić, czy znów się potoczy. Nie było żadnego wiatru, ale może miało to coś wspólnego z tym, jak oddycham. Tak sobie pomyślałam. Ale nie. Nic nowego się nie wydarzyło. Nie poruszył się. Podobnie jak nie poruszyły się książka telefoniczna, misa z owocami ani mój drugi pisak.

Ten durny marker przeturlał się po stole około dziesięciu centymetrów, stanowczo i zdecydowanie, kiedy rozmyślałam o tym, jak wytrwale moja siostra próbuje mnie podnosić na duchu.

Trudno mi przyjąć do wiadomości, że pisak coś sygnalizuje, a to dokładnie

dlatego, że moja kultura nauczyła mnie nie wierzyć w znaczenie takich sygnałów i nauczyła mnie też, że należy do czegoś takiego podchodzić analitycznie i dedukcyjnie, jak Sherlock Holmes. Wyobrażam sobie, że moja siostra wyrzuca teraz ręce w górę, zapytując: „Co jeszcze mam zrobić, żebyś przestała mieć wątpliwości?”.

Powinniśmy chyba żyć w świecie fantazy i nieustannego spełniania życzeń, obfitującego w iluzje, ponieważ przez cały czas pragniemy tak wiele, pożądamy tak wielu rzeczy. Jednak nigdy przedtem marker nie poruszył się na stole na moich oczach; i nigdy nie miałam halucynacji, dopóki nie zaczęłam się zastanawiać nad tym nagłym poczuciem prawdziwej wdzięczności za wysiłki podejmowane przez nią w ciągu ostatnich czterech lat. Zaczęłam jej wierzyć. I wtedy pisak się poruszył.

Ale jednak mury są zbyt wysokie, nasz kulturowy sceptycyzm zbyt wielki. To wymagające, nieprzystępne urwisko skalne. Potwornie, ale to potwornie trudne dla wspinacza. Okay, niech będzie. Uwierzyłam, naprawdę, w to, że Katharine zachowała świadomość i wtedy natychmiast wyczarowałam halucynację – taka jest siła wiary. Czy zatem nigdy przedtem w nic nie wierzyłam? Co jeszcze mogłabym wyczarować z tą siłą wiary, jaką posiadałam? Las lizaków? Los na loterię?

No dobrze, ale jeżeli mam zaakceptować to, że moja siostra skontaktowała się ze mną, muszę zacząć się zastanawiać, gdzie jest i o co jej chodzi. Owszem, od jakiegoś czasu próbuję to rozgryźć, ale odpowiedzi nie dostarczają niczego, co można by uznać za szczegółowe wytyczne. Może jest w krainie bardo? To koncepcja zupełnie mi obca kulturowo! Nie do pojęcia. Próbuję zatrzymać Katharine, ale staje się ona postacią totemiczną, relikwią. Jak by teraz wyglądała? Czy w dalszym ciągu byłaby ze swym przyjacielem Joelem? Czy wciąż pracowałyby w tym samym miejscu? Gdzie ona teraz jest, czy jest w nowym ciele, czy jest dzieckiem w Nikaragui, czy może w Chinach, czy ćwiczy pilates w eterze? Czy stała się bezkształtną kropelką światła, a jeżeli tak, to po co to wszystko, jak ją znajdę? Żona amerykańskiego pisarza i filozofa Kena Wilbera[6], umierając na raka, wciąż mu powtarzała: „Obiecuj mi, że mnie odnajdziesz”. Ale w jaki sposób mamy się ponownie odnaleźć?

Wszystkie te pytania, jakże bolesne, prowadzą nas do tego, że nie chcemy na

nie odpowiadać. Tak jest łatwiej. Kilka lat temu wędrowałam po klifie nad Adriatykiem, szlakiem, który sto lat wcześniej przemierzył wielki niemiecki poeta Rainer Maria Rilke. W liście napisanym przez niego na tych wapiennych skałach czytamy: „W ostatecznym rozrachunku to jedyny rodzaj odwagi[7], jakiego potrzebujemy: odwaga, aby stanąć twarzą w twarz z tym najdziwniejszym, najniezwykłym, najbardziej niewytłumaczalnym doświadczeniem, jakie może nas spotkać. Wykazując się tchórzostwem w tej dziedzinie, ludzie wyrządzili sobie ogromną krzywdę; to, co nazywamy zjawami, cały tak zwany »świat duchowy«, śmierć – wszystkie te sprawy tak bardzo z nami związane, zostały przez naszą codzienną defensywną postawę całkowicie wypchnięte z naszego życia, do tego stopnia, że zmysły, za pomocą których moglibyśmy je pojąć, uległy atrofii”.

Tak, to prawda, one uległy atrofii. Oczywiście, że tak.

*

Jesień zeszłego roku. Siedzę w łódce w pobliżu naszego domku i plastikowym kubkiem wybieram z rufy wodę z liśćmi – rytmicznie zagarniam i wylewam, zagarniam i wylewam. Chłodna woda wdziera się do łódki, przelewa się przez burtę, wsącza się, kapie, tworząc ten specyficzny „wodny” efekt akustyczny. Poza tym dźwiękiem nie słyhać nic. Niesamowita cisza. Słońce z wysoka rzuca na wodę czyste światło, powietrze jest przesycone zapachem jeziora. Cisza, słońce, woda.

Czasami ustawienie tych elementów względem siebie jest tak wspaniałe, że blisko im do świętości.

Nagle, nie wiadomo skąd, pojawia się mój stary przyjaciel Craig w idealnie białej, skórzanej kurtce wyścigowej; stoi na pomoście przystani, podczas gdy ja kołyszę się w łodzi. Nasza rozmowa jest absolutnie serdeczna, prosta i pełna dowcipu. Odkrywamy, że oboje byliśmy tego samego wrześnieowego

popołudnia w Metropolitan Museum of Art w Nowym Jorku. Craig śmieje się miło zaskoczony. Ja też się śmieję. W mieście nigdy się nie spotykamy. Ale łączy nas to miejsce, ten krajobraz, ta historia: należymy do klanu. Głęboka więź, jaką czuję ze wszystkimi znad jeziora – albo może lepiej byłoby to nazwać naszą pełną wzajemnej życzliwości akceptacją – ma charakter z krwi i kości plemienny.

Spotykam się ze swoją siostrą Anne i jej mężem Markiem i przez całe popołudnie przygotowujemy dom na zimowy sen. Tym, co robimy, przede wszystkim mieszamy szyki wiewiórkom, które najwyraźniej przez większą część jesieni gromadziły żołędzie i pracowicie chowały je w naszych prześcieradłach i ręcznikach kąpielowych. Za każdym razem, kiedy zdejmujemy pościel, z wiewiórczych schowków wypadają żołędzie i podskakując, toczą się po podłodze. To takie mimowolne poszukiwanie jaj wielkanocnych w każdym pokoju^[15]. Zaśmiewamy się z Anne. Następnie rozbieramy pomost na części i łódką odholowujemy je do zatoczki za hangarem dla łodzi, gdzie Mark przywiązuje je liną do cedrów i pozostaje nam już tylko mieć nadzieję, że nic im się nie stanie.

Zamykając okiennice, zastanawiam się, co wydarzy się, zanim otworzę je następnym razem, żeby wpuścić do środka miękkie, wiosenne światło. Co stanie się w moim życiu, w naszym życiu, w historii świata? Kto jeszcze umrze?

Ale widzę teraz, że łaska miłości ma swoje źródło w moim plemieniu, w tym moim klanie, ze wszystkimi kuzynami, ciotkami, wujami, całą wielopokoleniową rodziną i przyjaciółmi – to oni zapewniają mi komfort psychiczny, kiedy nie ma już Katharine i ojca. Miłość to absolutna kwintesencja życia, powiedział Eben Alexander i ma rację. Nasza wielopokoleniowa rodzina jeszcze bardziej się do siebie zbliżyła, podświadomie, dzięki zadziwiającej potędze śmierci. Ślad stopy pozostawiony na piasku musi się z czasem wypełnić. Tam, gdzie wpłynie woda, wpłynie też miłość.

Podziękowania

Ta książka była piekielnie trudna do napisania z kilku powodów. Wcale nie najmniejszym z nich był mur sceptycyzmu, który musiałam pokonać nawet w swoim własnym otoczeniu, wśród moich przyjaciół. Jestem głęboko wdzięczna tym, którzy dodawali mi otuchy.

Chciałabym przede wszystkim podziękować mojej matce Landon, która pozwoliła mi podzielić się historią śmierci mojego ojca i mojej siostry i nie próbowała kontrolować narracji; która zaznajomiła mnie z różnymi kluczowymi źródłami, między innymi z opiniami niemieckiego teologa Rudolpha Otto; która czytała kolejne wersje pracy i przedstawiała cenne uwagi; która wspierała mnie na wszelkie wyobrażalne sposoby z ciekawością pozbawioną uprzedzeń i otwartym sercem. Będąc kobietą, która zdobyła międzynarodowy szacunek jako twórczyni i orędowniczka przyjętej przez ONZ Konwencji o prawach dziecka, stosowała na łonie rodziny zasady, jakie propagowała. Niezmiennie okazywała mi co najmniej pełne zaangażowanie i respekt, kiedy stąpałam po omacku, szukając w tym wszystkim sensu.

Ogromne, pełne szacunku podziękowania należą się kobietom, które walczyły o to, aby ten projekt mógł się ziścić i nie szczydziły razów, kiedy trzeba było dopilnować, aby kontrakty weszły w życie: mojej niewiarygodnie inteligentnej i dowcipnej agentce Sarah Lazin; moim redaktorkom Anne Collins z Random House Canada i Leslie Meredith z Atria; mojej wieloletniej wydawczyni i przyjaciółce Louise Dennys. To dla mnie zaszczyt, że pozwoliłyście mi się wypowiedzieć. (Nie cierpię was, ale jednocześnie szanuję za to, że kazałyście mi tyle razy pisać tę książkę od nowa). To była wielka przyjemność pracować z tak błyskotliwie inteligentnymi, trzeźwo myślącymi i bezkompromisowymi kobietami.

Napisanie tej pracy w ogóle nie byłoby możliwe, gdyby nie fundamentalne prace badawcze pewnych bardzo ważnych ludzi, którzy ryzykowali swą reputację, kontynuując badania nad doświadczeniami duchowymi człowieka w czasach, kiedy dominowały przekonania materialistyczne. Jestem

w szczególności zobowiązana moim kolegom dziennikarzom Johnowi Geigerowi i Marii Coffey; psychologom Erlendurowi Haraldssonowi i Karlisowi Osisowi; neuropsychiatrze Peterowi Fenwickowi; wielu wspaniałym naukowcom z Zakładu Badań nad Percepcją Uniwersytetu Wirginii, między innymi Ianowi Stevensonowi, Bruce'owi Greysonowi, Emily Williams Kelly i Edwardowi Kelly'emu; lekarzom Penny Sartori, Samowi Parni i Pimowi van Lommelowi; członkom Międzynarodowego Stowarzyszenia Badaczy Doświadczenia Śmierci, w szczególności Janowi Holdenowi i Diane Corcoran.

Wielu ludzi przyczyniło się do powstania tej książki, dzieląc się swymi własnymi doświadczeniami. Jestem wdzięczna zarówno tym, którzy pozwolili mi wymienić ich nazwiska, jaki i tym, którzy woleli pozostać anonimowi.

Za uwagi redakcyjne i sukcesywne sugestie co do źródeł składam podziękowania Ambrose'owi Pottie, Marni Jackson, Judy Finlay, Teresie Toten, dr Mary Vachon, Sheili Whyte, Monique Séguin, Leah Cherniak, Manueli Jessel, Mary Mackenzie, Joanne Thomas Yaccato, Lewisowi Humphreysowi, Dougowi Campbellowi, Anne Pearson, Markowi Vorobejowi, Sarah Jordison, Amandzie Lewis, Barneyowi Gilmore'owi i Gillian Watts. Wiem, że zapomniałam o milionie ludzi.

Jeff Warren jest od samego początku moim powiernikiem, na którym wypróbuję swoje pomysły i z którym wspólnie oddajemy się rozmyślaniom. Mam nadzieję, że będziemy robić to samo przez wiele następnych lat.

Jestem zobowiązana Radzie Sztuki Kanady za wspieranie tego projektu.

Na koniec chcę przeprosić męża i dzieci za to, że od kilku lat przystrajam dom książkami o śmierci. Tak się już zdążyli do tego przyzwyczaić, że Clara, szesnastolatka, zaproponowała nawet tytuł dla tej książki: YOLO, or Do you?

Przypisy końcowe

Rozdział 1

[1] Virginia Woolf, „Sketch of the Past”, [w:] Moments of Being: Unpublished Autobiographical Writings, red. Jeanne Schulkind (London: Chatto and Windus, 1976). [2] Rainer Maria Rilke, Duino Elegies (New York: Vintage, 2009). [3] Gaston Bachelard, The Poetics of Reverie: Childhood, Language and the Cosmos (Boston: Beacon Press, 1971). [4] Albert Heim: A. Heim, „Remarks on Fatal Falls”, Yearbook of the Swiss Alpine Club 27 (1892), ss. 327–337, [w:] R. Noyes i R. Kletti, „The Experience of Dying from Falls”, Omega 3 (1972), ss. 45–52. [5] Patrz dyskusja Marcus Alexander i Nicholas A. Christakis, „Bias and Asymmetric Loss in Expert Forecasts: A Study of Physician Prognostic Behavior with Respect to Patient Survival”, Journal of Health Economics 27 (2008), ss. 1095–1108. Zobacz także Atul Gawande, „Letting Go: What Should Medicine Do When It Can’t Save Your Life?”, New Yorker, August 2, 2010. [6] Michael Barbato, „Parapsychological Phenomena Near the Time of Death”, Journal of Palliative Care 15 (Summer 1999), ss. 30–37. [7] M. W. Wagner i M. Monnet, „Attitudes of College Professors Toward Extrasensory Perception”, *Zetetic Scholar* 5 (1979), ss. 7–17. [8] <http://www.issc-taste.org/index.shtml>. [9] C. Roe, „Critical Thinking and Belief in the Paranormal: A Reevaluation”, *British Journal of Psychology* 90 (1999), ss. 85–98. Zobacz także: Dean Radin, *Entangled Minds: Extrasensory Experiences in a Quantum Reality* (New York: Pocket Books, 2006). [10] „The Religious and Other Beliefs of Americans”, Harris Poll, February 26, 2003. <http://www.harrisinteractive.com/vault/Harris-Interactive-Poll-Research-The-Religious-and-Other-Beliefs-of-Americans-2003-2003-02.pdf>. [11] Freeman Dyson: Zobacz także: F. Dyson, „One in a Million”, *New York Review of Books*, March 25, 2004. [12] „ESP istnieje”: *ibid.* [13] Mayer, *Extraordinary Knowing*, 3, 215.

Rozdział 2

[1] C. Cornacchia, „What Happens When We Die?”, *Montreal Gazette*, February 10, 2007.[2] David Kessler: Zobacz dyskusja i przykłady w: D. Kessler, *Visions, Trips and Crowded Rooms* (Carlsbad, CA: Hay House, 2010).[3] James Brown: Jeremy Simmonds, *The Encyclopedia of Dead Rock Stars* (Chicago: Chicago Review Press, 2008).[4] Karlis Osis i Erlendur Haraldsson, *At the Hour of Death: A New Look at Evidence for Life after Death* (Mamaroneck, NY: Hastings House, 1990).[5] Osis i Haraldsson, s. 67.[6] <http://www.coasttocoastam.com/show/2009/08/28>. [7] Shane Sinclair, „Impact of Death and Dying on the Personal Lives and Practices of Palliative and Hospice Care Professionals”, *Canadian Medical Association Journal* 183(2) (February 8, 2011), ss. 180–187.[8] Osis i Haraldsson, *ibid.*[9] Kathleen Dowling Singh, *The Grace in Dying: A Message of Hope, Comfort and Spiritual Transformation* (San Francisco: HarperOne, 2000).[10] Maggie Callanan, presentation at the International Association of Near-Death Studies (IANDS) annual conference, Raleigh, North Carolina, 2008. Zobacz także: M. Callanan i P. Kelley, *Final Gifts: Understanding the Special Awareness, Needs and Communications of the Dying* (New York: Bantam, 1992).[11] Zobacz na przykład Elisabeth Kübler-Ross, *On Death and Dying*, pierwsze wydanie w 1969.[12] Raymond Moody, *Life after Life: The Investigation of a Phenomenon—Survival of Bodily Death* (San Francisco: HarperOne, 2001), pierwsza publikacja 1975.[13] H. Lovelace i in., „Comfort for the Dying: Five Year Retrospective and One Year Prospective Studies of End of Life Experiences”, *Archives of Gerontology and Geriatrics* 51, nr 2 (September–October 2010): ss. 173–179. Zobacz także: S. Brayne i in., „End of Life Experiences and the Dying Process in a Gloucestershire Nursing Home as Reported by Nurses and Care Assistants”, *American Journal of Hospital and Palliative Care* 25, nr 3 (2008), ss. 195–206.[14] Callanan i Kelley, *Final Gifts*. [15] Callanan, wystąpienie podczas konferencji IANDS, 2008.[16] Lovelace, „Comfort for the Dying”. [17] Penny Sartori w wywiadzie autorki, lato 2012.[18] D. Arcangel, *Afterlife Encounters: Ordinary People, Extraordinary Experiences* (Charlottesville, VA: Hampton Roads, 2005), s. 119.[19] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*. [20] Osis i Haraldsson, *ibid.* [21] Osis i Haraldsson, *ibid.* [22] A. Mazzarino-Willett, „Deathbed Phenomena: Its

Role in Peaceful Death and Terminal Restlessness”, *American Journal of Hospice and Palliative Medicine* 27, nr 2 (2010): ss. 127–133.[23] Brayne, „End of Life Experiences”. Zobacz także P. Fenwick i in., „End of Life Experiences and Their Implications for Palliative Care”, *International Journal of Environmental Studies* 64, nr 3 (2007), ss. 315–323.[24] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*, s. 86.[25] Peter Fenwick and Elizabeth Fenwick, *The Art of Dying* (London: Continuum, 2008).[26] M. Roach, *Spook: Science Tackles the Afterlife* (New York: Norton, 2005), ss. 68–69.[27] Zobacz na przykład *The Egyptian Book of the Dead: The Book of Going Forth by Day*. [28] Roach, *Spook*, ss. 67–68.[29] *ibid.*, s.67.[30] Zobacz na przykład dyskusję w: C. Zimmer, *Soul Made Flesh: The Discovery of the Brain and How It Changed the World* (New York: Atria, 2005).[31] Roach, *Spook*, ss. 73–75.[32] Roach, *Spook*, ss. 110–111.[33] William Barrett, *Deathbed Visions: How the Dead talk to the Dying* (Guildford: White Crow, 2011), ss. 13–14.[34] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*. [35] M. Nahm i B. Greyson, „Terminal Lucidity in Patients with Chronic Schizophrenia and Dementia: A Survey of the Literature”, *Journal of Nervous and Mental Disease* 197, nr 12 (2009): ss. 942–944.[36] M. Nahm i in., „Terminal Lucidity: A Review and a Case Collection”, *Archives of Gerontology and Geriatrics* (2011). Zobacz także S. Haig, „The Brain: The Power of Hope”, *Time*, January 29, 2007.[37] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*. [38] Pamela Kircher, *Love Is the Link: A Hospice Doctor Shares Her Experience of Near-Death and Dying* (Pagosa Springs, CO: Awakening Press, 2013).[39] www.nhpco.org; Fenwick and Fenwick, *The Art of Dying*; Canadian Hospice Palliative Care Association, „Fact Sheet: Hospice Palliative Care in Canada”.

Rozdział 3

[1] R.A. Kalish i K. Reynolds, „Phenomenological Reality and Post-death Contact”, *Journal for the Scientific Study of Religion* (1973), 209–221, Steffen i A. Coyle, „Sense of Presence’ Experiences in Bereavement and Their Relationship to Mental Health: A Critical Examination of a Continuing Controversy”, [w:] *Mental Health and Anomalous Experience*, red. C.

Murray (Hauppauge, NY: Nova Science, 2012), ss. 33–56.[2] Craig Murray i Sheila Payne, „Grief Hallucinations: A Narrative Review”, *Mental Health, Religion and Culture* (in press).[3] J. M. Small, list do wydawcy, *Lancet* 337 (June 22, 1991), s. 1550.[4] Erlendur Haraldsson, *The Departed among the Living: An Investigative Study of Afterlife Encounters* (Guildford: White Crow Books, 2012).[5] Dean Radin, *Entangled Minds: Extrasensory Experiences in a Quantum Reality* (New York: Pocket Books, 2006).[6] Radin, *Entangled Minds*, s. 110; Edward Kelly i Emily Williams Kelly, red., *Irreducible Mind: Toward a Psychology for the 21st Century* (Plymouth, UK: Rowman & Littlefield, 2007), s. 109.[7] David Millett, „Hans Berger: From Psychic Energy to the EEG”, *Perspectives in Biology and Medicine* 44, nr 4 (Autumn 2001), ss. 522–542.[8] Radin, *Entangled Minds*, s. 18; badania EEG zobacz *ibid.*, ss. 137–140. Zobacz także Daryl J. Bem i Charles Honorton, „Does Psi Exist? Replicable Evidence for an Anomalous Process of Information Transfer”, *Psychological Bulletin* 115, nr 1 (1994): ss. 4–18. Metodologia badań psi, zobacz <http://www.koestler-parapsychology.psy.ed.ac.uk/Psi.html>. [9] Göran Brusewitz i Adrian Parker (Department of Psychology, University of Gothenburg), *Proceedings of the Annual Meeting of the Parapsychological Association*, Viterbo, Italy, August 2013. [10] J. Wackerman, „Dyadic Correlations between Brain Functional States: Present Facts and Future Perspectives”, *Mind and Matter* 2, nr 1 (2004), ss. 105–122. Zobacz także J. Wackerman i in., „Correlations between Electrical Activities of Two Spatially Separated Subjects”, *Neuroscience Letters* 336 (2003), ss. 60–64. [11] I. Stevenson, *Telepathic Impressions: A Review and Report of 35 New Cases* (Charlottesville: University of Virginia Press, 1973). Zobacz także Carlos Alvarado i Nancy Zingrone, „Ian Stevenson and the Modern Study of Spontaneous ESP Experiences”, *Journal of Scientific Exploration* 22, nr 1 (2008), ss. 44–53. [12] E. Gurney, F. W. H. Meyers and F. Podmore, *Phantasms of the Living*, 2 vols. (London: Truber, 1886). [13] Kelly and Kelly, *Irreducible Mind*. [14] Stevenson, *Telepathic Impressions*. [15] O. Sacks, *Hallucinations* (New York: Vintage, 2013). [16] Stevenson, *ibid.* [17] Stevenson, *ibid.* [18] Haraldsson, *Departed*. [19] Stevenson, *Telepathic Impressions*. [20] Stevenson, *ibid.* [21] Stevenson, *ibid.* [22] Stevenson, *ibid.* [23] Stevenson, *ibid.* [24] Zobacz także dyskusję Radina – omówienie cech i czynników, które wydają się korelować ze zwiększoną zdolnością do odbierania wrażeń telepatycznych, [w:] *Entangled Minds*. [25] Svenson, *Telepathic Impressions*. [26] Stevenson. Te wnioski przypominają

eksperymenty finansowane przez rząd amerykański, zobacz Russell Targ, „Why I Am Absolutely Convinced of the Reality of Psychic Abilities, and Why You Should Be, Too”, zaprezentowane na corocznej konferencji Parapsychological Association, Paris 2010.[27] Fenwick and Fenwick, *Art of Dying*. [28] Fenwick and Fenwick, *Art of Dying*, s. 63. [29] Richard Bufton: Fenwick i Fenwick, s. 62. [30] Dominic ffytche i in., „Visual Command Hallucinations in a Patient with Pure Alexia”, *Journal of Neurology, Neurosurgery and Psychiatry* 75 (2004), ss. 80–86. [31] Zobacz na przykład Radin, *Entangled Minds*, and Haraldsson, *Departed*. [32] Kath McMahon: Fenwick i Fenwick, *Art of Dying*, s. 66. [33] Fenwick i Fenwick, s. 115. [34] Fenwick i Fenwick, s. 53. [35] Stevenson, *Telepathic Impressions*, s. 102. Zobacz na przykład James F. Paulson i in., „Prenatal and Postpartum Depression in Fathers and Its Association with Maternal Depression: A Meta-analysis”, *Journal of the American Medical Association* 303, nr 19 (2010), ss. 1961–1969. [36] Paul Hawker, *Secret Affairs of the Soul: Ordinary People’s Extraordinary Experiences of the Sacred* (Kelowna, BC: Northstone, 2000), s. 101. [37] Fenwick and Fenwick, *Art of Dying*, s. 54. [38] G. Howarth, „Shared Near-Death and Related Illness Experiences: Steps on an Unscheduled Journey”, *Journal of Near-Death Studies* 20, nr 2 (2001), ss. 71–85. [39] Fenwick i Fenwick, *Art of Dying*, s. 73. [40] Allan Hamilton, *The Scalpel and the Soul: Encounters with Surgery, the Supernatural and the Healing Power of Hope* (New York: Tarcher/Penguin, 2008), ss. 71–76. [41] L. David Leiter, „The Vardigr: Perhaps Another Indicator of the Non-locality of Consciousness”, *Journal of Scientific Exploration* 16, nr 4 (2002), ss. 621—634. [42] Mayer, *Extraordinary Knowing*. [43] Mayer, *Extraordinary Knowing*, s. 97. [44] K. Codell Carter i Barbara R. Carter, *Childbed Fever: A Scientific Biography of Ignaz Semmelweis* (New Brunswick, NJ: Transaction, 1994). [45] Zobacz krótką historię poszukiwania przyczyn cholery w <http://www.ph.ucla.edu/epi/snow/fatherofepidemiology.html>. [46] Hilary Mantel, „That Wilting Flower”, *London Review of Books* 30, nr 2 (January 24, 2008), ss. 3–6. [47] Bem i Honorton, „Does Psi Exist?” Zobacz także Radin, *Entangled Minds*. [48] Radin, *ibid*. [49] Dean Radin, *Supernormal: Science, Yoga, and the Evidence for Extraordinary Psychic Abilities* (New York: Deepak Chopra, 2013). [50] Radin, *ibid*. [51] <http://subversivethinking.blogspot.com/2010/04/richard-wiseman-evidence-for-esp-meets.html>. [52] Bem i Honorton, „Does Psi Exist?” [53] H. Sidgwick, „Presidential Address”, *Journal of the Society for Psychical Research* 1, s. 8.

[54] Kenneth Chang, „Do Paranormal Phenomena Exist?” *New York Times*, November 11, 2003.[55] Mayer, *Extraordinary Knowing*, s. 114.[56] J. Matson, „Quantum Entanglement Links Two Diamonds”, *Scientific American*, December 1, 2011.[57] Michael Persinger wywiad Aleksa Tsakirisa, December 16, 2009, *Skeptiko*. [58] Radin, *Entangled Minds*, s. 232. [59] Roger Nelson i Peter Bancel, „Effects of Mass Consciousness: Changes in Random Data During Global Events”, *Explore* 7 (2011), ss. 373–383.[60] PEAR Global Consciousness Project: <http://noosphere.princeton.edu/>[61] Roger Nelson, „Is the Global Mind Real?” *EdgeScience* 1 (October 2009), ss. 6–8.[62] W. Long, *How Animals Talk* (New York: Harper, 1919).[63] R. Sheldrake, *Dogs That Know When Their Owners Are Coming Home*, wydanie uzupełnione (New York: Broadway Books, 2011). Zobacz także dyskusję Sheldrake i Richard Wiseman, podsumowaną przez Chrisa Cartera w „Heads i Lose, Tails You Win: How Richard Wiseman Nullifies Positive Results and What to Do about It”, *Journal of the Society for Psychical Research* 74, ss. 156–67; I dyskusję Sheldrake’a z Wisemanem w *The Science Delusion: Freeing the Spirit of Scientific Inquiry* (London: Coronet, 2012).[64] Laurens van der Post, *The Lost World of the Kalahari*, cyt. Sheldrake, *Science Delusion*. [65] William Roll, „Psi and the Long Body”, *Australian Journal of Parapsychology* 8, nr 1 (2008).[66] Stevenson, *Telepathic Impressions*. [67] Radin, *Entangled Minds*, s. 265.[68] Fenwick i Fenwick, *Art of Dying*. [69] Daryl Bem, „Feeling the Future: Experimental Evidence for Anomalous Retroactive Influences on Cognition and Affect”, *Journal of Personality and Social Psychology* 100, nr 3 (2011), ss. 407–425. [70] Peter Aldhous, „Is This Evidence We Can See the Future?” *New Scientist*, November 11, 2010.[71] Bem s. 51. Zobacz także G. Hitchman I in., „A Re-examination of Non-intentional Precognition with Openness to Experience, Creativity, Psi Beliefs and Luck Beliefs as Predictors of Success”, zaprezentowane podczas corocznej konferencji Parapsychological Association, Curitiba, Brazil, 2011.[72] H. J. Eysenck, „Personality and Extra-sensory Perception”, *Journal of the Society for Psychical Research* 44 (1966), ss. 55–71.[73] Radin, *Supernormal*, s. 165.[74] Radin, *Supernormal*, s. 176.[75] F. Alvarez, „Anticipatory Alarm Behaviour in Bengalese Finches”, *Journal of Scientific Exploration* 24, nr 4 (2010); D. Radin i in., „Electrocortical Activity prior to Unpredictable Stimuli in Meditators and Non-meditators”, *Explore* 7 (2011), ss. 286–299; Bem, „Feeling the Future”; i C. Wildey, „Impulse Response of Biological Systems” (master’s thesis,

Department of Electrical Engineering, University of Texas, 2001).[76] Julia Mossbridge, Patrizio Tressoldi i Jessica Utts, „Predictive Physiological Anticipation Preceding Seemingly Unpredictable Stimuli: A Meta-analysis”, *Frontiers in Psychology*, October 2012.[77] E-mail w posiadaniu autorki.[78] Orlando Figes, *Just Send Me Word: A True Story of Love and Survival in the Gulag* (New York: Metropolitan Books, 2012), s. 282.

Rozdział 4

[1] William Bird, Warm Hands, cytowane [w:] „Grave Beliefs: Stories of the Supernatural and the Uncanny among Canada’s Great War Trench Soldiers”, *Journal of Military History* 77 (April 2013), ss. 523–556. Zobacz także Michael Roper, *The Secret Battle: Emotional Survival in the Great War* (Manchester, UK: Manchester University Press, 2009).[2] Cook, „Grave Beliefs”.[3] T. S. Eliot, „What the Thunder Said”, *The Wasteland*. [4] Ernest Shackleton, wywiad dla *Daily Telegraph*, February 1, 1922, cytowane w: John Geiger, *The Third Man Factor: The Secret to Survival in Extreme Environments* (Toronto: Penguin Canada, 2009).[5] D. Chan i in., „But Who Is That on the Other Side of You? Extracampine Hallucinations Revisited”, *Lancet*, December 21, 2002.[6] Geiger, *Third Man Factor*, s. 61.[7] Geiger, *ibid.*, s. 1.[8] Maria Coffey, *Explorers of the Infinite: The Secret Spiritual Lives of Extreme Athletes—and What They Reveal About Near-Death Experiences, Psychic Communication, and Touching the Beyond* (New York: Tarcher, 2008).[9] O. Blanke, A. Shahar i in., „Induction of an Illusory Shadow Person”, *Nature* 443 (Wrzesień 21, 2006). Zobacz także O. Blanke and T. Metzinger, „Full-Body Illusions and Minimal Phenomenal Selfhood”, *Trends in Cognitive Science* 13 (2009): 7–13; i M. Persinger, „Experimental Facilitation of the Sensed Presence: Possible Intercalation Between the Hemispheres Induced by Complex Magnetic Fields”, *Journal of Nervous and Mental Disease* 190, nr 8 (2002), ss. 533–541 .[10] Peter Suedfeld i in., „The Sensed Presence as a Coping Resource in Extreme Environments”, [w:] *Miracles: God, Science, and Psychology in the Paranormal—Parapsychological Perspectives*, vol. 3, ss. 1–15. (Westport, CT: Praeger, 2008).[11] Geiger, *Third Man Factor*, ss. 7–10.[12] Geiger, ss. 49–52.[13]

Geiger, s. 92.[14] Geiger, ss. 94–96.[15] Geiger, ss. 199–202.[16] R. Taylor, *The Breach: Kilimanjaro and the Conquest of Self* (Albany, Australia: Wildeyed Press, 1991).[17] Mary Oliver, „Blake Dying”, [w:] *A Thousand Mornings: Poems* (New York: Penguin, 2013), s. 29.[18] Oliver Sacks, „In the River of Consciousness”, *New York Review of Books*, January 15, 2004. [19] Alexander Morelos, presentation at „The Science of Consciousness” conference, University of Arizona, Tucson, 2012.[20] Morelos, 2012.[21] Tucson, 2012.[22] Sacks, „River of Consciousness.”[23] Richard Davidson’s Lab for Affective Neuroscience, <http://psyphz.psych.wisc.edu/>.[24] Patricia Boksa, „On the Neurobiology of Hallucinations”, *Journal of Psychiatry and Neuroscience* 34, nr 4 (Lipiec 2009), ss. 260–262.[25] National Health Service, King’s College, London, Czerwiec 29, 2012.[26] Mayer, Extraordinary Knowing.[27] Martha Farah, „The More We Understand, the Less We Know”, zaprezentowane podczas sympozjum Nour Foundation.[28] Ann Bancroft: Liv Arnesen and Ann Bancroft, *No Horizon Is So Far: Two Women and Their Historic Journey across Antarctica* (Cambridge, MA: Da Capo Press, 2003). Cytowane Geiger, *Third Man Factor*. [29] Geiger, s. 102. [30] Edith Steffen i in., „’Sense of Presence’ Experiences in Bereavement and Their Relationship to Mental Health: A Critical Examination of a Continuing Controversy”, [w:] *Mental Health and Anomalous Experience: Psychology Research Progress* 3 (2012), ss. 33–56.[31] M. Barbato, *Parapsychological Phenomena Near the Time of Death*. Zobacz także Haraldsson, *Departed*. [32] Haraldsson, *Departed*. [33] Zygmunt Freud: *Freuda głos w dyskusji w: „Mourning and Melancholia”* Steffen i in., „’Sense of Presence’ Experiences”. [34] Steffen i in., „’Sense of Presence’ Experiences in Bereavement.” [35] Saxby Pridmore, *Download of Psychiatry* (Hobart: University of Tasmania, 2006) [e-book]. [36] T. A. Richards, „Spiritual Resources Following a Partner’s Death from AIDS”, [w:] *Meaning Reconstruction and the Experience of Loss*, red. R. A. Neimeyer (Washington, DC: American Psychological Association, 2001), ss. 173–190. [37] Pridmore, *Download of Psychiatry*. [38] A. M. Greeley, „Hallucinations among the Widowed”, *Sociology of Social Research* 71, nr 4 (1987), ss. 258–65. [39] V. Bell, „Ghost Stories: Visits from the Deceased”, *Scientific American*, December 2, 2008. [40] Haraldsson, *Departed*. [41] E. Steffen i A. Coyle, „Sense of Presence Experiences and Meaning-Making in Bereavement: A Qualitative Analysis”, *Death Studies* 35 (2011), ss. 579–609. [42] Barbato, „Parapsychological Phenomena”. [43] Haraldsson,

Departed, s. 113.[44] Claude Lecouteux, *The Return of the Dead: Ghosts, Ancestors, and the Transparent Veil of the Pagan Mind* (Rochester, VT: Inner Traditions, 2009).[45] Timothy Taylor, *The Buried Soul: How Humans Invented Death* (Boston: Beacon Press, 2002).[46] Lecouteux, *Return of the Dead*. [47] William of Newburgh, *History of English Affairs*, book 5, chapter 24 (full text available from Fordham University at <http://www.fordham.edu/halsall/basis/williamofnewburgh-intro.asp>). (Lecouteux zgadza się z Newburghiem: *Return of the Dead*, s. 155).[48] Lecouteux, *Return*. [49] Chaz Ebert w wywiadzie dla Studs Terkel *Will the Circle Be Unbroken? Reflections on Death, Rebirth and a Hunger for Faith* (New York: Ballantine, 2001).[50] Radin, *Entangled Minds*. [51] Haraldsson, *Departed*. [52] Lecouteux, *Return of the Dead*. [53] Allan Cheyne, „Relations among Hypnagogic and Hypnopompic Experiences Associated with Sleep Paralysis”, *Journal of Sleep Research* 8 (1999), s. 313–317. Zobacz także A. Cheyne, „A Webpage about Sleep Paralysis and Associated Hypnagogic and Hypnopompic Experiences”, <http://watarts.uwaterloo.ca/~acheyne/>. [54] Jeff Warren, *The Head Trip: Adventures on the Wheel of Consciousness* (Toronto: Random House, 2007). [55] Warren, *Head Trip*. [56] David Hufford, wywiad telewizyjny w 2008 *Your Worst Nightmare: Supernatural Assault*. Wnioski potwierdzone w e-mailu do autorki. Zobacz także D. Hufford, „Visionary Experiences in an Enchanted World”, *Anthropology and Humanism* 35, nr 2 (2010), ss. 142–158. [57] Cheyne, „Hypnagogic and Hypnopompic Experiences”. [58] Hufford, *Your Worst Nightmare*. [59] David Hufford, *The Terror that Comes in the Night: An Experience-Centered Study of Supernatural Assault Traditions* (Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 1989). [60] J. Yamamoto i in., „Mourning in Japan”, *American Journal of Psychiatry* 125 (1969), s. 1660–1665. [61] A. Grimby, „Bereavement among Elderly People: Grief Reactions, Post-bereavement Hallucinations and Quality of Life”, *Acta Psychiatry Scandinavia* 87 (1983), s. 72–80. Zobacz także W. Rees, „The Hallucinations of Widowhood”, *British Medical Journal* 4 (1971), ss. 37–41; Steffen i Coyle, „Sense of Presence Experiences”; i L. E. LeGrand, „The Nature and Therapeutic Implications of the Extraordinary Experiences of the Bereaved”, *Journal of Near-Death Studies* 24 (2005), ss. 3–20. [62] Fenwick i Fenwick, *Art of Dying*. [63] Barbato, „Parapsychological Phenomena”. [64] T. S. Eliot, *Choruses from „The Rock”* (1934).

Rozdział 5

[1] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*. [2] Michael Sabom, „The Acute Dying Experience”, *Journal of Near-Death Studies* 26, nr 3 (2008). [3] Sabom, „Acute Dying Experience”. [4] A. Heim, „Remarks on Fatal Falls”. [5] Sabom, „Acute Dying Experience”. [6] Sabom, *ibid.* [7] J. L. Bertrand: Cited in Ptolemy Tompkins, *The Modern Book of the Dead: A Revolutionary Perspective on Death, the Soul, and What Really Happens in the Life to Come* (New York: Atria Books, 2012). [8] Oskar Pfister, „Schocken und Schockphantasien bei höchster Todesgefahr”, *Zeitschrift für Psychoanalyse* 16 (1930), ss. 430–455. [9] R. Kletti and R. Noyes, „Mental States in Mortal Danger”, *Essence* 5, nr 1 (1981), ss. 5–20. [10] Sabom, „Acute Dying Experience”. [11] C. Zaleski, *Other World Journeys: Accounts of Near-Death Experience in Medieval and Modern Times* (London: Oxford University Press, 1987). [12] F. Masumian, „World Religions and Near-Death Experiences”, [w:] *the Handbook of Near-Death Experiences: Thirty Years of Investigation*, J. M. Holden, B. Greyson and D. James, red. (Santa Barbara, CA: Praeger, 2009), ss. 159–184. [13] Izajasz 60:19. [14] Masumian, „World Religions”, referencing R. Griffith, *Hymns of the Rigveda* (Benares: Medical Hall Press, 1926). [15] Jan 8:12. [16] Masumian, „World Religions”. [17] Abdu’l-Baha: dyskusja zaprezentowana 309 West Seventy-Eighth Street, New York, July 6, 1912, II wydanie (New York: U.S. Baha’i Publishing Trust, 1982), s. 470. [18] Zaleski, *Other World Journeys*. [19] Teresa z Avili, „The Book of Her Life”, zaczerpnięte z: Elizabeth Powers, red., *Pilgrim Souls: A Collection of Spiritual Autobiography* (New York: Touchstone, 2000), s... 300. [20] Pim van Lommel, *Consciousness Beyond Life: The Science of the Near-Death Experience* (San Francisco: HarperOne, 2010), ss. 203–21. [21] Lommel, *Consciousness*. [22] R. Otto, *The Idea of the Holy: An Inquiry into the Non-rational Factor in the Idea of the Divine and Its Relation to the Rational* (Middlesex: Penguin Books, 1959). [23] Otto, *Idea of Holy*. [24] Sacks, *Hallucinations*. [25] Haraldsson, *Departed*. [26] Otto, *Idea of Holy*. [27] Osis i Haraldsson, *Hour of Death*. [28] Andrew Newberg i Eugene d’Aquili, *Why God Won’t Go Away: Brain Science and the Biology of Belief* (New York: Ballantine, 2001). [29] Newberg i d’Aquili, s. 119. [30] Jill Bolte Taylor, *My Stroke of Insight: A Brain Scientist’s Personal Journey*

(New York: Plume, 2009).[31] Newberg and d'Aquili, *Why God Won't Go Away*, s. 126.[32] E. Underhill, *Mysticism: The Preeminent Study in the Nature and Development of Spiritual Consciousness* (1911; reprint, London: Kessinger, 2010).[33] Underhill, *Mysticism*. [34] Newberg and d'Aquili: *Why God Won't Go Away*, s. 147.[35] Mario Beauregard i Denyse O'Leary, *The Spiritual Brain: A Neuroscientist's Case for the Existence of the Soul* (San Francisco: HarperOne, 2007).[36] Maggie Callanan: wywiad dla radio Joan Herrmann, w: *Change Your Attitude, Change Your Life*, 2011.

Rozdział 6

[1] David Bennett: D. Bennett, *Voyage of Purpose: Spiritual Wisdom from Near-Death Back to Life* (Scotland: Findhorn Press, 2011).[2] P. Tompkins, *The Modern Book of the Dead*. [3] Sogyal Rinpoche: *The Tibetan Book of Living and Dying* (San Francisco: HarperOne, 1993), s. 124.[4] Zobacz dyskusję na temat zachorowalności w: Lommel, *Consciousness*, 9, i Sam Parnia, *Erasing Death: The Science That Is Rewriting the Boundaries Between Life and Death* (San Francisco: HarperOne, 2013), s. 173.[5] Parnia, *Erasing Death*. [6] Carlos Alvarado: Zobacz w: N. Zingrone i C. Alvarado, „Pleasurable Western Adult Near-Death Experiences: Features, Circumstances and Incidence”, w *Handbook of Near-Death Experiences*, s. 34.[7] Bruce Greyson, „The Near-Death Experience Scale: Construction, Reliability and Validity”, *Journal of Nervous Mental Disorders* 171 (1983), s. 369–375.[8] Historia Dannion Brinkley jest opisywana w filmie dokumentalnym z 2009 *Act of God*, w reżyserii Jennifer Baichwal.[9] Eben Alexander, dyskusja publiczna w Syracuse, New York, May 15, 2013.[10] T. S. Eliot, „The Love Song of J. Alfred Prufrock”, w: *Prufrock and Other Observations* (1920).[11] Anil Seth, *The Guardian Weekly*, August 28, 2013, s. 20.[12] <http://www.uofmhealth.org/news/archive/201308/electrical-signatures-consciousness-dying-brain>. [13] Bruce Greyson, „Cosmological Implications of Near-Death Experiences”, *Journal of Cosmology* 14 (2011), ss. 4684–4696.[14] Jayne Smith: Talk at the annual meeting of the International Association of Near-Death Studies, Raleigh, North Carolina, 2008.[15] Greyson, „Cosmological Implications”; odpowiednio znieczuleni

pacjenci zachowują znaczną zdolność do bycia świadomym; M. Ghoneim i R. Block, „Learning and Consciousness During General Anesthesia”, *Anesthesiology* 76 (1992), ss. 279–305.[16] E. W. Kelly, „Near-Death Experiences with Reports of Meeting Deceased People”, *Death Studies* 25 (2001), ss. 229–249.[17] Kelly, „Near-Death Experiences”. Zobacz także Bruce Greyson, „Seeing Deceased Persons Not Known to Have Died, 'Peak in Darien' Experiences”. *Anthropology and Humanism* 35 (2010), ss. 159–171.[18] C. Sutherland, „Trailing Clouds of Glory: The Near-Death Experiences of Children and Teens”, [w:] *Handbook of Near-Death Experiences*, ss. 87–108.[19] Lommel, *Consciousness*, s. 145.[20] Chris Carter, *Science and the Near-Death Experience* (Rochester, VT: Inner Traditions, 2010).[21] Sutherland, „Trailing Clouds of Glory”.[22] Allen Kellehear, „Census of Non-Western Near-Death Experiences to 2005: Observations and Critical Reflections”, [w:] *Handbook of Near-Death Experiences*, ss. 135–158.[23] Kellehear, „Census”.[24] Kellehear, *ibid.*[25] Kellehear, *ibid.*[26] Kellehear, *ibid.*[27] Hou Yongmei i in., „Infrequent Near Death Experiences in Severe Brain Injury Survivors: A Quantitative and Qualitative Study”, *Annals of the Indian Academy of Neurology* 16, nr 1 (2013), ss. 75–81.[28] Allan Kellehear, *Experiences near* „Census of Non-Western Near-Death Experiences”.[29] A. Kellehear, *ibid.*[30] Ellie Arroway: Carl Sagan, *Contact* (New York: Doubleday, 1997).[31] Amy Stringer, wywiad „Reflections from Three Decades with IANDS”, *Vital Signs* 28, nr 4 (Fall 2009).[32] Thonnard i in.[33] Marie Thonnard i in., „Characteristics of Near-Death Experiences Memories as Compared to Real and Imagined Events Memories”, *PLoS ONE* 8, nr 3 (March 2013).[34] Thonnard i in., „Characteristics”.[35] Penny Sartori: wywiad telefoniczny autoki. Zobacz także P. Sartori, „A Prospective Study of NDEs in an Intensive Therapy Unit”, *Christian Parapsychologist* 16, nr 2 (2004), ss. 34–40.[36] Bruce Greyson, „Consistency of Near-Death Experience Accounts over Two Decades: Are Reports Embellished over Time?” *Resuscitation* 73 (2007), ss. 407–411.[37] Newburgh i d'Aquili, *Why God Won't Go Away*, s. 112.[38] Underhill, *Mysticism*. [39] C. G. Jung, *Memories, Dreams, Reflections* (New York: Vintage, 1989).[40] Yolaine Stout, [w:] *Back to Life: Six Challenges Faced by Near-Death Experiencers*, zaprezentowane podczas konferencji International Association of Near-Death Studies, 2008.[41] D. Bennett, *Voyage of Purpose*. [42] Maureen Seaberg, *Tasting the Universe: People Who See Colors in Words and Rainbows in Symphonies—A Spiritual*

and Scientific Exploration of Synesthesia (Pompton Plains, NJ: New Page Books, 2011).[43] Księga Wyjścia 20:18.[44] Maria Coffey, *Explorers of the Infinite*. [45] Seaberg, *Tasting the Universe*. [46] Roger Walsh, „Can Synaesthesia Be Cultivated? Indications from Surveys of Meditators”, *Journal of Consciousness Studies* 12 (2005). [47] David Bennett, wywiad autorki. [48] Mahendra Perera, Karuppiah Jagadheesan i Anthony Peake, dyskusja w: *Making Sense of Near-Death Experiences: Handbook for Clinicians* (London: Jessica Kingsley, 2011), s. 72. [49] W. B. Britton i R. R. Bootzin, „Near- Death Experiences and the Temporal Lobe”, *American Psychological Society* 15, nr 4 (2004), ss. 254–258. [50] <http://blogs.scientificamerican.com/literally-psyched/2013/02/26/from-the-words-of-an-albino-a-brilliant-blend-of-color/>. [51] Stout, *Back to Life*. [52] Stout, *ibid*. [53] Y. Kason, *Farther Shores: Exploring How Near-Death, Kundalini and Mystical Experiences Can Transform Ordinary Lives* (Toronto: HarperCollins, 1994). [54] Dyskusja podczas corocznego spotkania International Association of Near-Death Studies, Washington, 2013. [55] I. Corbeau, „Psychological Problems and Support after an NDE”, in *Return: Journal of Near-Death Experiences and Meaning* 15, nr 2 (2004), ss. 16–22. [56] Zaprezentowane przez psycholog Yolaine Stout podczas corocznego spotkania International Association of Near-Death Studies, 2008. [57] Powers, *Pilgrim Souls*, 308, „On a Dark Night”, [w:] *The Collected Works of St. John of the Cross*, Kieran Kavanaugh i Otilio Rodriguez. [58] Diane Corcoran, zaprezentowane podczas corocznego spotkania International Association of Near-Death Studies, 2008. [59] Corcoran. [60] Zobacz na przykład Howarth, „Shared Near-Death and Related Illness Experiences”. [61] Joan Borysenko, Omega Institute in Rhinebeck, New York, October 2011. [62] R. Moody, *Glimpses of Eternity: Sharing a Loved One’s Passage from This Life to the Next* (San Francisco: HarperOne, 2010). [63] Moody, *Glimpses*. [64] Moody, *Glimpses*. [65] R. Ebert, „I Do Not Fear Death”, *Salon*, September 15, 2011. [66] Lommel, *Consciousness*, s. 21. [67] Michael Sabom, *Recollections of Death: A Medical Examination* (New York: Simon & Schuster, 1982). [68] Penny Sartori i in., „A Prospectively Studied Near-Death Experience with Corroborated Out-of-Body Perceptions and Unexplained Healing”, *Journal of Near-Death Studies* 27, nr 1 (2008); Lommel, *Consciousness*, 77). [69] Sabom, *Recollections of Death*. Zobacz także dyskusję w: J. M. Holden, „Veridical Perception in Near-Death Experiences”, [w:] *Handbook of Near-Death Experiences*, ss. 185–212. [70]

Sabom, *Recollections*. [71] E. W. Kelly i in., „Can Experiences near Death Furnish Evidence for Life after Death?” *Omega* 40, no. 4 (2000), ss. 513–519. [72] Holden, „Veridical Perception”, s. 197 [73] Rozmowa z autorką. [74] Sam Parnia: *Erasing Death*, s. 228. [75] S. Parnia, *ibid.* [76] Parnia, *ibid.* [77] Parnia, *ibid.* [78] Lommel, *Consciousness*, s. 21. [79] Podsumowane przez Michael Sabom, *Light and Death: One Doctor’s Fascinating Account of Near Death Experiences* (Grand Rapids, MI: Zondervan, 1998). [80] J. E. Owens i in., „Features of ‘Near-Death Experience’ in Relation to Whether or Not Patients Were near Death”, *Lancet* 336 (1990), ss. 1175–1177. [81] *The Day I Died: The Mind, the Brain and Near-Death Experiences*, reżyseria Nick Broome, 2002. [82] Keith Augustine, „Does Paranormal Perception Occur in Near-Death Experiences?” *Journal of Near-Death Studies* 25, nr 4 (2007), ss. 203–236. [83] Minden, „Veridical Perception”, s. 199. [84] S. Blackmore, *Dying to Live: Science and the Near-Death Experience* (London: Grafton Books, 1993), s. 177. [85] Blackmore, *Dying to Live*, and then the critique by C. Carter in *Science and the Near-Death Experience*, s. 202. [86] Blackmore, *Dying to Live*. [87] Olaf Blanke i in., „Out-of-Body Experience and Autoscapy of Neurological Origin”, *Brain* 127 (2004), ss. 243–258. Zobacz także O. Blanke i in., „Stimulating Illusory Own-Body Perceptions: The Part of the Brain That Can Induce Out-of-Body Experiences Has Been Located”, *Nature* 419 (2002), ss. 269–270. [88] Kelly i Kelly, *Irreducible Mind*, s. 223. [89] Kelly i Kelly, *ibid.* Zobacz także dyskusję w: Holden, Greyson and James, *Handbook of Near-Death Experiences*, s. 220. [90] Parnia, *Erasing Death*, s. 169. [91] Parnia, *Erasing Death*, s. 169, <http://www.time.com/time/health/article/0,8599,1655632,00.html>. [92] Parnia, *Erasing Death*, s. 170. [93] Parnia, korespondencja e-mail z autorką; *Erasing Death*, s. 255. [94] E. M. Vriens i in., „The Impact of Repeated Short Episodes of Circulatory Arrest on Cerebral Function”, *EEG Clinical Neurophysiology* 98 (1996), ss. 236–242. [95] Parnia, *What Happens When We Die*, s. 21. [96] Kevin Nelson, *The Spiritual Doorway in the Brain: A Neurologist’s Search for the God Experience*. [97] Nelsona wywiad z Alex Tsarkiris, *Skeptiko*, January 27, 2010, <http://www.skeptiko.com/kevin-nelson-skeptical-of-near-death-experience-accounts/>. [98] J. Long i J. Holden, „Does the Arousal System Contribute to Near-Death and Out-of-Body Experiences? A Summary and Response”, *Journal of Near-Death Studies* 25, nr 3 (2007). [99] Britton i Bootzin, „Near-Death Experiences”.

[100] Bruce Greyson, symposium United Nations, the Human Consciousness Project, New York, November 9, 2008.

[101] Nancy Bush, wywiad z *Vital Signs*.

[102] Greyson, symposium UN, 2008.

[103] C. Sutherland, *Transformed by the Light: Life after Near-Death Experiences* (Sydney, Australia: Bantam, 1992).

[104] Lommel, *Consciousness*, s. 57.

[105] Stout, spotkanie IANDS, 2008.

[106] David Bennett, wywiad z autorem.

[107] Eben Alexander, rozmowa, May 2013, Syracuse, New York...

[108] Epicurus. Zobacz Simon Critchley, *The Book of Dead Philosophers* (New York: Vintage, 2009).

[109] owiedzenie powszechnie przypisywane Tagore, choć trudno znaleźć je w jego tekstach. Znalazłem go w znacznie skromniejszym źródle: książce amerykańskiego katolickiego księdza Floyd Lotito, będącej zbiorem krótkich inspirujących myśli, *Wisdom, Age and Grace: An Inspirational Guide to Staying Young at Heart* (Mahwah, NJ: Paulist Press, 1993).

Rozdział 7

[1] Jung, *Memories, Dreams, Reflections*, s. 302.[2] Raymond Moody: Talk presented at the Omega Institute, Rhinebeck, New York, October 2011.[3] Carl Jung: from *Memories, Dreams, Reflections*. [4] Eliot, Choruses from „The Rock”. [5] N. Bush, „Distressing Western Near-Death Experiences: Finding a Way Through the Abyss”, [w:] *Handbook of Near-Death Experiences*, ss. 87–108. [6] Ken Wilber, *Grace and Grit: Spirituality and Healing in the Life and Death of Treya Killam Wilber* (Boston: Shambhala Press, 2000). [7] Rainer Maria Rilke, Letter 8 (1904), in *Letters to a Young Poet* (1929). Bibliografia

Arcangel Dianne, *Afterlife Encounters: Ordinary People, Extraordinary Experiences*. Charlottesville, VA: Hampton Roads, 2005.

Aries Philippe, *The Hour of Our Death*. New York: Vintage Books, 2008.

Bachelard Gaston, *The Poetics of Reverie: Childhood, Language and the Cosmos*. Boston: Beacon Press, 1971.

Barrett William, *Deathbed Visions: How the Dead Talk to the Dying*.

Guildford, UK: White Crow Books, 2011.

Beauregard Mario i Denyse O’Leary, *The Spiritual Brain: A Neuroscientist’s Case for the Existence of the Soul*. San Francisco: HarperOne, 2007.

Bennett David, *Voyage of Purpose: Spiritual Wisdom from Near-Death Back to Life*. Scotland: Findhorn Press, 2011.

Blackmore Susan, *Dying to Live: Science and the Near-Death Experience*. London: Grafton Books, 1993.

Callanan Maggie i Patricia Kelley, *Final Gifts: Understanding the Special Awareness, Needs and Communications of the Dying*. New York: Bantam, 1992.

Cardena Etzel, Steven J. Lynn i Stanley Krippner, red.

Varieties of Anomalous Experience: Examining the Scientific Evidence. Washington, DC: American Psychological Association, 2000.

Carter Chris, *Science and the Afterlife Experience*. Rochester, VT: Inner Traditions, 2012.

Carter Chris, *Science and the Near-Death Experience*. Rochester, VT: Inner Traditions, 2010.

Coffey Maria, *Explorers of the Infinite: The Secret Spiritual Lives of Extreme Athletes—and What They Reveal about Near-Death Experiences, Psychic Communication, and Touching the Beyond*. New York: Tarcher, 2008.

Davis Wade, *The Wayfinders: Why Ancient Wisdom Matters in the Modern World*. Toronto: CBC Massey Lectures/House of Anansi Press, 2009.

Ecklund Elaine Howard, *Science vs. Religion: What Scientists Really Think*. London: Oxford University Press, 2010.

Eliot T. S., *Choruses from „The Rock”, a Pageant Play*. New York: Harcourt, Brace, 1934.

Eliot T. S., *Prufrock and Other Observations*. 1920. Reprint, Whitefish, MT: Kessinger, 2010.

Eliot T. S., *The Wasteland*. New York: W. W. Norton, 2000.

Fenwick Peter i Elizabeth Fenwick, *The Art of Dying*. London: Continuum Books, 2008.

Figes Orlando, *Just Send Me Word: A True Story of Love and Survival in the Gulag*. New York: Metropolitan Books, 2012.

Furlong, Monica, *Visions and Longings: Medieval Women Mystics*. Boston: Shambhala, 1996.

Geiger John, *The Third Man Factor: The Secret to Survival in Extreme Environments*. Toronto: Penguin Canada, 2009.

Gratton Nicole i Monique Séguin, *Les rêves en fin de vie: 100 récits de rêves pour faciliter la grande traversée*. Montreal: Flammarion Québec, 2009.

Grof Stanislav, *Spiritual Emergency: When Personal Transformation Becomes a Crisis*. New York: Tarcher, 1989.

Gurney E., F. W. H. Meyers i F. Podmore, *Phantasms of the Living*. 2 volumes. London: Truber, 1886.

Hamilton Allan, *The Scalpel and the Soul: Encounters with Surgery, the Supernatural and the Healing Power of Hope*. New York: Tarcher/ Penguin, 2008.

Haraldsson Erlendur, *The Departed among the Living: An Investigative Study of Afterlife Encounters*. Guildford, UK: White Crow Books, 2012.

Hawker Paul, *Secret Affairs of the Soul: Ordinary People's Extraordinary Experiences of the Sacred*. Kelowna, BC: Northstone Publishing, 2000.

Hawker Paul, *Soul Survivor: A Spiritual Quest Through 40 Days in the Wilderness*. Sydney, Australia: Lion Books, 2001.

Holden Janice Miner, Bruce Greyson i Debbie James, red. *The Handbook of Near-Death Experiences: Thirty Years of Investigation*. Santa Barbara, CA: Praeger, 2009.

Horgan, John. *Rational Mysticism: Spirituality Meets Science in the Search for Enlightenment*. New York: Houghton Mifflin, 2003.

Hufford David, *The Terror That Comes in the Night: An Experience-Centered Study of Supernatural Assault Traditions*. Philadelphia: University of Pennsylvania Press, 1989.

Huxley Aldous, *The Doors of Perception*. New York: Harper, 1954. James, William. *Varieties of Religious Experience*. New York: Modern Library, 1902.

Jorgensen Rene, *The Light Behind God: What Religion Can Learn from Near-Death Experiences*. Montreal: Createspace, 2010.

Jung C. G. *Memories, Dreams, Reflections*. New York: Vintage, 1989.

Jung C. G. , *Psychology and Religion*. New Haven, CT: Yale University Press, 1938.

Kason Yvonne, *Farther Shores: Exploring How Near-Death, Kundalini and Mystical Experiences Can Transform Ordinary Lives*. Toronto: HarperCollins, 1994.

Kellehear Allan. *Experiences Near Death: Beyond Medicine and Religion*. London: Oxford University Press, 1996.

Kelly Edward i Emily Williams Kelly, red., *Irreducible Mind: Toward a Psychology for the 21st Century*. Plymouth, UK: Rowman & Littlefield, 2007.

Kelly Emily Williams, *Science, the Self and Survival after Death: Selected Writings of Ian Stevenson*. Plymouth, UK: Rowman & Littlefield, 2012.

Kessler David, *Visions, Trips and Crowded Rooms*. Carlsbad, CA: Hay House, 2010.

Kircher Pamela, *Love Is the Link: A Hospice Doctor Shares Her Experience of Near-Death and Dying*. Pagosa Springs, CO: Awakening Press, 2013.

Kübler-Ross Elisabeth, *On Life after Death*. Toronto: Celestial Arts, 2008.

Kuhl David, *What Dying People Want: Practical Wisdom for the End of Life*. Toronto: Anchor Canada, 2003.

Kuhn Thomas, *The Structure of Scientific Revolutions*. Chicago: University of Chicago Press, 2012.

Lagrand Louis, *Love Lives On*. New York: Berkley Books, 2006. Lecouteux, Claude. *The Return of the Dead: Ghosts, Ancestors, and the Transparent Veil of the Pagan Mind*. Rochester, VT: Inner Traditions, 2009.

Lommel Pim van, *Consciousness Beyond Life: The Science of the Near-Death Experience*. San Francisco: HarperOne, 2010.

Mayer Elizabeth Lloyd, *Extraordinary Knowing: Science, Skepticism and the Inexplicable Powers of the Human Mind*. New York: Bantam, 2007.

McLuhan Robert, *Randi's Prize: What Sceptics Say about the Paranormal, Why They Are Wrong and Why It Matters*. Leicester, UK: Matador, 2010.

Meyers F. W. H., *Human Personality and Its Survival of Bodily Death*. London: Longmans Green, 1903.

Moody Raymond, *Glimpses of Eternity: Sharing a Loved One's Passage from This Life to the Next*. New York: Guideposts, 2010.

Moody Raymond, *Life after Life: The Investigation of a Phenomenon—Survival of Bodily Death*. San Francisco: HarperOne, 2001.

Nelson Kevin, *The Spiritual Doorway in the Brain: A Neurologist's Search for the God Experience*. New York: Dutton, 2012.

Newberg Andrew i Eugene d'Aquili, *Why God Won't Go Away: Brain Science and the Biology of Belief*. New York: Ballantine Books, 2001.

Oliver Mary, *A Thousand Mornings*. New York: Penguin, 2013.

Osis Karlis i Erlendur Haraldsson. *At the Hour of Death: A New Look at Evidence for Life after Death*, wydanie zaktualizowane. Mamaroneck, NY: Hastings House, 1990.

Otto Rudolf, *The Idea of the Holy: An Inquiry into the Non-rational Factor in the Idea of the Divine and Its Relation to the Rational*. Middlesex, UK: Penguin, 1959.

Parnia Sam, *Erasing Death: The Science That Is Rewriting the Boundaries Between Life and Death*. San Francisco: HarperOne, 2013.

Parnia Sam, *What Happens When We Die: A Groundbreaking Study into the Nature of Life and Death*. Carlsbad, CA: Hay House, 2006.

Perera Mahendra, Karuppiah Jagadheesan i Anthony Peake, red., *Making Sense of Near-Death Experiences: A Handbook for Clinicians*. London: Jessica Kingsley, 2011.

Powers Elizabeth, red., *Pilgrim Souls: A Collection of Spiritual Autobiography*. New York: Touchstone, 2000.

Radin Dean, *Entangled Minds: Extrasensory Experiences in a Quantum Reality*. New York: Pocket Books, 2006.

Radin Dean, *Supernormal: Science, Yoga, and the Evidence for Extraordinary Psychic Abilities*. New York: Deepak Chopra Books, 2013.

Rilke Rainer Maria, *Duino Elegies*. New York: Vintage, 2009.

Roach Mary, *Spook: Science Tackles the Afterlife*. New York: Norton, 2005.

Roper Michael, *The Secret Battle: Emotional Survival in the Great War*. Manchester, UK: Manchester University Press, 2009.

Sacks Oliver, *Hallucinations*. New York: Vintage, 2013.

Sacks Oliver, *Musicophilia: Tales of Music and the Brain*. Toronto: Vintage

Canada, 2007.

Sagan Carl, Contact. New York: Doubleday, 1997.

Seaberg, Maureen. *Tasting the Universe: People Who See Colors in Words and Rainbows in Symphonies—A Spiritual and Scientific Exploration of Synesthesia*. Pompton Plains, NJ: New Page Books, 2011.

Sheldrake Rupert, *Dogs That Know When Their Owners Are Coming Home*, wydanie zaktualizowane New York: Broadway Books, 2011.

Sheldrake Rupert, *The Science Delusion: Freeing the Spirit of Scientific Inquiry*. London: Coronet, 2012.

Singh Kathleen Dowling, *The Grace in Dying: A Message of Hope, Comfort and Spiritual Transformation*. San Francisco: HarperOne, 2000.

Slocum Joshua, *Sailing Alone Around the World*. Barnes and Noble Classics, 2005.

Sogyal Rinpoche, *The Tibetan Book of Living and Dying*. San Francisco: HarperSanFrancisco: 1993.

Stevenson Ian, *Telepathic Impressions: A Review and Report of 35 New Cases*. Charlottesville: University of Virginia Press, 1973.

Tart Charles, *The End of Materialism: How Evidence of the Paranormal Is Bringing Science and Spirit Together*. Oakland, CA: New Harbinger, 2012.

Taylor Jill Bolte, *My Stroke of Insight: A Brain Scientist's Personal Journey*. New York: Plume, 2009.

Taylor Rob, *The Breach: Kilimanjaro and the Conquest of Self*. Albany, Australia: Wildeyed Press, 1991.

Taylor Timothy, *The Buried Soul: How Humans Invented Death*. Boston: Beacon Press, 2002.

Terkel Studs, *Will the Circle Be Unbroken: Reflections on Death, Rebirth*

and Hunger for a Faith. New York: Ballantine Books, 2001.

Tompkins Ptolemy, *The Modern Book of the Dead: A Revolutionary Perspective on Death, the Soul, and What Really Happens in the Life to Come*. New York: Atria Books, 2012.

Underhill Evelyn, *Mysticism: The Preeminent Study in the Nature and Development of Spiritual Consciousness*. 1911. Reprint, London: Kessinger, 2010.

Warren Jeff, *The Head Trip: Adventures on the Wheel of Consciousness*. Toronto: Random House, 2007.

Wilber Ken, *Grace and Grit: Spirituality and Healing in the Life and Death of Treya Killam Wilber*. Boston: Shambhala Press, 2000.

Zaleski Carol, *Other World Journeys: Accounts of Near-Death Experience in Medieval and Modern Times*. London: Oxford University Press, 1987.

Zimmer Carl, *Soul Made Flesh: The Discovery of the Brain and How It Changed the World*. New York: Atria, 2005.

[1] W oryginale formułka ta jest napisana szkocką angielszczyzną.^[2] Przekład Czesława Miłosza.^[3] W języku angielskim występuje tu specyficzna gra słów: acute – ostry, intensywny (*acute* dying experience, acutely dying); cute – fajny, uroczy, milusi (*a cute* dying experience, cute puppies).^[4] W języku angielskim zwrot 'holy cow', co dosłownie oznacza 'święta krowa', jest obecnie używany w charakterze przekleństwa: jasna cholera! Autorka podaje w tekście kolejny przykład słowa, które przeszło podobnego rodzaju ewolucję: 'awesome'. Oryginalne znaczenie to 'budzący grozę, robiący mocne wrażenie, niesamowity'. Dziś używa się go bardzo często w znaczeniu 'super! ekstra!', generalnie dla określenia czegoś, co się nam podoba; czasami słowo to w ogóle nic nie znaczy, jest po prostu czymś w rodzaju przerywnika.^[5] Znów występuje tu gra słów: 'coś zupełnie innego' to po angielsku 'something wholly other', przy czym słowo 'wholly' oznaczające 'zupełnie, całkowicie', kojarzy się jednoznacznie ze słowem 'holy' – święty (oba wymawia się tak samo).^[6] Fragment „Pieśni miłosnej

Alfreda Prufrocka” w przekładzie Stanisława Barańczaka.^[7] Marae – maoryskie miejsce spotkań.^[8] Tangi – maoryskie ceremonie pogrzebowe.^[9] Tail of the Fish to najbardziej na północ wysunięty region nowozelandzkiej Wyspy Północnej, a Te Rerenga Wairua to sam koniuszek tego cypla.^[10] Istnieje wiele przekładów Starego Testamentu. W polskich wersjach synestezja nie jest na ogół aż tak oczywista jak we fragmencie zaproponowanym przez autorkę książki.^[11] Tłumaczenie z Biblii Tysiąclecia.^[12] W książce *Bohater o tysiącu twarzy* Joseph Campbell porównał historie bohaterów występujących w wierzeniach ludów całego świata i przedstawił uniwersalną strukturę mitu, którą nazwał monomitem. Określa się ją też mianem podróży bohatera.^[13] Tytuł angielski brzmi *Proof of Heaven* – Dowód na istnienie nieba.^[14] Tłumaczenie na podstawie przekładu z języka niemieckiego Roberta Reszke i Leszka Kolankiewicza.^[15] Jest to aluzja do bardzo popularnej w krajach anglosaskich dziecięcej zabawy wielkanocnej.^[16] YOLO to akronim od angielskiego zwrotu „You only live once” oznaczającego „Żyje się tylko raz”. Zaproponowany przez Clarę tytuł można by więc przetłumaczyć na przykład: Żyje się tylko raz, ale czy aby na pewno?